

Marisa Carroll

*Do utraty tchu*

scandalous

*Charlotte!*

*Wiem, że pewnie nigdy nie zdołam zadośćuczynić Tobie i Twojej rodzinie - a także mojej - za krzywdy, jakie wyrządziłem Wam i Hotelowi Marchand w Nowym Orleanie, ale postaram się spróbować. I dlatego jest dla mnie bardzo ważne, żeby nie tracić z wami kontaktu.*

*Sądzę<sup>1</sup>, że nasza babka Celeste chciała mnie ukarać, zsyłając mnie tutaj do Krainy Kajunów, ale nawet ona by była zadowolona, widząc, jak sobie radzę. Jej stary kreolski domek, La Petite Maison, jest teraz pięknym pensjonatem, przyjmuje gości i zarabia na sobie. Nigdy nie widziałem siebie w roli właściciela zajazdu w małej miejscinie, ale coraz bardziej się przywiązuję do Indigo. Spodobałby Ci się niewielki budynek opery, który mieszkańcy mają nadzieję przywrócić do stanu dawnej świetności, a zupa żółwiowa i gumbo są wprost niezrównane. W tym mieście znajdziesz kilku niezłych oryginałów, ale muszę przyznać, że życzliwość tutejszych ludzi wciąż mnie zaskakuje. Jedyńm, który patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem, jest Alain Boudreaux, szef policji, lecz ponieważ zna moją przeszłość, nie mogę mieć do niego pretensji.*

*Napisz, jak się mają twoje siostry, i pozdrów ode mnie ciocię Anne. Pewnego dnia będziecie dumne, że należę do rodziny.*

*Luc*

## **Droga Czytelniczko!**

Marian i ja mieszkamy tysiąc mil na północ od Indigo w Luizjanie, ale doskonale znamy to miasteczko zamieszkałe przez ciężko pracujących mężczyzn i kobiety, dla których rodzina i kraj znaczą bardzo wiele. Więzy sąsiedzkie są tu niezwykle silne - ludzie wspólnie przeżywają radości i wspierają się w ciężkich chwilach.

Ale nawet mieszkańcy takiego małego idyllicznego miasteczka jak Indigo borykają się z trudnościami codziennego życia, w tym z wysokimi kosztami leczenia i cenami lekarstw.

To dlatego matka i babka szefa tamtejszej policji, Alaina Boudreaux, postanowiły zająć się przemysłem leków z Kanady. Pomaga im w tym grupka przyjaciółek. W kieszeniach chorych zostaje więcej pieniędzy i nie jest to aż takie przestępstwo, prawda? Wszystko idzie dobrze do chwili przyjazdu Sophie Clarkson, pierwszej miłości Alaina, która przybywa tu przejąć spadek po matce chrestnej i mimowolnie krzyżuje ich plany.

Konsekwencje jej pojawienia się w Indigo przechodzą wszelkie wyobrażenia.

Zapraszamy do lektury i życzymy dobrej zabawy...  
*Laissez les bons temps rouler!*

Carol i Marian\*

\* Carol Wagner i Marian Franz piszą pod pseudonimem Marisa Carroll

## PROLOG

### *Indigo w Luizjanie, styczeń 1900*

Późnym popołudniem Amelie Valois stała w zimnym siąpiącym deszczu i przyglądała się pięknemu budynkowi niewielkiej opery, który wiele lat temu wybudował dla niej Alexandre. Uniosła ciężki jedwabny welon zasłaniający jej twarz przed ciekawymi spojrzeniami zza koronkowych firanek w oknach po przeciwnej stronie skweru. Czy to takie ważne, kto zobaczy jej łzy? Płakała za nim i za sobą, opłakiwała swe samotne lata.

Alexandre Valois, jej mąż, jej kochanek. Od blisko czterdziestu lat w grobie, zmarły na nieznaną gorączkę w jankeskim obozie jenieckim. Teraz byłby starym mężczyzną, tak jak ona jest starą kobietą, a nie olśniewająco przystojnym kreolskim dżentelmenem, dla którego straciła głowę i którego wiele lat temu poślubiła wbrew sprzeciwom nie tylko jego bogatej rodziny, lecz i swojej własnej.

Uniosła wełnianą spódnicę i wsparła się na rękę szczupłego czarnoskórego mężczyzny, cierpliwie czekającego przy drzwiach powozu.

- *Merci*, Titus.

W młodości Titus Jefferson był niewolnikiem na plantacji należącej do jej teściów. Obecnie, jako wolny człowiek, prowadził własną stajnię i wynajmował konie i powozy. Nie wszystkie zmiany wymuszone przez czas są zmianami na gorsze, pomyślała.

Podniosła głowę, żeby lepiej się przyjrzeć budynkowi zaprojektowanemu przez znanego architekta z Nowego Orleanu, Jamesa Galliera juniora. Fantazyjny miedziany wiatrowskaz wciąż ozdabiał szczyt kopuły wieńczącej dach. Ściany sprawiały wrażenie dobrze utrzymanych, filary z drzewa cyprysowego podpierające balkon z kutą balustradą były świeżo pobielone. Wypolerowane szklane szybki w wozowej latarni zawieszanej nad rzeźbionymi podwójnymi drzwiami wesoło świeciły w szarym świetle późnego popołudnia.

- Wygląda dobrze - oceniła.

- Tak, proszę pani. Rodzina Lesatz dba o budynek. Miasto też na tym zarabia. Zeszłego roku były dwa spotkania z kaznodzieją z Baton Rouge. Zjechało się tyle narodu, że w promieniu paru mil nie można było znaleźć wolnego pokoju. Słyszałem też, że wiosną przyjedzie tu zespół wodewilowy aż z Chicago.

- Zespół wodewilowy? - Amelie spojrzała na wysmaganą wiatrem twarz Titusa z ciepłym uśmiechem. - Cóż, przynajmniej znowu zabrzmie tu trochę muzyki.

- Jak za dawnych lat, kiedy pani tutaj śpiewała - rozmarzył się Titus. - Pamiętam, jak my wszyscy, robotnicy rolni, staliśmy pod otwartymi oknami.

Miała pani piękny głos, Miss Amelie. Jak anioł. Chciałbym znowu usłyszeć, jak pani śpiewa.

- Obawiam się, że te czasy już bezpowrotnie minęły, mój Titusie. Ale miło mi, że pamiętasz. Dziękuję.

- Chce pani teraz wejść do środka?

Amelie oparła mu dłoń na ramieniu i z trudem zeszła ze stopnia powozu. Przejście kilku kroków do wejścia ją zmęczyło. Titus otworzył ciężkie rzeźbione drzwi i znalazła się w niewielkim foyer. Nawet w przyćmionym świetle zauważyła, że ściany wymagają odnowienia, a rysy od ciężkich jankeskich buciorów na parkiecie nie zostały usunięte. Rodzina Lesatz dobrze zarządza budynkiem, lecz nie dysponuje takimi funduszami, jakie posiadał Alexandre i jego bliscy przed agresją z Północy, jak Amelie nazywała wojnę secesyjną, która zniszczyła kraj jej dzieciństwa.

Przy wejściu na widownię z rzędami wyblakłych pluszowych foteli, ukrytych podczas wojny, Titus znowu ją wyprzedził. Amelie cieszyła się, że w chudych latach zdołała utrzymać operę. Spojrzała teraz na dwie ozdobione złoceniami łóża po obu stronach sceny oraz prowadzące do nich galeryjki i schodki.

- Moja *mamon* nie będzie siedziała z pospółstwem - zażartował Alexandre, kiedy Amelie, z odziedziczonym po akadyjskich przodkach praktycznym zmysłem, zakwestionowała taki ekstrawagancki wydatek.

I miał rację. Te kilka razy, kiedy Josephine Valois łaskawie raczyła zaszczycić swoją obecnością recital synowej dla rodziny i przyjaciół - nigdy dla zwykłej publiczności - wyniosła i samotna zasiadała w złoco-

nej łoży. Dla Amelie było to wówczas bez znaczenia. Ani oziębłość teściowej, ani rozczarowanie własnej rodziny, że wyszła za mąż za mężczyznę spoza ich kręgu, się nie liczyły, dopóki żył Alexandre. U jego boku nawet brak dzieci tak jej nie smucił.

Niestety wybuchła wojna. Jankesi zamienili operę w szpital, a w rezydencji na plantacji urządzili kwaterę główną. Kobietom kazali się przenieść do La Petite Maison, niewielkiego domku nad Bayou Teche, starorzeczem Missisipi. Amelie nie przeszkadzał powrót do skromniejszych warunków, podobnych do tych, w jakich się wychowała, lecz wstrząs i upokorzenie omal nie zabiły Josephine Valois.

Pod sam koniec wojny nadeszła wiadomość, że Alexandre nie żyje. Tego dnia życie Amelie radykalnie się odmieniło. Teściowie winili ją za śmierć syna, za to, że Alexandre, nie mając z nią dzieci, które mogłyby go wybronić od służby wojskowej, poszedł na wojnę. Jej rodzice rozpaczali z powodu utraty farmy. Bracia zginęli w walkach, siostra, wojenna wdowa, została samotną matką. Kiedy namawiani przez dalekich kuzynów do powrotu do Akadii, obecnie Nowej Szkocji, przyłączonej do nowo powstałego państwa, Kanady, zdecydowali się na przeprowadzkę, Amelie pojechała z nimi.

Jeszcze później, po stracie plantacji, dołączyli do nich Josephine i Henri Valois oraz ich ocalały syn i córka. W miarę upływu lat wiodło im się coraz lepiej. Pocięgą dla Amelie byli siostrzeńcy i siostrzenice. Od czasu do czasu, kiedy tęsknota za miłoś-

cią jej życia stawała się nie do wytrzymania, odwiedzała Indigo.

Tym razem rodzina i lekarz odradzali jej podróż w zimie, lecz Amelie nie mogła dłużej znieść rozłąki.

Zmęczyła się, oddychała z trudem. Nie weszła na scenę. Podała Titusowi jasnokremowy kwiat kamelii, który cały czas trzymała na sercu.

- Położysz go w moim imieniu na deskach? - prosiła.

- Oczywiście, Miss Amelie. Piękny. Dokładnie taki, jaki pan Alexandre zawsze dawał pani do wpięcia we włosy przed występem.

- Właśnie taki, Titusie.

Amelie przyglądała się, jak dawny niewolnik kładzie na scenie dar jej miłości. W duszy zagrała jej muzyka, jaka rozbrzmiewała w tym miejscu w szczęśliwszych czasach: Beethoven i Bach, Mozart, tradycyjne akadyjskie ballady, klasyczne opery francuskie, pieśni bożonarodzeniowe śpiewane przez dzieci, oraz, chociaż bardzo nieśmiało, negro spirituals. Oboje z Alexandre kochali wszystkie te melodie.

- Chodźmy, Titusie - rzekła. Wspomnienia rozgrały trochę jej serce, wzmocniły ją. - Chciałabym jeszcze przed zmrokiem zdążyć na cmentarz.

- Oczywiście, Miss Amelie. Zaraz tam pojedziemy. Pan Alexandre ucieszy się, że pani go odwiedziła.

Podał jej ramię i po raz ostatni wyprowadził z budynku opery.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Indigo w Luizjanie, czasy współczesne*

- Pospiesz się, Cecily. - Yvonne Valois popędzała córkę w swoim ojczystym dialekcie kajuńskim bardzo przypominającym francuski. - Nie marnujmy na to całego dnia.

Ze swojego miejsca za kuchennym stołem zmarłej Maude Picard mogła doskonale obserwować wejścia i wyjścia pozostałych trzech kobiet uwijających się w stuletnim domu z przechodnimi pokojami i drzwiami otwartymi na przestrzał.

- Mów ciszej, mamó - skarciła ją córka, Cecily Boudreaux, chociaż nie spodziewała się, że jej słowa odniosą skutek. - Jesteśmy w domu żałoby.

- Będę mówić, jak mi się podoba - odcięła się Yvonne. Miała siedemdziesiąt pięć lat i zawsze rozstawiała wszystkich po kątach. Nie zamierzała zmieniać przyzwyczajień tylko dlatego, że jej wnuk, szef policji w Indigo, znalazł jej przyjaciółkę nieżywą, siedzącą w fotelu we własnym salonie. - Maude jest już wszystko jedno, a Marie będzie się grzebać bez końca, jeśli jej nie popędzę.

- Ciii... Jeszcze cię usłyszcy i dopiero będzie obraza.

Yvonne zamilkła, bo właśnie w tej samej chwili do pokoju weszła Marie Lesatz, drobna, czarnooka brunetka po pięćdziesiątce.

- Może ta? - spytała drepcząca krok w krok za nią Estelle Jefferson, wysoka czarnoskóra kobieta mniej więcej dziesięć lat starsza od Marie i Cecily. Razem z mężem Willisem prowadziła restaurację Blue Moon Diner, szeroko znaną w miasteczku i okolicy z kreolskich i kajuńskich przysmaków. Wymieniła Marie i pokazała Yvonne i Cecily granatową sukienkę w kwiaty, którą trzymała w ręku. - Zawsze lubiałam Maude w tej sukience.

- Cóż, to jedyna w miarę przyzwoita sukienka w jej szafie - kwaśnym tonem odparła Marie i opadła na krzesło obok Yvonne.

- A mnie się wydaje, że bardziej do twarzy jej było w tej szarej jedwabnej - wtrąciła Yvonne, przechodząc na angielski. Estelle nie mówiła po francusku, a kajuński Marie był bardzo ograniczony.

- Jak ci się nie podoba ta, którą wybrałam, to sama poszukaj tej szarej. Ja mam już dość grzebania się w szafach nieboszczki - zirytowała się Marie i ruchem głowy wskazała sypialnię. - Pękają w szwach. Maude nigdy niczego nie wyrzucała.

Przyganiał kocioł garnkowi, złośliwie pomyślała Cecily. Marie miała więcej ubrań niż którakolwiek z mieszkanek Indigo i kupowała coraz to nowe stroje, obojętnie, czy mogła sobie na nie pozwolić, czy nie.

Marie złowiła jej spojrzenie i natychmiast odgadła, o czym myśli. Dumnie zadarła głowę, ale Cecily

nie dała się sprowokować. To nie był moment na kłótnie. Marie i Cecily przyjaźniły się od czasów szkolnych, a na dodatek Marie była eksteściową syna Cecily, co jeszcze bardziej komplikowało stosunki między nimi.

- Granatowa może być - rzekła Cecily ugodowym tonem.

- Przejrzałam nawet jej bieliźniarkę, niech mi Bóg wybaczy - Marie urwała i przeżegnała się - ale nic nie nadaje się do sprzedania. Aha, nie natknęłam się na żadne klucze - dodała, uprzedzając pytanie Cecily.

- Tu jest stanowczo za dużo rzeczy na to, żebyśmy same zorganizowały *vendre de maison* - oświadczyła Yvonne. - Sophie Clarkson będzie musiała zatrudnić firmę aukcyjną. Poza tym nie do nas należy likwidowanie majątku Maude. O tym musi zdecydować Sophie. To ona wszystko dziedziczy. A swoją drogą -' ciągnęła - ostatnimi laty Maude strasznie zapuściła ten dom.

Wszystkie cztery rozejrzały się dookoła, jak gdyby chciały przez ściany zajrzeć do pozostałych pokoi zastawionych antykami, bibelotami i po prostu bezwartościowymi gratami.

Maude Picard, właścicielka antykwariatu Dawne Dobre Czasy, była ich przyjaciółką i nieformalną przywódczynią ich grupy, a raczej przemytniczej siatki. Matka Cecily i pozostałe kobiety nie były po prostu gronem zaprzyjaźnionych starszych pań, które kilka razy w miesiącu spotykały się na kartach albo wspólnej kolacyjce. Były przestępczyniami, nie ma

co owijać w bawełnę. A ich najnowsza dostawa nielegalnie sprowadzanych z Kanady leków znajdowała się zamknięta gdzieś w sklepie Maude.

- W życiu nie widziałam tylu rupieci w jednym miejscu - rzędziła Estelle. Powiesiła sukienkę na oparciu krzesła i ciągnęła: - Poszukam pantofli i bielizny. Nie może przecież stanąć przed Stwórcą bez bielizny. Potem już pójdę. Kiedy wychodziłam, Willis nie czuł się dobrze. Dałam mu środek przeciwbólowy i prosiłam, żeby się położył, ale on tego nie zrobi, dopóki mnie nie ma.

Dwa lata temu u Willisa Jeffersona wykryto nowotwór płuc. Zażywał nowy lek, ogromnie kosztowny i trudny do dostania, a świeży zapas leżał sobie gdzieś w budynku opery razem z resztą zamówienia.

- Nie krępuj się, idź, kiedy zechcesz - rzekła Yvonne. - Co z biżuterią, Marie? Wybrałaś coś?

- Znalazłam to na toaletce. - Marie położyła sznurek pereł i kolczyki na wyciągniętej dłoni Yvonne.

- Nie mam zamiaru grzebać w jej szkatułce. Nie chcę, żeby potem ta jej nadęta chrześniaczka z Houston oskarżyła mnie, że sobie coś przywłaszczyłam.

- Zamilkła, założyła ręce na piersi i, jak przewidywała Cecily, zrobiła nadaśaną minę. - Po co tyle zachodu? Biedaczka lepiej by się czuła w szlafroku i kapciach - mruknęła pod nosem.

Yvonne zgromiła ją wzrokiem.

- Nie położymy jej do trumny w kapciach i szlafroku, jak jakąś wiejską biedotę - oświadczyła. - Perły będą znacznie lepsze.

## MUMACARROLL

Zmim rozmowa przerodziła się w kłótnię, Cecily sięgnęła po stojące na staroświeckiej chłodziarce drewniane pudło na sery i uniosła pokrywkę. Błysnęły dwa komplety kluczy. Wstrzymała oddech. Czy to przypadkiem nie te, których szukają?

- Mamo, spójrz! - Uniosła w górę jeden z kompletów. - Jak myślisz? To te?

- Nie wydaje mi się - wyrwała się Marie, zanim Yvonne zdążyła się odezwać. - Wyglądają raczej na klucze od jakiejś skrytki, nie od zasuw.

- Marie ma chyba rację - potwierdziła Yvonne, podnosząc się ciężko z krzesła. Tego ranka wyglądała na starą i zmęczoną. Śmierć wieloletniej przyjaciółki dotknęła ją najbardziej. - Lepiej odłóż je tam, gdzie były. Niewykluczone, że Maude zostawiła dla Sophie jakieś instrukcje w sprawie tych kluczy, chociaż ostatnio zrobiła się tak strasznie roztrzepana i zapominalska, że w to wątpię.

- Alain znalazł ją w fotelu tuż przy drzwiach. Pewnie wybierała się otworzyć sklep - Cecily zaczęła myśleć na głos - kiedy dostała udaru.

- W takim razie klucze do domu i do sklepu powinny chyba nadal być w jej torebce - zauważyła Yvonne.

- Tylko że Alain zabrał torebkę - wtrąciła Marie. Pracowała w zespole obsługującym telefon alarmowy w Indigo i to ona zawiadomiła przyjaciółki o śmierci Maude. - Na pewno przetrzyma ją w sejfie do przyjazdu Sophie. Musimy wymyślić inny sposób dostania się do Dawnych Dobrych Czasów.

Cecily poczuła pierwsze symptomy ataku migreny. Bardzo pragnęła szybko uporać się z tym smutnym obowiązkiem zabezpieczenia domu i rzeczy zmarłej i -jeszcze zanim wnuki, Dana i Guy, wrócą ze szkoły i zaczną dopominać się o jedzenie albo jęczeć, że muszą odrabiać lekcje - na dwadzieścia minut usiąść z nogami w górze i odpocząć. Kochała Alaina i jego dzieci, cieszyła się, że mieszkają razem, że nie jest sama w pustym domu, ale czasami marzyła o chwili spokoju.

- Poza włamaniem nie widzę innego sposobu wydobycia lekarstw - mruknęła.

- Jeśli to jest jedyny sposób odzyskania tego, co nasze, bez wiedzy Alaina, to właśnie tak zrobimy - zdecydowała Yvonne.

Alain Boudreaux wolno przejechał obok domku Maude Picard. Było kilka minut po pierwszej.auta matki i byłej teściowej nadal stały zaparkowane na podjeździe. Pewnie sprzątają, pomyślał, usuwają z lodówki łatwo psujące się produkty, zmieniają pościel w pokoju gościnnym, zamiatają, odkurzają. Mieszkańcy takich miasteczek jak Indigo zawsze pomagają sobie w podobnych sytuacjach, szczególnie kiedy umrze ktoś samotny, bez rodziny, a Maude miała tylko chrześną córkę, Sophie Clarkson. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ją widział. Doszedł do wniosku, że od ich ostatniego spotkania musiało minąć cztery albo nawet pięć lat.

W pamięci zamajaczyła mu sylwetka młodej ładnej

dziewczyny, jaką Sophie była podczas tamtych wakacji, kiedy skończył dziewiętnaście lat - szaroniebieskie oczy, miękko falujące jasne włosy, uśmiech, który zaczynał się nieśmiało i dopiero po chwili rozkwitał w całej pełni. Podczas tamtego lata zakochał się w niej bez pamięci, lecz uczucie nie wytrzymało próby czasu. Nie mogło. Należeli do odmiennych światów. Jego korzenie sięgały głęboko w żyzną ziemię terenów zalewowych, gdzie znajdowało się Indigo, ona zaś pochodziła z Houston, z wyższych sfer, z bogatej rodziny związanej z przemysłem naftowym.

Zerwał zaręczyny wkrótce po tym, jak Sophie rozpoczęła naukę w college'u, i chociaż ją to zraniło, wiedział, że postąpił słusznie. Od tamtego czasu prawie się nie widywali. Wyjątkiem były wakacje przed urodzeniem się jego córki Dany, kiedy przez jeden krótki tydzień stali się dla siebie najdroższymi ludźmi.

I wówczas rozpętało się piekło na ziemi.

Wiedział, że odgrzebywanie wspomnień o Sophie Clarkson tylko go rozdrażni, postanowił więc skierować myśli w inną stronę. Sprawdzi, czy matka i babka czegoś nie potrzebują. Maude była pierwszą z ich kręgu, która odeszła. To musiał być dla nich wstrząs, szczególnie dla jego matki, która, odkąd pamiętał, była najlepszą przyjaciółką zmarłej.

Podjechał swoim trzyletnim terenowym fordem exploferem zamienionym na radiowóz do krawężnika i zaparkował. Miasto zdobyło ten sportowy wóz

w ramach programu przekazywania aut skonfiskowanych handlarzom narkotyków posterunkom policji w rejonach rolniczych. Prowadziło się go jak marzenie. Na głowę bił starego sedana, którym Alain jeździł, kiedy został szefem policji w Indigo. Miał pod sobą ośmiu ludzi, trzech policjantów na pełnych etatach i pięciu pracujących tylko w weekendy lub święta.

W zasadzie dobrze dawali sobie radę z problemami pojawiającymi się w miasteczku: wyłapywaniem groźnych zwierząt, pijaństwem w miejscu publicznym, przemocą domową i nielegalną sprzedażą alkoholu domowej produkcji. Przypadki handlu narkotykami trafiały się rzadko, nie częściej niż gdzie indziej, a poważniejsze przestępstwa na szczęście się nie zdarzały. Indigo od Nowego Orleanu dzieliło tylko kilka godzin jazdy, ale jeśli chodzi o bezpieczeństwo, leżało na innej planecie. Wiedział coś o tym, bo przez pięć lat pracował w tamtejszej policji.

Alain wysiadł i dla ochrony przed deszczem włożył na głowę stetsona. Na ganku porządnie wytarł buty o leżącą tam wycieraczkę, zapukał i od razu wszedł do saloniku, gdzie dziś rano znalazł Maude Picard spokojnie siedzącą w ulubionym fotelu, z dłońmi zaciśniętymi na torebce, oczami zamkniętymi, jak gdyby na moment się zdrzemnęła przed wyjściem do pracy. Niestety, to nie była drzemka. Kiedy tylko dotknął jej ręki, zorientował się, że kobieta nie żyje.



Wezwany przez niego doktor Landry stwierdził, że najprawdopodobniej przyczyną śmierci był udar. Maude była jego pacjentką, od dwudziestu pięciu lat leczył ją na nadciśnienie i cukrzycę i prawie tak samo długo namawiał na rzucenie palenia i większą troskę o siebie. Na miejscu podpisał świadectwo zgonu, oszczędzając Alainowi mnóstwo zachodu z koronem i papierkowej roboty koniecznej w podobnych przypadkach.

- Mama? *Mamere!* Jesteście tam? - zawołał po kajuńsku.

- Jesteśmy w kuchni! - odrzyknęła Cecily. - Właśnie kończymy.

- Dom jest gotowy na przyjazd Sophie Clarkson - Oznajmiła Yvonne, nadstawiając wnukowi policzek do pocałowania. Miała jasną karnację, a jej białe włosy przypominały delikatny puch dmuchawca. Wszystkie kobiety w rodzinie miały bardzo jasną karnację i czarne włosy odziedziczone po akadyjskich przodkach, natomiast on miał skórę bardziej śniadą, a włosy brązowe, po irlandzkim pradziadku.

- Aleś ty mokry! - wyrzyknęła.

- Bo pada, *Mamere*. I jest zimno. Z północy nadciąga potężna ulewa.

- Wiem. Czuję ją w kościach - poskarżyła się Yvonne.

W tym czasie Cecily zdjęła naczynia z suszarki i poustawiała je na półkach w szafce, potem poukładała sztuce w szufladzie i z satysfakcją oświadczyła:

- Koniec. - Poklepała syna po policzku i dodała:
- Cześć, mój drogi.

Alain rozejrzył się dookoła.

- Wygląda świetnie - pochwalił.

Podobał mu się ten dom. Zastanawiał się, co się z nim teraz stanie. Lubił majsterkować i od razu dostrzegł możliwości przeróbek. Ostatnio coraz częściej myślał o kupnie domu dla siebie i dla dzieci. Od czterech lat, odkąd wrócił z Nowego Orleanu do Indigo i ostatecznie rozstał się z Casey Jo, mieszkał razem z Cecily. Najwyższy czas się usamodzielnić.

Wiedział, że matce nie spodoba się perspektywa samotności w starym piętrowym domu, lecz odczuwał potrzebę zmiany. Poza tym niewykluczone, że kiedy oni się wyprowadzą, Cecily wreszcie znajdzie sobie jakiegoś towarzysza życia. Ojciec zmarł piętnaście lat temu w wypadku przy wyrębie lasu. Miał wtedy czterdzieści pięć lat. Kobiety z rodu Valois były długowieczne. Matka ma jeszcze szmat życia przed sobą. Szkoda by było, żeby spędziła je w samotności.

- To ty, Alain? Słyszałam jakiś samochód.
- Z głębi domu wyłoniła się jego była teściowa. Niosła środek do czyszczenia łazienek w sprayu i dwie ściereczki.

Jak zwykle ubrana była zbyt młodzieżowo, w obcisłe džinsy i bluzeczkę bez rękawów, i umalowana zbyt jaskrawo, a jej nieprawdopodobnie czarne, zniszczone, krótko ostrzyżone włosy sterczały na wszystkie strony.

- Jak się masz, Marie? - przywitał ją. — No, skoro wszystko u was w porządku, wracam na swój patrol.

- Nie uciekaj jeszcze - powstrzymała go Marie.  
- Chciałabym z tobą porozmawiać. Aha, skończyłam z łazienką. Co z tym zrobić? - zwróciła się do Cecily.

Cecily wzięła od niej ścierki i spray i zniknęła za drzwiami spiżarni.

- To może wstąpię do ciebie po kolacji? - zaproponował.

Wiedział, że rozmowa z byłą teściową go nie ominie, ale wolał odłożyć ją na później.

Marie zbyła propozycję machnięciem ręki.

- Jestem zaproszona na kolację - poinformowała go, unosząc brwi. - Nie zatrzymam cię długo. Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Casey Jo. Powiedziała, że cały ostatni tydzień usiłowała się z tobą skontaktować. Kilkakrotnie nagrywała ci się na sekretarkę.

- Nie miałem czasu oddzwonić. Hank Lasiter ma zwolnienie lekarskie. Wziąłem za niego dyżury.

- Znasz Casey Jo. Jak sobie coś wbije do głowy, to trudno jej to wyperswadować.

- A co sobie tym razem wbiła? - spytał znużonym głosem.

Jeśli chodzi o pieniądze, to stanowczo odmówię, pomyślał. Jego była żona nie dokładała ani centa na utrzymanie dzieci. Wszystko, co zarobiła, wydawała na siebie, a kiedy jej nie starczyło, wyciągała rękę do niego.

- W przerwie międzysemestralnej chce zabrać Guya i Dane do Disney Worldu.

- Disney World? To jest bardzo kosztowna wycieczka!

- Chce im wynagrodzić skromną Gwiazdkę - wyjaśniła Marie i przygryzła dolną wargę.

- Nie dała im wiele na Gwiazdkę, bo całą kasę wydała na zastrzyki z botoksu - wypalił Alain.

Z trudem udało mu się zapanować nad głosem. Marie robiła, co mogła, dla niego i dla dzieci. Większość nocy w tygodniu pracowała jako barmanka w zajeździe przy autostradzie, a ilekroć potrzebował, by odebrała dzieci ze szkoły albo podrzuciła zapomniany zeszyt lub drugie śniadanie, kiedy Cecyli miała dyżur w szpitalu w Lafayette, nigdy nie odmówiła.

- Wiesz, jak jej zależało na wzięciu udziału w „I-dolu”. Jej agent powiedział...

- Skończyła trzydzieści cztery lata. Najwyższy czas przestać bujać w obłokach i zacząć żyć w realnym świecie.

- Ale ona ma talent...

- Jak tysiące innych kobiet.

- Zabroniłam jej mówić cokolwiek dzieciakom, dopóki nie uzyska twojej zgody - poinformowała Marie. Nie kontynuowała dyskusji na temat stylu życia córki.

Alain kolejny raz musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie wybuchnąć. Rozumiał, że jego była teściowa znajduje się między młotem a kowadłem. Kocha Guya i Danę, ale również kocha własną córkę.

- Dzięki, Marie. Doceniam to, co zrobiłaś. Nie chcę, żeby się cieszyły na coś, co może nie wypalić. Szczególnie Dana. Casey Jo już i tak wiele razy ją zawiodła.

- Powiedziałam Marie, że Guy pewnie nie zechce jechać. - Yvonne nie wytrzymała i wtrąciła się do rozmowy..- Jest filarem drużyny koszykówki i jego trener nie zgodzi się, żeby w środku sezonu zniknął na cały tydzień.

- Jak tylko znajdę wolną chwilę, zaraz do niej zadzwonię - obiecał Alain, uprzedzając następną uwagę babki, która na pewno doprowadziłaby Marie do łez.

Tymczasem Cecily znowu pojawiła się w kuchni i wkładając gruby sweter, odezwała się do syna:

- Sophie Clarkson zadzwoniła tutaj jakąś godzinę temu. Będzie jechała samochodem z Houston i powinna tu dotrzeć jutro około drugiej po południu. Właśnie wtedy rozpocznie się czuwanie przy zwłokach.

- Podejrzewam, że nigdy nie brała udziału w takim obrzędzie - mruknęła Marie. - Przecież nie jest katoliczką i w ogóle - dodała.

- Nie wiem, czy brała udział, czy nie - odparł Alain, podniósł kapelusz i wcisnął go na czoło. Postanowił, że nie da się wciągnąć Marie w rozmowę o kobiecie, która według Casey Jo rozbiła ich małżeństwo. - Muszę wracać na patrol.

- Na kolację mamy pieczeń - przypomniała mu matka.

- To trzymaj dla mnie ciepły talerz. Mam biurko zawałone tonami dokumentów.

- Spróbuj się nie spóźnić.

- Postaram się. Powiedz Danie, że na pewno przyjdę powiedzieć jej dobranoc.

Jego siedmioletnia córka pod wieloma względami była już dużą dziewczynką, ale pod innymi wciąż pozostawała małą córeczką tatusia. Ceremoniał kładzenia jej spać był najważniejszą chwilą wieczoru. To między innymi dlatego Alain prowadził bardzo ograniczone życie towarzyskie.

Już był prawie przy drzwiach, kiedy Yvonne zatrzymała go, mówiąc:

- Posłuchaj, Alainie, starałyśmy się jak mogłyśmy, żeby ogarnąć, co się da, ale jeszcze wiele można by zrobić. Nie wiesz przypadkiem, gdzie Maude trzymała klucze? Gdybyśmy je miały, mogłybyśmy przyjść jutro i dokończyć.

Alain usłyszał, jak matka wciąga gwałtownie powietrze w płuca i odwrócił się, by na nią spojrzeć. Cecyli umknęła spojrzeniem w bok i zaczęła polerować czysty zlew.

- Kiedy ją znalazłem, drzwi były otwarte, ale podejrzewam, że klucze są w torebce. To jedna z tych rzeczy, którymi muszę się zająć dziś po południu. Trzeba sporządzić spis rzeczy osobistych Maude.

Rozejrzał się dookoła. Matka, babka i była teściowa dołożyły wszelkich starań, by przygotować dom przyjaciółki na przyjazd kobiety, która w cią-

gu ostatnich pięciu lat spędziła w Indigo w sumie nie więcej niż dziesięć dni. Według niego nie było tu nic więcej do zrobienia.

- Moim zdaniem wszystko jest w porządku. Nie wydaje mi się, żebyście musiały tu jeszcze raz przychodzić. Poza tym w mieście jest luksusowy pensjonat, więc zdziwiłbym się, gdyby Sophie Clarkson przespała pod tym dachem chociaż jedną noc.

scandalous

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Chciałbym złożyć pani najszczersze kondolen-  
cje - zaczął przygarbiony, siwowłosa mężczyzna  
i ujął dłoń Sophie w swoje zniekształcone artretyz-  
mem dłonie. - Maurice Renaurd, artykuły żelazne  
- przedstawił się. - Razem z Maude pracowaliśmy  
w zarządzie miejskiej biblioteki. To była bardzo za-  
cna osoba. Będzie nam jej brakowało.

- Dziękuję - odrzekła Sophie i uśmiechnęła się do  
starszego pana.

Była pod silnym wrażeniem liczby ludzi, którzy  
przyszli do domu pogrzebowego od trzech pokoleń  
prowadzonego przez rodzinę Savoyów, a dochodziła  
dopiero szósta po południu. Czuwanie przy zmarłej  
rozpoczęło się niedawno.

Wyrzucała sobie, że ostatnimi laty zaniedbywała  
matkę chrestną. Miała jednak bardzo dużo pracy,  
a Maude zapewniała, że dobrze się czuje, więc nie  
było powodu przyjeżdżać częściej niż na Boże Naro-  
dzenie i jakiś jeden weekend w ciągu lata. Lecz  
najwyraźniej takie powody były i teraz Sophie wie-  
działa, że już zawsze będzie czuć się winna, iż nie  
poświęciła Maude więcej czasu.

Westchnęła. Z wiekiem przybywa podobnych wy-



rzutów sumienia. Rozejrzała się dookoła, ciekawa, kiedy jeden z jej najwcześniejszych i najbardziej bolesnych błędów pojawi się w drzwiach. Od dobrych kilku lat nie widziała Alaina Boudreaux. A od ich ostatniej szczerzej rozmowy upłynęło co najmniej dwa razy tyle czasu.

- Masz wszystko, co trzeba? - spytała Marjolaine Savoy, podchodząc i stając przy Sophie obok trumny.

- Dziękuję - odrzekła Sophie. - Chociaż bardzo chce mi się pić - dodała po namyśle.

Nie mogła oderwać wzroku od grupki żałobników zgromadzonych wokół dużego stołu z marmurowym blatem, popijających poncz i herbatę i częstujących się ciasteczkami. Droga z Houston zajęła jej prawie pięć godzin z jedną krótką przerwą na uzupełnienie paliwa, toteż zmęczenie dawało o sobie znać.

- Odpocznij - namawiała ją Marjolaine. - Chodź. Akurat teraz nikt nie czeka, żeby złożyć ci kondolencje, a jeśli ktoś się pojawi, zobaczymy go z korytarza. Zostawię uchylone drzwi. - Nie przestając mówić, ujęła Sophie pod łokieć i zaprowadziła do mniejszego pokoju. - Na stole są ciasteczka, ale jeśli wolisz coś konkretniejszego, przygotowuję ci kanapkę.

- Nie sprawi ci to zbyt dużo kłopotu? - sumitowała się Sophie. Zrezygnowała już z udawania, że nie chce odpocząć. - Od śniadania nie miałam nic w ustach i obawiam się, że za chwilę mój żołądek zacznie głośno protestować. -- Zamilkła i uśmiechnęła się. - Nie chciałabym urazić przyjaciół Maude.

- To zajmie mi sekundę. Może być szynka i ser?

- Jasne. Ale naprawdę nie chciałabym ci robić kłopotu.

- Żaden kłopot. Nie zapominaj, że przed nami długa noc. Kanapka pozwoli ci dotrzeć do północy, kiedy rozstawią bufet.

Sophie zrobiła wielkie oczy.

- Zapomniałam, że czuwanie trwa całą noc. Pierwszy raz biorę udział w podobnej uroczystości.

Kilkakrotnie towarzyszyła babce w pogrzebach przyjaciół albo znajomych z pracy, lecz tamte spokojne w nastroju obrzędy trwały najwyżej do dziewiątej. Nie było jedzenia ani picia, ani muzyki i wspominała szczęśliwych chwil, jak tutaj w Krainie Kajunów.

- Nie musisz zostawać na noc, jeśli nie chcesz - rzekła Marjolaine, patrząc Sophie prosto w oczy.  
- Któraś z bliskich przyjaciółek Maude cały czas będzie tutaj, skoro jedyną przedstawicielką rodziny jesteś ty.

- Rodzice przylatują jutro na pogrzeb, a babcia jest w Australii - wyjaśniła Sophie. - Dziadek zafundował jej tę podróż w prezencie na osiemdziesiąte urodziny, ale bardzo żałuje, że nie może być tutaj.

Darlene Clarkson i Maude Picard przyjaźniły się od końca drugiej wojny, od pierwszego dnia spędzonego w college'u. To właśnie Darlene wymogła na synu i synowej, by poprosili Maude na matkę chrzestną córki. Kiedy na dwudzieste pierwsze urodziny chrześnicy Maude zapisała jej w testamencie cały majątek, matka Sophie nie kryła radości, że spełniła prośbę teściowej.

- Jeśli jesteś bardzo zmęczona, możesz pójść do domu Maude i odpocząć - dodała Marjolaine.

- Nie, nie, zostanę - wzbraniała się Sophie. - Poza tym nie mam kluczy. Nie wiesz przypadkiem, kto objął pieczę nad jej rzeczami? - spytała.

- My tutaj niczego nie mamy, jeśli o to ci chodzi. To Alain Boudreaux znalazł Maude. Prawdopodobnie zabrał jej torebkę i zabezpieczył. Jest szefem tutejszej policji.

Sophie poczuła, że mięśnie jej twarzy lekko tężeją, lecz miała nadzieję, że jej rozmówczyni niczego nie zauważyła.

- Prawda. Całkiem zapomniałam. - Zaczęła mówić co popadnie, by ukryć zażenowanie. - Teraz sobie przypominam, że *Nanan* Maude wspominała o jego awansie.

Oczy Marjolaine zwięziły się nieznacznie. Sophie założyłaby się, że gorączkowo odgrzebuje w pamięci luźne plotki o Sophie i Alainie.

- Od trzech... nie, od czterech lat już jest z powrotem w Indigo. Wrócił zaraz po rozwodzie z Casey Jo.

- Wiem, że się rozwiedli. - Sophie starała się nadać głosowi naturalne brzmienie, okazać uprzejme zainteresowanie, lecz nic ponadto.

Marjolaine może nawet nie pamięta, że podczas wakacji po maturze Sophie i Alain chodzili ze sobą. Od tamtego czasu minęło przecież piętnaście lat. Miała również nadzieję, bardziej ze względu na niego niż na siebie, że nikt się nie dowiedział o ich krót-

kim, lecz namiętym związku, kiedy przyjechała do Maude po rozpadzie swojego małżeństwa. Był to romans, który się zakończył, ledwo się rozpoczął, po tym, jak Casey Jo zobaczyła Sophie w ramionach męża i oskarżyła go o zdradę.

Ilekcóż Sophie pomyślała o tamtej strasznej scenie, miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Nie popełnili zdrady, lecz byli bardzo blisko. Od tamtego czasu nigdy nie spotkali się sam na sam, bardzo rzadko ze sobą rozmawiali, a przez ostatnich kilka lat, podczas jej rzadkich odwiedzin u Maude, widywała go tylko z daleka.

- Rozwiedli się dobre pięć lat temu. Casey Jo pracuje w kasynie w Missisipi i stara się dostać do „Idola”. Wyobrażasz sobie?

- Pamiętam, że była bardzo ładna - odrzekła Sophie.

Kruczoczarne włosy, długie nogi, szczupła jak modelka. Nic dziwnego, że wpadła Alainowi w oko. Jeśli wierzyć plotkom przekazanym Sophie przez jedną z wakacyjnych koleżanek, zrobił jej dziecko, już na pierwszej randce. I musiała to być prawda, ponieważ Guy miał teraz piętnaście lat. Jeszcze jeden drobny fakt z życia Alaina, który zdradziecki umysł Sophie zarejestrował i wbrew jej woli przechowywał w pamięci.

- Przyniosę kanapkę - rzekła Marjolaine, słysząc burczenie wydobywające się z brzucha Sophie, i zniknęła za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Zanim Sophie zdążyła usiąść, do pokoju wszedł starszy mężczyzna i skierował się prosto do niej.

- Hugh Prejean, bibliotekarz - przedstawił się.  
- Maude była naszą podporą. Będzie jej nam bardzo brakowało. - Mężczyzna ten, ubrany w staroświecki biały lniany garnitur, z białym kapeluszem w ręku, wyglądał, jak gdyby zszedł z kart powieści Faulknera.

Sophie uściśnęła podaną rękę.

- Dziękuję panu. Maude kochała książki. Tutejsza biblioteka była jej dumą.

- Wspólnie opracowywaliśmy również historię naszej opery. Wiedziała pani o tym?

- Oczywiście.

Hugh Prejean przesunął się o krok, by przez niedomknięte drzwi widzieć okrytą kwiatami trumnę.

- Spędziliśmy wiele godzin, badając historię budynku. Miasto chciałoby przywrócić operze jej blask. Oczywiście kiedy otrzymamy tytuł własności.

- Wiem, że właściciel jest Kanadyjczykiem - rzekła Sophie.

Każdy, kto był w jakikolwiek sposób związany z Indigo, o budynku opery wiedział przynajmniej tyle. Zbudował go pewien arystokrata, daleki przodek Alaina Boudreaux ze strony matki, dla swojej pięknej i utalentowanej żony o kajuńskich korzeniach. Po jej śmierci odziedziczyli go jej kanadyjscy krewni. Maude od lat wynajmowała go na swój sklep, a w razie potrzeby zawsze kontaktowała się z prawnikiem w Nowym Orleanie.

- Czy w najbliższej przyszłości przewiduje pani otwarcie sklepu, Miss Sophie? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale byliśmy z Maude w trakcie ustalania autentyczności portretu Miss Lillian Russell pochodzącego z początków dwudziestego wieku. Byłaby to duża atrakcja turystyczna. Poza tym zyskalibyśmy dodatkowy atut w naszych staraniach o wpisanie opery na listę zabytków. Cała dokumentacja znajduje się w biurze Maude, nie wspominając o pamiątkach nadal przechowywanych na strychu. - Hugh Prejean zamilkł i spojrzął w okno za nimi, chociaż Sophie wiedziała, że nic przez nie nie może teraz zobaczyć, jedynie ich odbicia w szybie. - Te ulewy! - westchnął. - Mimo naszych wysiłków dach jest w kiepskim stanie. Maude miała zamiar znowu porozmawiać o tym z pełnomocnikiem właściciela.

- W tej chwili trudno mi cokolwiek powiedzieć o otwarciu sklepu - odparła Sophie. Nie wybiegała myślą tak daleko w przyszłość. Przecież od śmierci jej matki chrzestnej minęły zaledwie dwa dni! - Nie znam się na antykach - przyznała szczerze.

Jako nastolatka uwielbiała pomagać Maude w sklepie. Nauczyła się doceniać sztukę wykonania i piękno przedmiotów, które matka chrzestna gromadziła i z którymi nie chciała się rozstawać, a także urodę nie aż tak wartościowych drobiazgów, ze sprzedaży których Maude uzyskiwała większość dochodów. Rodzice jednak mieli w stosunku do córki bardziej ambitne plany niż prowadzenie prowincjonalnego sklepiku z antykami. Po ukończeniu Bard

College, uczelni, której absolwentką była jej matka, Sophie podjęła pracę w rodzinnej firmie i zajęła się pozyskiwaniem sponsorów dla kilku mniejszych uniwersytetów i szpitali.

- No tak, tak... Rozumiem, że to spadło na panią tak nagle. - Hugh Prejean nie krył rozczarowania.

- Obiecuję, że jak tylko dostanę klucze Maude, będzie pan mógł tam pójść i zabrać dokumentację oraz obejrzeć dach. - Sophie uśmiechnęła się i uniosła otwarte dłonie. - Bo widzi pan, nie mogę wejść ani do sklepu, ani do domku, dopóki Alain Boudreaux nie przekaże mi jej rzeczy osobistych. Mam nadzieję, że rozumie pan moją sytuację.

Na twarzy Hugh Prejeana odmalowała się ulga. Uśmiechnął się lekko i rzekł:

- Oczywiście. Powinienem był się domyślić, na czym polega trudność. Będę więc czekał na wiadomość. A gdybym mógł się na coś przydać, proszę się nie wahać i dzwonić.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Dziękuję.

Niedługo po tym, jak pan Prejean się oddalił, wróciła Marjolaine, niosąc porcelanowy talerzyk z kanapką i kiścią winogron. Sophie uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Widzę, że poznałaś Hugh Prejeana. Uroczy człowiek. Razem z Maude pomagałyśmy mu przeglądać archiwum opery. Chcemy zebrać wystarczające dowody na poparcie starań o wpisanie jej na listę zabytków.

- Pan Prejean właśnie mi o tym opowiadał.  
- Mam nadzieję, że pozwolisz nam kopać dalej. Większość starych dokumentów wciąż znajduje się na strychu, a dach nie jest w zbyt dobrym stanie. Pragnęlibyśmy przenieść archiwa w bezpieczniejsze miejsce.

- Obiecałam mu, że jak tylko dostanę klucze, wpuszczę go do budynku.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony. Dzięki.

- Nie ma za co.

Sophie nie przyznała się, że oczywiście zamierza dotrzymać słowa, lecz nie zamierza zwracać się do Alaina o klucze wcześniej, niż to będzie absolutnie konieczne.

- Jest tam. - Marie zajrzała przez wąską szparę w nieodkniętych suwanych drzwiach chowanych w ścianie. - Siedzi z Marjolaine przy tym małym stoliku pod oknem. Rozmawiają.

Cecily, Yvonne i Marie, każda z dużym naczyniem żaroodpornym w rękach, ociekając deszczem, stały w dużym holu domu pogrzebowego.

- Nie spoślijnij się, mamo - Cecily ostrzegła Yvonne. - Ta podłoga jest jak szkło.

- Ciekawe, jak Marjolaine ją poleruje? - zastanawiała się Marie na głos, ostrożnie stawiając stopy w wysokich szpilekach na zdradliwych deskach.

- Nie wiem, ale na pewno jej o to nie zapytam - odpaliła Cecily i spojrzała na swoje czarne tenisówki na grubej gumowej podeszwie.



- Dobry wieczór paniom. Na pewno chcą panie zanieść te dania do kuchni, prawda? - Henry Roy, pomocnik Marjolaine, wyłonił się zza rozsuwanych drzwi i zamknął je za sobą gestem zdradzającym lata praktyki. - Ale wpięrow pozwolą panie, że wezmę te mokre okrycia...

Odebrał od nich płaszcze i parasole, następnie otworzył drzwi znajdujące się z boku za schodami i wprowadził je do wąskiego korytarzyka.

- Dzięki, Henry, dalej same trafimy. Znamy drogę - zapewniła go Yvonne. - Wracaj do żałobników.

Henry ukłonił się i zostawił je same.

- To miejsce zawsze przyprawia mnie o dreszcze - poskarżyła się Marie.

- Przecież to tylko kuchnia - mruknęła Cecily.

- Kuchnia, ale w domu pogrzebowym. Cały ten budynek jest przerażający.

W holu rozległy się kroki.

- Ciii... - ostrzegła Yvonne.

- Witajcie. - Marjolaine weszła do kuchni w chwili, kiedy Yvonne wkładała ostatnie naczynie żaroodporne do dużego piecyka. - Henry powiedział mi, że już przyszyście. Macie wszystko, co potrzeba?

- Gabriel wszystko przygotował - zapewniła ją Cecily.

- To taki dobry chłopak - wtrąciła Yvonne.

- Bardzo się stara. - W oczach Marjolaine pojawił się cień smutku, jak zawsze, kiedy była mowa o jej opóźnionym umysłowo bracie. - Stoły są już

nakryte. Jak tylko ojciec Joe skończy modlitwy, poproszę Gabriela, żeby zajął się kawą.

- Dobrze.

W tej samej chwili do kuchni weszły Estelle Jefferson i Helen Silone, szósta i najnowsza członkini ich tajnego kółka, obie obładowane kosztami.

- Przepraszamy za spóźnienie - zaczęła Estelle.

- Jak się dzisiaj ma Willis? - spytała Marjolaine.

- Dziękuję. W miarę.

- Kiedy pogoda się poprawi, od razu poczuje się lepiej - wyraziła nadzieję Marjolaine, wstawiła do zlewu talerzyk i szklanekę i wyszła z kuchni.

Przyjaciółki poustawiały swoje naczynia w piecyku i zwróciły się do Yvonne z pytaniem:

- Jesteśmy gotowe?

Yvonne wyjęła z kieszeni różaniec i kiwnęła głową.

- Tak. Chodźmy powiedzieć naszej Maude *au revoir*, a potem zastanowimy się, jak przymilić się do Sophie Clarkson, żeby wpuściła nas do opery i żeby mój wnuk się nie domyślił, co kombinujemy.

Marie nie ruszyła się z miejsca.

- Czy nie lepiej zaraz po pogrzebie podejść do niej i poprosić o klucz? No, że niby chcemy zabrać nasze rzeczy ze sklepu. Przecież nie przemycamy heroiny ani niczego takiego. Zapłaciłyśmy za towar. Mamy faktury i tak dalej.

- Ale go przeszmurowaliśmy - przypomniała jej Helen i przygryzła wargi. - Prawo zabrania importu leków niedopuszczonych do obrotu w naszym

kraju, doskonale o tym wiesz. Szczególnie tego specyfiku, który przyjmuje Willis.

Helen była strachliwa i nielegalny obrót lekami wzbudzał w niej poczucie winy.

- No właśnie! - syknęła Cecily. -I dlatego od lat się tym zajmujemy.

- W życiu się tak nie najadłam strachu, jak wtedy, kiedy przyszedł urzędowy list, że skonfiskowali przesyłkę z lekarstwami dla Willisa. Ostrzegli, że jeśli jeszcze raz je sprowadzimy z Kanady, pójdziemy do więzienia - przypomniała Estelle.

Cecily ściszyła głos do niemal szeptu:

- Musimy wydostać naszą ostatnią dostawę z opary, co do tego nie ma dwóch zdań - mówiła z przejęciem. - Tu nie chodzi tylko o naszą szóstkę. Co najmniej tuzin chorych czeka na leki. - Nie przejmowała się tym, co robią, bała się, co się stanie z nimi i z Alainem, kiedy zostaną zdemaskowane. - Ale musimy działać ostrożnie i przebiegle. Nie możemy tak po prostu podejść do Sophie Clarkson i zażądać wydania przesyłki, chyba że...

- Że co? - spytała Marie.

Cecily poddała się. Nie mogą zawieść Willisa i rezydentów podopiecznych.

- Chyba że już absolutnie nie będziemy miały wyjścia.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sophie ziewnęła i uniosła dłoń, by zasłonić usta. Muzyka towarzysząca uroczystości, mieszanka kajuńskich ballad i melodii ludowych, zamiast poważnych utworów klasycznych lub religijnych, jak się spodziewała, nie była ani na tyle głośna, ani na tyle żwawa, by przeciwdziałać ogarniającej ją sennieści. Dochodziła północ, lecz w domu pogrzebowym wciąż przebywało około dwudziestu osób, jedząc, pijąc, rozmawiając, a nawet od czasu do czasu się śmiejąc. Zawsze jednak ktoś był przy niej i w serdeczny, troskliwy sposób próbował nawiązać z nią rozmowę. W ciągu ostatnich lat jednak jej związki z Indigo bardzo się rozluźniły i jedynym tematem, na jaki miała coś do powiedzenia, była Maude.

Kiedy rozstawiono bufet, Sophie skosztowała zupy gumbo przyrządzonej przez Estelle oraz zapiekanki ze słodkich ziemniaków dzieła Yvonne Valois, oraz wypła chyba morze kawy, lecz ani cukier, ani kofeina nie odniosły pożądanego skutku. Była tak zmęczona, że oczy same jej się zamykały. Żałowała, że nie skorzystała z propozycji Marjolaine, by pójść na górę i się przespać. Jak ja wytrzymam całą noc i pół jutrzejszego dnia? - zadawała sobie pytanie.

- Nie ma takiego przepisu, który wymaga, żeby tkwiła pani tu bez przerwy - usłyszała za sobą męski głos.

Odwrociła się gwałtownie. Stojący przed nią mężczyzna był młody, co go wyróżniało spośród zgromadzonych gości. Z wyglądu zbliżał się do trzydziestki, miał szerokie ramiona, jasne włosy i niebieskie oczy. Kiedy się uśmiechnął, dech jej zaparło z wrażenia. Był nieprzyzwoicie przystojny. Wyciągnął do niej rękę, a ona automatycznie ją uścisnęła.

- Luc Carter - przedstawił się. Po akcencie poznała, że nie pochodzi z Indigo. Odgadła, że wychował się na północy, może nawet na zachodzie.

- Przyjechałem tutaj dziesięć miesięcy temu. Nie znałem pani Picard tak dobrze jak inni, ale zaprzyjaźniliśmy się. Proszę przyjąć moje kondolencje.

- Dziękuję - rzekła Sophie, która zdążyła już dojść do siebie.

- Mówiłem serio, protokół nie wymaga, żeby czuwała pani tutaj całą noc - ciągnął. - Wygląda pani na zmordowaną.

- Naprawdę aż tak źle?

Z trudem się powstrzymała, by nie przygłodzić dłonią włosów, jasnych, kręconych i niesfornych.

Luc Carter zmieszał się lekko.

- Przepraszam, źle się wyraziłem. Wiem, że przyjechała pani samochodem aż z Houston. Jutro czeka pani kolejny ciężki dzień. Powinna pani odpocząć.

- Marjolaine proponowała mi łóżko na górze, ale... - Tym razem ona się zmieszała.

- Ale pani czułaby się nieswojo, wypoczywając w domu pogrzebowym, tak?

- Wiem, że to głupie, ale tak. Niestety, nie mam gdzie pójść - dodała z nutą irytacji w głosie. - Klucze do domu mojej matki chrzestnej ma Alain Boudreaux, ale nie uznał za stosowne pojawić się tu dzisiaj i mi ich oddać.

Luc Carter przechylił lekko głowę i zaproponował:

- Może pojedzie pani ze mną?

- Co takiego? - wyrwało jej się.

Sophie była zszokowana, lecz miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt ostro. Kim jest ten facet?

Luc spostrzegł jej zażenowanie i uśmiechnął się.

- To zaproszenie, nie jakaś dwuznaczna propozycja. Marjolaine może za mnie poręczyć. Prowadzę pensjonat La Petite Maison - wyjaśnił.

- Nie wiedziałam, że w pobliżu Indigo w ogóle jest jakiś pensjonat - przyznała się Sophie.

Odczuła pewną ulgę. Zauważyła, że obecni wymieniają z jej rozmówcą uprzejmie uśmiechy i ukłony i odpędziła od siebie straszliwe wizje żigolaków wabiących ofiary na odludzie, jakie zaczęły rodzić się w jej głowie.

- Maude nigdy nie wspominała o żadnym.

- La Petite Maison znajduje się około mili od miasteczka, w stronę bagien. Jestem menedżerem, hydraulikiem, ogrodnikiem i dozorcą w jednej osobie, ale właścicielką jest moja babka.

- Znam ją? - uprzejmie spytała Sophie.

W Indigo koneksje rodzinne bardzo się liczyły i do dobrego tonu należało zadanie podobnego pytania.

- Wątpię - odparł Luc odrobinę opryskliwie i by złagodzić złe wrażenie, ponownie się uśmiechnął.

- Od lat mieszka w Nowym Orleanie. Tutejsza posiadłość służyła jej jako letni dom.

- A pan zawsze marzył o własnym hotelu, tak?

Na okamgnienie śmiech zniknął z twarzy Luca.

- Przed przyjazdem tutaj kilka lat pracowałem w branży hotelowej.

- Rozumiem. Czyli ma pan wolny pokój na dzisiejszą noc?

- Nie tylko na dzisiejszą - zapewnił. - Działamy dopiero od kilku tygodni. Mogę pani zaproponować pokój na tak długo, jak będzie pani potrzebowała. Jeśli nie przeszkadza pani wchodzenie po kilku dodatkowych schodach, dostanie pani apartament na poddaszu. Ma osobną łazienkę z jacuzzi.

- Brzmi to cudownie.

- Widok z balkonu też jest nie do pogardzenia. Zobaczy pani ogród i Bayou Teche. O tak wczesnej porze roku ogród jeszcze nie rozkwitł, ale obserwowanie rzeki nigdy mnie nie nudzi.

- Naprawdę pan sądzi, że mogłabym stąd wyjść?

- upewniała się Sophie.

Marjolaine mówiła jej to samo, ale Sophie miała wątpliwości. Rozejrzała się po pokoju. Trzy przyjaciółki Maude: matka Alaina i Marie Lesatz, jego eksteściowa, oraz Estelle Jefferson, siedziały po le-

wej stronie trumny. Gdyby została, pewnie musiałaby się do nich przyłączyć.

A co z Alainem? Uświadomiła sobie, że nawet jej to odpowiada, że na razie go nie spotka. Mniejsza z tym, że tchórzy.

- Bardzo chętnie zamieszkać w La Petite Maison - oświadczyła. - Wezmę tylko swój płaszcz - dodała - i jestem gotowa. Poczekaj pan?

Pięć minut później stali na szerokiej werandzie domu pogrzebowego. Deszcz wciąż padał, zimny i nieustępliwy. Nad trawnikiem utworzyła się mgła. Sophie wzdrygnęła się. Nie było aż *tak* zimno jak w Houston, lecz wilgoć przenikała do szpiku kości.

- Zaparkowała pani w pobliżu? - zapytał Luc Carter.

Trzymał w ręku ogromny czarny parasol, który Marjolaine im wcisnęła. Wydawała się zadowolona z decyzji Sophie i zapewniła Luca, że nie może się doczekać, kiedy obejrzy pensjonat po remoncie, tym samym rozwiewając ostatnie wątpliwości Sophie co do jazdy w nieznaną do dopiero co spotkanym przystojnym mężczyzną.

- Stanęłam przed kościołem.

- Proszę dać mi kluczyki, to przyprowadzę samochód - zaproponował Luc.

Sophie już miała odpowiedzieć, że sama da sobie radę, kiedy duży terenowy wóz ze świecącym policyjnym logo podjechał pod dom pogrzebowy i zatrzymał się tuż koło nich. Drzwi otworzyły się i z auta wysiadł Alain Boudreaux. Sophie poznałaby go



wszędzie. Wysoki, szczupły, wysportowany, z głową lekko pochyloną na lewe ramię. Mimo późnej pory wciąż ubrany był w czarny mundur, czarną krótką skórzaną kurtkę i szary kowbojski kapelusz w plastikowym pokrowcu.

- O wilku mowa - mruknął Luc pod nosem. - Sześć policji we własnej osobie przybył z kondolencjami.

-. Dobry wieczór - rzucił Alain Boudreaux i przyłożył dwa palce do rądo kapelusza.

-. Dobry wieczór - odpowiedział Luc Carter neutralnym tonem. - Ciężka noc? - zagadnął.

- Jak zwykle, kiedy pada. Niektórzy kierowcy nigdy się nie nauczą jeździć po mokrej nawierzchni - odparł Alain i odwracając głowę w stronę kobiety stojącej u boku najnowszego obywatela Indigo, dodał: - Witaj, Sophie.

Ogromny czarny parasol, który Carter trzymał nad nimi obojgiem, rzucał cień na jej twarz, lecz Alain nie musiał widzieć miny Sophie, by się domyślić, iż ma się przed nim na baczności.

- Dobry wieczór, Alainie - odrzekła uprzejmym, lecz zdawkowym tonem, jak gdyby był kolejnym znajomym Maude, przychodzącym, by złożyć kondolencje.

Alain nie wyciągnął ręki, ponieważ obawiał się własnej reakcji. Czy jej dotyk i teraz będzie tak elektryzujący jak dawniej? Czy przeciwnie, z latami fascynacja osłabła, albo całkiem minęła? Nie chciał się o tym przekonać, na pewno nie teraz. Sophie

również nie podała mu dłoni. Ręce trzymała głęboko wciśnięte w kieszenie drogiego zamszowego płaszczka o kroju klasycznego trencza. Pasek ciasno zawiązała w talii, co tylko uwypuklało jej kobiece, wciąż ponętne kształty.

- Żałuję, że nie udało mi się dotrzeć tu wcześniej - Alain zaczął się tłumaczyć - ale na autostradzie zdarzył się wypadek. Niestety, szeryf okręgowy nie uznał za stosowne wysłać patrolu drogowego aż tak daleko na południe - dodał z sarkazmem.

Był to kolejny dowód na to, że Indigo traktowane jest po macoszemu i dlatego Alain poważnie zastanawiał się, czy w następnych wyborach na szeryfa nie zgłosić własnej kandydatury.

- Nie tłumacz się z tego, że wykonujesz swoje obowiązki. Mam nadzieję, że nikt nie ucierpiał.

- Na szczęście obyło się bez ofiar śmiertelnych.

- To dobrze.

- Zabieram panią Clarkson do La Petite Maison, żeby mogła chociaż kilka godzin odpocząć - wtrącił Luc.

Alain obrzucił go szybkim spojrzeniem. Zauważył białą jedwabną koszulę i drogi garnitur o europejskim kroju i na jedno mgnienie odezwały się w nim dawne kompleksy.

- Przywiozłem ci rzeczy osobiste Maude - rzekł i ruchem głowy wskazał samochód. - Przepraszam, że dopiero teraz. Miałem zamiar oddać ci je już kilka godzin temu.

- Rozumiem. Obowiązek przede wszystkim.

- Sophie cały czas mówiła tym uprzejmym, lecz zdawkowym tonem, który świadczył, że stosunki z nim zamierza ograniczyć tylko do absolutnie koniecznych kontaktów.

- Podwożę cię do pensjonatu, jeśli nie chcesz sama prowadzić - wyrwało mu się.

To była automatyczna reakcja, czysto zawodowa. Sophie nie znała okolicy, była ciemna noc, padał deszcz. Jego obowiązkiem jako stróża prawa było zadbanie o jej bezpieczeństwo. Za propozycją nie kryły się żadne osobiste motywy.

- La Petite Maison znajduje się zaledwie milę stąd. Właśnie miałem zaproponować pani Clarkson to samo, jeśli czuje się zbyt zmęczona, żeby usiąść za kierownicą.

Alain znowu skierował uwagę na Cartera. Coś w jego oczach zdradzało, że nie zawsze opływał w dostatki. W jego życiorysie były też białe plamy. Kłopoty w Nowym Orleanie skończyły się dwuletnim nadzorem kuratorskim i zesłaniem na głęboką prowincję.

- Zmęczona to ja jestem staniem na deszczu i dyskusją o tym, gdzie mam spędzić noc. - Ostry głos Sophie przerwał mu rozmyślenia o niedawnych za targach Luca z prawem. - Dziękuję za obie propozycje, ale sama dojadę do pensjonatu. Panie Boudreaux, wdzięczna będę, jeśli odda mi pan rzeczy mojej matki chrestnej, zanim odjadę. - Z tymi słowami wyszła spod parasola i szybkim krokiem udała się do swojego samochodu.

- No to pokazano nam, gdzie nasze miejsce  
- mruknął Luc, odprowadzając ją wzrokiem.

- Bez wątpienia.

Może czas pogrzebać w przeszłości tego faceta, zastanawiał się Alain. Pensjonat był własnością Celeste Robichaux, babki Luca, którego ojcem był Pierre Robichaux, chociaż z jakiegoś powodu Luc używał panieńskiego nazwiska matki. Starszym mieszkańcom Indigo Celeste Robichaux była postacią dobrze znaną. Tylko nieliczni jednak, ci, którzy przywiązywali dużą wagę do związków krwi i koneksji rodzinnych, wiedzieli, że córka Celeste, Anne, wyszła za mąż za Remy'ego Marchanda i obecnie jest właścicielką hotelu w Nowym Orleanie.

Hotelu, o którym mniej więcej rok temu było w prasie głośno.

- Widzę, że twoje szare komórki pracują na pełnych obrotach, szefie - odezwał się Luc. - Odkąd tu zamieszkałem, nie popełniłem żadnego wykroczenia i ani razu nawet o pięć minut nie spóźniłem się do kuratora.

- Wiem.

Luc Carter uniósł brwi.

- Wzajemna wymiana usług pomiędzy policją w Nowym Orleanie i Indigo?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie musi pan uprzykrzać mi życia tylko dlatego, że zaproponowałem tej pani pokój, szefie. To moja praca.

- Nie uprzykrzam nikomu życia. Ja również wy-

konuję swoją pracę. Ciężą na tobie poważne zarzuty. Byłeś oskarżony o kradzież i oszustwa.

- To, co robiłem w Nowym Orleanie, nie przynosi mi zaszczytu, ale przez ostatnie dziesięć miesięcy harowałem jak wół, żeby zadośćuczynić Marchandom za wyrządzone krzywdy.

- To znaczy twojej rodzinie.

Luc milczał, a Alain postanowił nie naciskać.

- Przechodzę dwuletni okres próbny. Następne trzy lata nienagannego zachowania i będę miał czyste konto. Będzie mi o wiele łatwiej to osiągnąć, jeśli całe miasto nie dowie się o moich grzechach. - Odgłos zbliżającego się samochodu przerwał im rozmowę. - Nadjeżdża pani Clarkson. Co mam jej powiedzieć? - zapytał Luc.

Ma facet rację, pomyślał Alain. Odkąd tu przyjechał, zachowuje się jak wzorowy obywatel i nie mam powodu się go czepiać. Zdenerwowałem się tylko, widząc go z Sophie pod jednym parasolem, ale to zupełnie inna sprawa.

- Przyniosę rzeczy Maude, a ty idź po swój wóz - polecił.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień pogrzebu był chłodny, lecz słoneczny. Przed świtem wiatr rozwiął nisko zawieszony deszczowe chmury i dzięki temu grupka żałobników, która czuwała przy zmarłej aż do rana, mogła podziwiać wspaniały wschód słońca. Kiedy składano trumnę do rodzinnego grobowca z różowego marmuru na cmentarzu przylegającym do kościoła św. Tymoteusza, niebo było już błękitne.

Podczas pogrzebu niektórzy przyjaciele Maude płakali, lecz lunch upłynął już w pogodniejszym nastroju. Tak jak wiatr rozpędził chmury, tak radosne wspomnienia długiego, pracowitego życia Maude rozpędziły smutek.

Zanim Sophie pożegnała się ze wszystkimi, zapewniła rodziców, że mogą wracać do Houston i zostawić ją tu samą. Gdy dojechała do pensjonatu, była tak zmęczona, że od razu położyła się do łóżka i obudziła dopiero następnego dnia w południe. Fizycznie czuła się wypoczęta, lecz z niechęcią myślała o wyprawie do miasta. Żałowała, że nie ma tu z nią babki. Nie paliła się do przeglądania rzeczy Maude sama.

Dochodziło już późne popołudnie, a ona wciąż siedziała w bujanym fotelu na werandzie La Petite

Maison. Owinęła się szczelniej połami swetra i wprawiła fotel w ruch. Szczerze przyznała się w duchu, że jej brak entuzjazmu wynikał z lęku, iż biorąc do ręki zgromadzone przez Maude starocie, obudzi wspomnienia wakacyjnego romansu z Alainem Boudreaux.

Drzwi za nią rozsunęły się.

- Przyniosłem herbatę i babeczki - oznajmił Luc i postawił przed nią tacę z drewna tekowego nakrytą misternie haftowaną serwetką, na której stał srebrny imbryczek zawinięty w ściereczkę i filiżanka z zielonego szkła z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

- Przepraszam, jeśli przerwałem ci rozmyślenia - dodał. Odkąd Sophie zamieszkała w jego pensjonacie, zdążyli przejść na ty. - Ale mogę zabrać, jeśli nie masz teraz ochoty na herbatę...

- Nie, nie, zostań. Filiżanka herbaty to jest właśnie to, czego mi potrzeba.

- Nie chciałbym przeszkadzać...

- Nie przeszkadzasz. Obawiam się, że gdybym tak dłużej posiedziała, tobym się zdrzemnęła. Tu jest tak przyjemnie, że nie chce mi się nigdzie ruszać - wyznała.

La Petite Maison było cudownym miejscem. Pensjonat mieścił się w autentycznym, liczącym sobie dwieście lat kreolskim wiejskim domu z drewna cypryskiego, pokrytym cedrowym dachem. Wszystkie pokoje gościnne, świeżo wyremontowane i urządzone, wychodziły na werandę, zajmowany zaś przez Sophie niewielki apartament na poddaszu miał włas-

ny balkon. Za miesiąc lub dwa w ogrodzie rozkwitną wiosenne krzewy, a na rabatach kwiaty.

- Ładne popołudnie. Miła odmiana po zimnie i ulewach, jakie nas nawiedziły - ciągnął Luc.

Sophie wyciągnęła przed siebie nogi.

- Wstyd mi, że marnuję taki dzień. Powinnam być w domu Maude albo w sklepie, porządkować jej rzeczy.

Luc przyglądał się jej chwilę, zanim rzekł:

- Ostatnie dni były dla ciebie ciężkie. Rzeczy Maude mogą poczekać. Jej przyjaciółki usunęły z lodówki wszystkie łatwo psujące się produkty. Kotem zajęła się sąsiadka. Nie ma powodu zabierać się do porządkowania, dopóki nie odpoczniesz i nie poczujesz, że jesteś gotowa.

Nalał herbatę do filiżanki i podał Sophie, potem usiadł w sąsiednim fotelu.

- Wyśmienite babeczki - pochwaliła. - Tak samo jak chleb orzechowy, który jadłam na śniadanie. Czyje to dzieło?

- Loretta Castille dopiero niedawno otworzyła piekarnię. Ucieszy się, jak jej powiem, że smakują ci jej wypieki.

Po drugiej filiżance herbaty Sophie poczuła, że nie może dłużej odkładać wyprawy do Indigo. Wstała.

- No, sądzę, że teraz wytrzymam do kolacji - rzekła.

Luc również się podniósł.

- Przejeżdżając obok Blue Moon, zobaczyłem, że mają dziś w menu zupę żółwiową. Gorąco polecam.



- Dziękuję. Będę pamiętać.

Luc otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą, kiedy szła po torebkę.

- Gdybyś potrzebowała towarzystwa, jestem do dyspozycji - zaproponował lekkim tonem, lecz jego wzrok zdradzał, że sonduje sytuację.

- Dziękuję. Dam sobie radę.

Sophie doceniała jego dobre chęci, lecz wiedziała, że sama musi się uporać z czekającym ją zadaniem.

Niemniej kiedy otworzyła drzwi domu Maude i przywitał ją znany zapach kotów, starych skórzanych mebli i lawendy, który zawsze kojarzył jej się z matką chrzestną, żałowała, że nie skorzystała z oferty Luca.

Wszystko było tu jak zawsze, brakowało tylko krzątającej się po pokojach gospodyni. Sophie przysiadła na starej, obitej kretonem w kwiaty sofie i ukryła twarz w dłoniach. Łzy, które całe popołudnie czuła pod powiekami, nareszcie popłynęły z jej oczu.

- Zegnaj, *Nanan* - szepnęła..- Będzie mi ciebie brakowało. Babcia Darlene też będzie tęsknić.

Ile szczęśliwych chwil spędziłam w tym domu, myślała. Jako jedyna córka czynnych zawodowo rodziców Sophie często czuła się samotna. Babcia Darlene, prowadząca aktywne i urozmaicone życie, również nie miała czasu bawić się z nią lalkami i szmatkami.

Ale podczas wizyt w Indigo wszystko było inaczej. Na zapleczu Dawnych Dobrych Czasów znajdowało się mnóstwo staroświeckich strojów, w któ-

re mogła się przebierać, zabawek, które trzeba było wyczyścić, lalek, którymi można się było pobawić. Tutaj miała koleżanki, z którymi szalała na rowerze, pływała w basenie, chodziła na lody. W weekendy odbywały się festyny parafialne, a kiedy skończyła osiemnaście lat, pojawił się Alain...

Odpędziła od siebie wspomnienia, wstała, obeszała cały dom. Wszystko wyglądało tak samo jak podczas jej ostatnich odwiedzin. Uznała, że nie musi już dzisiaj burzyć tego obrazu.

Przełknęła dławiącą gulę w gardle. Wyszła, zamknęła za sobą drzwi. Dom może poczekać, aż okrzepnie psychicznie, natomiast sklepem trzeba się zająć od razu. I musi rozejrzeć się za kimś, kto pokieruje antykwariatem do czasu, kiedy będzie mogła go sprzedać.

Postanowiła nie brać samochodu i przejść się na miejski skwer. Przez trawnik, na którym rosły ogromne dęby, biegły dwie alejki. W miejscu ich przecięcia stał pomnik żołnierza Konfederacji z wypisanymi na cokole nazwiskami młodych chłopców z Indigo poległych w wojnie secesyjnej. Na czele listy figurował Alexandre Valois, fundator opery. To wdowa po nim wystawiła pomnik.

Sophie uśmiechnęła się do siebie, zadowolona, że pamięta fragmenty historii miasteczka opowiedzianej przez Maude. Mijani mieszkańcy Indigo, których rozpoznawała z czuwania przy trumnie i z pogrzebu, witali ją uprzejmym skinieniem głowy, starając się nie przyglądać się jej zbyt natrętnie. Sophie

odpowiadała równie uprzejmymi ukłonami, lecz jej uwagę przykuwał budynek opery.

Widać było wyraźnie, że elewacja i dach wymagają remontu. Następujące tuż po sobie huragany Katrina i Rita wyrządziły więcej szkód niż okupacja żołnierzy Unii.

Sophie przekreśliła w zamku klucz, który znalazła w torebce matki chrzestnej, i otworzyła ciężkie skrzydło drzwi, trącając dzwoneczek. I tutaj woń lawendy, starej skórzanej tapicerki i kurzu uderzyły ją w nozdrza, lecz tym razem smutek zmieszał się z radością. Uwielbiała Dawne Dobre Czasy. Tamtego lata, kiedy była tak bardzo zakochana w Alainie, wyobrażała sobie, że mieszka w Indigo i pracuje z Maude wśród tych wszystkich pamiątek minionej epoki.

Oczywiście szybko po powrocie do Houston matka wybiła jej te mrzonki z głowy. Ale nawet gdyby Sophie miała odwagę jej się przeciwstawić, krótki list od ukochanego, w którym zrywał ich potajemne zaręczyny, ponieważ zdecydował się wstąpić do wojska, aby zarobić na studia, położył kres jej dziewczęcym fantazjom.

Przynajmniej do tamtego lata tuż po jej rozwodzie, kiedy łudziła się, że odnaleźli miłość. To wtedy ciężarna żona Alaina przyłapała ich złączonych czułym uściskiem.

I stało się to właśnie w tym budynku.

Sklep zajmował prostokątny westybul opery. Kon-tuar pochodzący ze zlikwidowanego tomu towaro-

wego w Memphis stał dokładnie przed wysokimi rzeźbionymi podwójnymi drzwiami prowadzącymi na widownię.

Zawahała się i zatrzymała w pół kroku, lecz szybko odpędziła od siebie wątpliwości i wyrzuty sumienia. Jeśli nie chce, nie musi już dzisiaj wchodzić do magazynu ze sceną i wypukłymi łozami po bokach. W końcu to przecież uczyni, ale poczeka na moment, kiedy nie będzie myślała o Alainie, lecz o magii tego miejsca. W dzieciństwie puszczała wodze fantazji, zaludniała widownię damami w krynolinach i dżentelmenami w szarych mundurach wojsk Konfederacji, kapeluszach z piórem i szablą u boku, a w jej głowie rozbrzmiewała muzyka i szmer rozmów.

Przechadzając się po sklepie wśród antycznych mebli i bibelotów, uświadomiła sobie nagle, że pozornie bezładna aranżacja wnętrza ułatwiała przepływ klientów, prowadząc ich ostatecznie do rozmaitych pamiątek sprzed wojny, świec i kosmetyków opartych na starych recepturach sprzedawanych z dużą marżą, które przynosiły Maude spory dochód.

Zastanawiała się, której z poznanych w Indigo osób mogłaby powierzyć prowadzenie antykwariatu. Ze smutkiem skonstatowała, że grono znajomych Maude bardzo się w ciągu ostatnich siedmiu lat skurczyło. Lecz otwarcie sklepu to i tak piosenka przyszłości. Po pierwsze należy zrobić remanent i przeprowadzić postępowanie spadkowe.

W takim razie lepiej od razu zobaczyć, co ją czeka. Energicznym krokiem podeszła do drzwi na

widownię, wzięła głęboki oddech, ujęła gałki i już miała pchnąć oba skrzydła, kiedy usłyszała delikatny dzwoneczek sygnalizujący wejście klienta. Obejrzała się. Przez matowe szkło w drzwiach wejściowych majaczyła sylwetka wysokiego mężczyzny w kowbojskim kapeluszu, opromienionego popołudniowym słońcem.

Alain.

Przeszłość powróciła.

scandalous

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dzień dobry.

Nie ruszyła się z miejsca. Alain spostrzegł, że ukradkiem spojrzała przez otwarte drzwi wejściowe na skwer, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nikt nie patrzy.

Psiakrew! Czyżby wciąż pamiętała, jak Casey Jo przyłapała ich na zapleczu? Nie robili nic złego, ale ona natychmiast wyciągnęła wnioski i z furją ich zaatakowała.

Alain chciał wnieść pozew o rozwód jeszcze przed owym feralnym dniem, kiedy jego żona, w szóstym miesiącu ciąży, znowu pojawiła się w jego życiu, lecz nie miał okazji powiedzieć o tym Sophie.

- Dzień dobry, Alain.

Lubił sposób, w jaki wymawiała jego imię, nadając mu francuskie brzmienie, co miało większy związek z kosztownym wykształceniem niż z wakacjami spędzonymi w Indigo, kiedy była dzieckiem.

- Widziałem, jak przechodzisz przez skwer, i postanowiłem wstąpić, spytać, czy można ci w czymś pomóc.

Nie był to dobry pretekst, ale żaden lepszy nie przyszedł mu do głowy.

Wciąż z ręką na gałce drzwi, Sophie odpowiedziała:

- Przyszłam, żeby się tylko wstępnie zorientować w sytuacji. - Zamilkła, przełknęła łyk. Alain wyraźnie widział skurcz mięśni na jej szyi. - Okazuje się, że przeglądanie rzeczy Maude jest znacznie trudniejsze, niż mi się wydawało - ciągnęła. - Sądziłam, że łatwiej mi będzie zacząć od sklepu, ale się pomyliłam. - Rozejrzała się dookoła. Alain spostrzegł, że oczy jej zwilgotniały. - Trzeba zrobić remanent, prawda? Bez tego nie przeprowadzę postępowania spadkowego...

- Chyba tak. Jesteś jedyną spadkobierczynią?

Może jeśli ograniczymy się w rozmowie do spraw przyziemnych i praktycznych, przestanie wyglądać, jak gdyby miała się zaraz rozpłakać, pomyślała.

Albo odwróci się na pięcie i ucieknie.

- Jestem i spadkobierczynią, i wykonawczynią testamentu. Maude porobiła wiele zapisów: biblioteka, towarzystwo historyczne, kościół. Chciałabym wypełnić jej wolę.

- Jeśli zdecydujesz się zamknąć sklep, pewnie będziesz musiała zorganizować aukcję, żeby pozbyć się tego wszystkiego - zauważył.

- Wiem. - Sophie odprężyła się już na tyle, by puścić drzwi, lecz natychmiast objęła się rękami, może dlatego, że zrobiło jej się zimno, lecz bardziej prawdopodobnie dlatego, by dać mu sygnał, aby nie próbował się do niej zbliżyć. - Jeszcze nawet nie weszłam na zaplecze. - Z jej tonu wywnioskował, że

nie ma zamiaru tego robić w jego obecności. - Nie wiem, czy mogę otworzyć sklep, zanim nie porozumiem się z adwokatem *Nanan*. I nie znam nikogo w Indigo, komu mogłabym powierzyć prowadzenie tego interesu.

- Akurat w tym mógłbym ci pomóc. Może Hugh Prejean zgodziłby się pokierować sklepem przez kilka tygodni? Z biblioteki praktycznie już odszedł, a na antykach zna się jak mało kto w okolicy. Przychodzą mi do głowy jeszcze ze dwie, trzy osoby.

- Dzięki. Będę pamiętać o panu Prejeanie. Maude pewnie by wolała, żebym sprzedała cały sklep jakiemuś antykwariuszowi, który dalej by go prowadził, a nie wyzbywała się hurtem zgromadzonych przez nią staroci. Poza tym muszę sprawdzić warunki dzierżawy lokalu.

- Nie wszystko od razu. Jak powiedziałaś, dopiero po rozmowie z prawnikiem będziesz mogła robić jakieś konkretne plany.

Alain zdjął kapelusz i położył go na szklanej gablotce ze sztuczną biżuterią. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, zatknął kciuki za pas.

- Masz rację. Ale przede wszystkim muszę się zastanowić, jak długo zostanę w Indigo.

Alain poczuł, że serce zabiło mu mocniej.

- W Houston czeka na ciebie praca?

Nie chodziło mu o pracę, lecz o to, czy ktoś czeka na nią w domu...

- W tej chwili jestem odrobinę wolniejsza. Właśnie zakończyliśmy zakrojoną na szeroką skalę kampanię



pozyskiwania sponsorów dla Northwestern College koło Beaumont.

- Nigdy nie słyszałem o takiej uczelni - rzekł, uznając, że szczerowość będzie najlepszą strategią w stosunkach z Sophie. - Pewnie dlatego, że nie mają tam dobrej drużyny piłkarskiej - zażartował ze szczyptą autoironii.

- Rzeczywiście, nie mają. To niewielka uczelnia specjalizująca się w kierunkach humanistycznych. Przez ostatnie półtora roku udało mi się zdobyć dla nich dotacje warte aż dwa miliony dolarów - pochwałała się.

- Gratuluję.

- Dziękuję. Kosztowało mnie dużo zachodu namówienie sponsorów, żeby przekazali pieniądze na uczelnię, która nie ma sukcesów w sporcie - dodała z uśmiechem, który świadczył o tym, że doceniła jego dystans do samego siebie.

Podeszła do małego okrągłego stolika na jednej nodze i wzięła do ręki delikatną porcelanową filiżankę w różowe i żółte różyczki.

- Nie zdążyłam już opowiedzieć o tym Maude. Byłam tak zaabsorbowana kampanią, że nie zdołałam odwiedzić jej w wakacje. Myślałam - głos jej lekko zadrżał - myślałam, że za miesiąc albo dwa przyjadę na dłużej razem z babcią Darlene. A teraz już jest za późno na cokolwiek.

- Maude zmarła nagle. Doktor Landry zapewnił mnie, że nie cierpiała. Przysiadła w fotelu i usnęła.

- Wiem - szepnęła. - Mnie powiedział to samo,

kiedy przyszedł do domu pogrzebowego pochylić się, nad trumną. Ale to nie zmienia faktu, że nie zdołałam się z nią pożegnać.

Alain wziął swój kapelusz i zaczął zwijać rondo. Poczul przemożną chęć pocieszenia Sophie. W ciągu ostatnich pięciu lat, jakie upłynęły od rozvodu z Casey Jo, wiele o niej myślał, ale zawsze udawało mu się trzymać uczucia na wodzy. Do teraz. Do śmierci Maude. Od tamtego dnia nie mógł się już uwolnić od wspomnień i pragnień.

Niedobrze.

Włożył kapelusz. Da sobie radę. Nie jest osiemnastolatkiem przeżywającym pierwszą miłość, któremu burza hormonów odebrała rozum. Nie ma już też dwudziestu ośmiu lat, nie łudzi się, że w ciągu kilku letnich dni, zanim urodzi się Dana, uda mu się uporządkować życie i zyskać drugą szansę.

Jak to ludzie mówią? Do trzech razy sztuka?

To się jednak nie odnosi do takich wiejskich chłopaków jak on. Sophie jest cholernie pociągająca, ale przyrzekł sobie, że nie spojrzy na żadną kobietę, pociągającą czy nie, dopóki nie odchowa dzieci. Nie, nie, nie ma aż tak szlachetnego charakteru. Po prostu z tak nieprzewidywalną i nieodpowiedzialną była żoną jak Casey Jo nie miał wyjścia.

Delikatnie zadzwęczał dzwoneczek u drzwi.

- Czyżby jacyś klienci, czy mi się tylko wydaje? - spytała Sophie i odstawiła filiżankę na talerzyk.

Podniosła głowę i spojrzała w stronę wejścia.

I rzeczywiście, na progu stały dzieci Alaina, które właśnie wysiadły ze szkolnego autobusu.

Piętnastoletni Guy był wysokim, dość niezgrabnym chłopcem, który poza boiskiem do gry w piłkę nożną albo w koszykówkę nie wiedział, co zrobić z długimi rękami i nogami. Przypominał jej Alaina w tym wieku.

Siedmioletnia Dana była szczupła i niewysoka jak na swój wiek. Miała kruczoczarne włosy i szmaragdowe oczy i wyglądała jak skóra zdjęta z matki, chociaż nawet w jej wieku Casey Jo nie włożyłaby bawełnianej sportowej bluzy, zdezelowanych adidasów i bejsbolówki odwróconej daszkiem do tyłu. Casey Jo od urodzenia była kobietą, jej córka zaś na razie robiła wszystko, żeby wyglądać jak chłopak.

- Każę im zaczekać w samochodzie - rzucił Alain i ruszył do drzwi, lecz Sophie go powstrzymała.

- Nie, niech wejdą. Chciałabym ich poznać.

- Cześć, tato. - Dana wbiegła do środka i uczepiła się ręki ojca, uważając, żeby nie zawadzić o wystającą kaburę pistoletu i pojemnik z gazem łzawiącym.

- Cześć, *petite* - odrzekł i wolną ręką pogładził ją po policzku. - Jak było w szkole?

Zwracał się do córki po kajuńsku, lecz ona odpowiadała po angielsku, wyraźnie speszona obecnością nieznannej kobiety.

- Dobrze. Pierwsza oddałam pracę - pochwaliła się. - Już umiem napisać krótkie wypracowanie.

- Świetnie.

Nie puszcżając jego ręki, Dana kątem oka spojrzęła na Sophie i spytała nieśmiałym głęsikiem, tym razem po kajuńsku:

- Kim jest ta pani?

- To jest Sophie Clarkson. Chrzestna córka pani Maude.

- Cześć, Dano - odezwała się Sophie.

- Cześć - odpowiedziała dziewczynka.

- A to mój syn - przedstawił Alain.

- Cześć, Guy - rzekła Sophie, wymawiając imię chłopca z francuska i obdarzając go olśniewającym uśmiechem.

Nastolatek spieszył się i dopiero po chwili ochłonał na tyle, żeby ująć wyciągniętą w jego stronę rękę.

- Miło mi panią poznać - wybąkał.

- My się już znamy. Poznaliśmy się, kiedy byłeś małym chłopcem - przypomniała mu Sophie.

- Przykro mi, ale nie pamiętam - odparł, podnosząc głowę.

- To było dawno temu - rzekła łagodnym tonem, a Alain zaczął się zastanawiać, czy powiedziała to z nutą żalu, czy tylko mu się tak zdawało.

- Skąd się tu wzięliście? - spytał, by zmienić temat i odpędzić od siebie wspomnienia tamtego lata z Sophie i tej drugiej straconej szansy. Wiedział, że gdyby pozwolił im się zdominować, czekałaby go bezsenna noc.

- Dana zobaczyła radiowóz i uparła się, żeby wejść - wyjaśnił Guy. - Babcia pracuje dzisiaj do późna i nie przysza na przystanek nas odebrać.

Dobrze, że nie pada, bo smarkuła zapomniała parasola. Przemokłaby do nitki.

- Nie zapomniałam, tylko nie zabrałam - obruszyła się Dana. - Rano świeciło słońce. I teraz też świeci - dodała. - Jego wcale nie obchodzi, że ja bym zmokła. On myśli tylko o tym, żebyś mu kupił samochód i żeby mógł nim jeździć do szkoły.

- Nieprawda - burknął Guy, zarumienił się i wbił wzrok w czubki butów.

- A właśnie, że prawda - upierała się Dana.

- Przestańcie się kłócić, dobrze? - przerwał im Alain. - Dziękuję ci, synu, że troszczysz się o siostrę, ale pragnę przypomnieć, że szesnaście lat skończysz dopiero za trzy miesiące. Jeszcze mamy czas porozmawiać o samochodzie.

Guy już miał coś odpowiedzieć, lecz zmienił zamiar i włożył ręce do kieszeni spodni.

- Mam trening. Możesz mnie podrzucić do domu, bo muszę zabrać torbę? - zapytał.

- Chyba tak - odpowiedział Alain.

I tak trzeba przed końcem dyżuru zrobić objazd.

- Poczekał w samochodzie - rzucił chłopak, a zwracając się do Sophie, dodał z rozbrajającą szczerością: - Miło mi było panią poznać, ale nie mogę zostać, bo ile razy tu jestem, zawsze mi się wydaje, że coś stłukę.

Sophie wybuchnęła śmiechem. Nagle przypomniała sobie, jak sama była w jego wieku i miała jak gdyby za dużo rąk i za dużo nóg.

- Zgadza się, jest tu mnóstwo pułapek. Dobrze

by było to i owo poprzestawiać, żeby klienci mogli się swobodniej poruszać po sklepie, nie uważasz?

- Moim zdaniem to całkiem dobry pomysł. - Zamilkł i potoczył wzrokiem po zagraconym wnętrzu.

- Naprawdę dobry.

- Zastanowię się nad tym. Oczywiście musiałyby mi ktoś w tym pomóc...

Guy spojrział na ojca.

- Czasami pomagam w pensjonacie. Pan Carter mógłby za mnie poręczyć. I... - zająknął się - i znam kilku chłopaków, którzy sprawdzili się w przedstawianiu mebli. Nie bierzemy dużo.

- Będę pamiętać - obiecała Sophie. Wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Do zobaczenia, Guy. Mnie też miło było cię poznać.

Guy uściśnął jej dłoń, pomachał ojcu ręką i zniknął za drzwiami.

- A mnie się podoba tak jak jest - oświadczyła Dana, która tymczasem zaczęła przechadzać się po sklepie. - I nie boję się, że coś stłukę.

- Chłopcy są inni niż dziewczynki. Ciągłe ci to powtarzam - rzekł Alain lekko znużonym tonem.

- Może... - Dana wzruszyła ramionami. - Lubię takie starocie - wyznała, gładząc etolę z lisa przewieszoną przez oparcie krzesła z wyplatany siedzeniem.

- Podobnie jak ja - wtrąciła Sophie.

Dziewczynka spojrzała na nią badawczym wzrokiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ale nie wiem o nich tyle co moja *Nanan* Maude - dodała z żalem.

Ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła, że bardzo chciałyby się zbliżyć do córeczki Alaina i... Casey Jo. Szybko jednak się opanowała. Uznała, że lepiej zachować dystans w stosunku do dziecka.

- Kiedy tu przychodziłam z *Mamere* Yvonne, pani Maude opowiadała mi o operze i jak podczas wojny secesyjnej był tu szpital. - Usta dziewczynki wygięły w podkówkę. - *Mamere jest* bardzo smutno, że pani Maude umarła.

- Były serdecznymi przyjaciółkami. Mnie też jej bardzo brakuje. Była moją mamą chrzestną.

Zapominając o swoim postanowieniu, przyklękła obok dziewczynki.

- *Nanan* znaczy mama chrzestna, tak? Tata uczy mnie kajunskiego - wyjaśniła. Nagle wyciągnęła rączkę i pogładziła Sophie po ramieniu tak delikatnie jak gładziła lisa. - *Mamere* powiedziała, że pani Maude poszła do nieba i jest z Panem Jezusem i świętymi i męczennikami i ze swoją mamą i swoim tatą, I powiedziała, że jest szczęśliwa.

- Na pewno, kochanie. Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś. Będę to sobie powtarzała, kiedy zrobi mi się smutno.

- Mogę obejrzeć zwierzątka? No, te pluszowe zabawki? - spytała nagle Dana. Sophie wstała i rozejrzała się dookoła. - To tam - wskazała dziewczynka i zręcznie lawirując między szklanymi gablotkami, pobiegła do ogromnego mahoniowego kredensu sto-

jącego w ciemnym kącie. Ale zanim tam dotarła, zatrzymała się przy jednej z witryn, ponieważ coś przykuło jej uwagę. - Tato, zobacz! - wykrzyknęła. - Twoje skrzypce!

Sophie zrobiła zdziwioną minę i spojrzała na Alaina.

- Skrzypce? Nie wiedziałam, że grasz na skrzypcach. Pamiętam, że grałeś na gitarze.

Pamiętała znacznie więcej, ale nie miała zamiaru teraz się z tym zdradzać.

- Zacząłem po śmierci ojca. Był cenionym skrzypkiem. Zostawił mi swój instrument.

- Odkąd to kapela heavymetalowe potrzebują skrzypków? - zapytała. - Zaraz, zaraz, jak się nazywał wasz zespół? Parszywe Aligatory?

- Boże! Pamiętasz? A miałem nadzieję, że już wszyscy zapomnieli. Od bardzo dawna nie gram w żadnej kapeli ani zespole, ale zainteresowałem się kajuńską muzyką ludową, w której jest dużo skrzypiec. Zacząłem grać trochę ze względu na *Mamere*, żeby podtrzymać rodzinną tradycję, a potem mnie to wciągnęło. Nie mam dużo czasu, ale staram się nie wychodzić z wprawy.

- Jak te skrzypce trafiły tutaj, do antykwariatu Maude?

Sophie podeszła bliżej i stanęła obok Dany. Nie była ekspertem, ale od razu zorientowała się, że skrzypce były ręcznie robione i na pewno cenne.

- Po pierwsze to wcale nie są moje skrzypce, chociaż bardzo chciałbym je mieć - sprostował Alain.



-Maude tylko dla żartu je tak nazywała. Zrobił je niejaki Delacroix, wybitny lutnik, mimo że samouk. Zmarł kilka lat temu. Spójrz na intarsje przy mostku. To magnolia i czarny eukaliptus. Używał wyłącznie miejscowego drewna. Pudło to oczywiście kasztan, widać po słojach. Większość wykonanych przez niego instrumentów znajduje się w rękach prywatnych kolekcjonerów. Ten egzemplarz należy do nielicznych wyjątków jeszcze dostępnych na rynku. Jest sporo wart. Nie wiem, dlaczego Maude dotąd ich nie sprzedała.

- Może chciała, żebyś ty został ich właścicielem?

Sophie podniosła wzrok i spostrzegła, że Alain patrzy na nią, nie na skrzypce. Uśmiechnął się, a jej serce zabiło mocniej.

- Nawet jeśli tak było, nigdy nie spuściła z ceny.

- Chętnie dowiem się, jaka jest twoja propozycja

- odparła Sophie i natychmiast zorientowała się, że jej słowa zabrzmiały co najmniej dwuznacznie.

Kąciki jego ust zadrgały, oczy się zwięziły.

- Nie stać mnie na nie - oświadczył. - Poza tym mam skrzypce ojca. Niemniej dziękuję.

- Nie ma ich. Tato! Tato! Zobacz, nie ma maszkotek! - zawołała Dana, która w czasie ich rozmowy kontynuowała poszukiwania. Rzeczywiście, górna półka kredensu była pusta. - Ostatnim razem tu były. Pani Maude podarowała mi jedną do zabawy. Tego zielonego smoka, co jest u mnie w pokoju. I obiecała, że da mi jeszcze jedną, kiedy przyjdę następnym razem. A pani wie, gdzie one się podziały?

- Obawiam się, że nie. Ale jeszcze nie miałam okazji zajrzeć do magazynu.

- Teraz możemy to zrobić - odparła rezolutnie dziewczynka. - Pomogę pani.

- Dziękuję, kochanie, ale mam już inne plany na dzisiejsze popołudnie.

Nagle zapragnęła zostać sama, znaleźć się daleko od Alaina oraz dobrych i złych wspomnień, które jego bliskość w niej obudziła. Daleko od tej uroczej dziewczynki, która przypominała jej o wszystkim, co ją w życiu ominęło.

- Tato! Tato! Powiedz, że pomożemy...

- Słyszałaś, co Sophie powiedziała? - tłumaczył.

- Ma inne plany, a my musimy wracać do domu. Babcia Cecyli zacznie się martwić, co się z tobą stało.

- No dobrze. - Dana zamilkła i lekko wydeła wargi. - Przyjdę tu jutro albo pojutrze - dokończyła.

- Jestem pewna, że do tego czasu uda mi się znaleźć te maskotki.

Alain lekko popchnął wciąż opierającą się córkę w stronę drzwi.

- Do widzenia - mruknęła.

- Do widzenia, Dano. Bardzo się cieszę, że poznałam ciebie i twojego brata.

Sophie już doszła do siebie. Jej uśmiech i jej słowa były całkowicie szczerze.

- Ja też.

Dana odwzajemniła się uśmiechem i nie bacząc na szklane gablotki i stoliki zastawione porcelaną,

w podskokach pobiegła do drzwi. Widać było, że czuje się tu jak w domu.

- Jest urocza, Alainie. A Guy jest świetnym chłopakiem. Bardzo bym się cieszyła, gdyby mógł mi pomóc - urwała i bezradnie rozejrzała się dookoła

- zrobić tutaj, co trzeba.

- Nie musisz go zatrudniać.

- Ale chcę.

To również była prawda. Udało jej się spojrzeć Alainowi prosto w oczy i wytrzymać jego spojrzenie.

- Nie będziesz żałowała. Solidnie pracuje.

- Wierzę. Przecież to twój syn. - Przez chwilę Sophie przyglądała się twarzy Alaina. Jego rysy świadczyły o tym, że życie go nie oszczędzało. Oto mężczyzna, który zrealizował potencjał, jaki w nim tkwił, pomyślała. - Masz wspaniałe dzieci.

- Są całym moim światem. To dla nich aż tak długo wytrzymałem z ich matką.

- Sophie Clarkson była dzisiaj w sklepie Maude...

- Cecily ściszone głosem donosiła matce.

Nie chcąc, by Alain ją słyszał, wzięła słuchawkę telefonu bezprzewodowego, zamknęła się w łazience, usiadła na zamkniętej klapie sedesu i na wszelki wypadek puściła wodę do umywalki.

- Co? Nic nie słyszę. Mów trochę głośniej.

Cecily westchnęła i przeszła na kajuński. Alain przyzwoicie posługiwał się dialektem, lecz nie tak dobrze jak matka i babka. Właściwie ubolewała nad tym, że coraz mniej członków rodziny zna język

przodków, lecz akurat dzisiaj okazało się to okolicznością pozytywną.

- Powiedziałam, że Sophie Clarkson była po południu w sklepie. Chyba zabiera się do remanentu. Dana z nią rozmawiała.

- A co ona tam robiła?

- Razem z Guyem wracali ze szkoły, zobaczyli samochód Alaina i też wstąpili - cierpliwie tłumaczyła Cecily. Miała wątpliwości, czy jej syn powinien spędzać czas w towarzystwie Sophie Clarkson, lecz teraz nie był odpowiedni moment, żeby rozwodzić się na ten temat. Najważniejsze są leki. - Musimy zdecydować, jak wy dostać maskotki, zanim je zauważy.

- Nadal bardzo źle cię słyszę - narzekała Yvonne.

- Czy to woda tak leci?

Cecily zakręciła kran.

- Przepraszam. Odbiegłam na chwilę myślami od tematu.

- To lepiej wróć do sprawy lekarstw. Musimy dostać się do sklepu i je zabrać.

- Wiem, mamó - odrzekła Cecily i westchnęła.

- Babciu? Jesteś tam? Muszę siku - zza drzwi dobiegł głos Dany.

Zaskoczonej Cecily słuchawka omal nie wypadła z ręki.

- Już wychodzę, skarbie. Umyję tylko ręce - zawołała i znowu odkręciła kran nad umywalką. - Muszę kończyć, mamó. Dana musi skorzystać z łazienki. Postaram się wymyślić jakiś sposób, żeby się tam dostać.

- Nie zapominaj, że nie wiemy, jak wyłączyć alarm.

- *Merde.*

- Cecily!

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że Maude zainstalowała alarm.

- Właściciel, a jeśli nie on, to jego prawnik, nalegali. Ale Maude zawsze zapominała go wyłączyć. Za zwyczaj zapominała nawet zamknąć zamki. Niewykluczone, że Sophie wcale nie wie o alarmie i nadal jest wyłączony. Musimy to sprawdzić, zanim się tam włamiemy.

- Babciu! Babciu! Bo nie wytrzymam!

Cecily bolała głowa, nóg nie czuła. Po dziesięć godzin dziennie harowała w szpitalu, a tu jeszcze czeka pranie. Zamiast usiąść w wygodnym fotelu z wnuczką na kolanach i poczytać jej książkę, razem ze swoją siedemdziesięciopięcioletnią matką planuje włamanie! Obłąd.

- Jesteś tam?

- Tak, mamo.

- Myśl, a ja tymczasem zadzwonię do Estelle i Willisa i uspokoję ich, że do końca tygodnia zdobędziemy jego lekarstwa.

Z tymi słowami Yvonne odłożyła słuchawkę.

Do końca tygodnia? Dobrze, że mam wolny weekend, pomyślała Cecily. Przynajmniej nie będę musiała brać urlopu, jak Alain wsadzi mnie do więzienia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Hej, dlaczego jeszcze nie śpisz?

Alain uchylił drzwi. Światło z korytarza położyło się klinem na deskach podłogi, docierając do łóżka Dany.

- Bo mi się nie chce - padła szczerza odpowiedź.

Alain wszedł do pokoju i przysiadł na brzegu łóżka. Oczy Dany zabłyśły, przewróciła się i oparła mu stopę na udzie.

- Zaniknij oczy i pomyśl o czymś bardzo miłym i przyjemnym. To pomaga - poradził.

- Nie dzisiaj. - Dana miętoszyła w palcach róg prześcieradła. Kiedy była malutka, nie rozstawała się z kawałkiem wystrzępionego ukochanego dzieciennego kocyka, aż dosłownie rozpadł jej się w rękach. Wyrosła z tego, lecz gdy była zmęczona lub przygnębiona, kręciła pasmo włosów albo mięta co jej wpadło w ręce. - Kiedy zamknę oczy, od razu widzę mamusię.

Alain wypuścił powietrze z płuc.

- Co ci mamusia powiedziała przez telefon?

Cecily poinformowała go, że tuż przed jego powrotem z pracy dzwoniła Casey Jo i że zanim ona zdążyła dobiec do telefonu, Dana podniosła słuchaw-

kę. Powinien przewidzieć, że Casey Jo będzie próbowała porozumieć się z dziećmi za jego plecami. Przez ostatnie trzy wieczory próbował ją złapać, by ją ostrzec, że w żadnym wypadku nie zgadza się na wyprawę do Disney Worldu, jeśli to oznacza zarwanie kilku dni szkoły, lecz była żona potrafiła unikać kontaktów z nim lepiej niż on rozmów z nią.

- Chce przyjechać i zabrać mnie na wycieczkę do Disney Worldu. - Oczy dziewczynki zabłysły, kiedy to mówiła. - Ale odpowiedziałam, że... najpierw muszę zapytać ciebie.

Alain zazgrzytał zębami. Starał się, żeby ani wyrazem twarzy, ani głosem nie zdradzić wściekłości.

- Wiem, że masz wielką ochotę pojechać - zaczął.  
- Straszna - przyznała i zmarszczyła brwi. - Ale Guy nie chce jechać. Powiedział mamusi, że nie może, bo ma kurs na prawo jazdy. Nie wierzę, że nie chce zobaczyć Magicznego Królestwa. A ty?

- Twój brat marzy o zrobieniu prawa jazdy. Bardziej zależy mu na tym niż na zobaczeniu Disney Worldu.

- Ale mnie nie. Mama mówi, że zjemy śniadanie z Kopciuszkiem i Królową Śnieżką w pałacu. Dlaczego Guy nie chce jechać z nami?

Alain uśmiechnął się mimowolnie. Dana tak bardzo przypominała mu Casey Jo, kiedy była czymś przejęta, że aż poczuł ból w sercu. W ich małżeństwie były i szczęśliwe chwile, a gdy patrzył na córkę tak rozpromienioną jak teraz, powracały właśnie te dobre wspomnienia.

- Zgódź się, tato. Proszę.

Nienawidził być zawsze tylko tym złym ojcem, ale kiedy ma się dzieci z kobietą, która nie chce dorosnąć, nie ma wyjścia. Kiedy ona samolubnie realizowała marzenia, on odwalał ciężką robotę.

- Zobaczą - odrzekł, nie chcąc pozbawiać Dany nadziei. - Ale...

- Wiem, wiem - wpadła mu w słowo. - Chodzi ci o to, że mamusia może jeszcze zmienić zdanie - dokończyła tonem nad wiek dojrzałym.

- To też. - Alain zdążył już wziąć się w garść.

- Nie podoba mi się, że zarwiesz szkołę - dodał.

- Masz tylko dwa dni wolnego. A to daleka podróż. Aż na Florydę.

- Mogłybyśmy pojechać, jak szkoła się skończy?

- Wrócimy do tego po mojej rozmowie z mamą, dobrze?

Pochylił się i pocałował Dane w policzek. Zrzuciła mu ręce na szyję i też go pocałowała.

- Dobrze. Kocham cię, tato - szepnęła po francusku, potem położyła się i zwinęła w kłębek pod kołdrą.

- Ja też cię kocham, *petite*.

Wciągnął w nozdrza zapach truskawkowego szamponu i ciepłej dziecięcej skóry. Bycie samotnym ojcem ma swoje cienie, lecz ma i blaski, takie jak te właśnie chwile. Wstał, podszedł do okna. Przed nim rozciągał się widok na miasteczko, w którym spędził prawie całe życie, które wybrał na miejsce, gdzie wychowa dzieci.



Indigo było ładnym, niedużym miastem położonym na uboczu, średnio zamożnym, spokojnym i bezpiecznym. Miało w sobie dość uroku, by przyciągnąć młodych ludzi zmęczonych wielkimi metropoliami, którzy albo się tu pobudowali, albo odrestaurowali stare domy wokół skweru, a nawet wielkie rezydencje w stylu wiktoriańskim.

Lubił być szefem policji. Lubił dbać o bezpieczeństwo sąsiadów i przyjaciół. Najczęściej wzywano go do wypadków drogowych albo kłótni rodzinnych, nawet w środku nocy. Cóż, taka jest praca policjanta, a on był policjantem z krwi i kości. Kiedy trafił do żandarmerii wojskowej, odkrył swoje powołanie.

Nie zawsze tak było. Dawno temu marzył o czymś zupełnie innym - o wyjeździe z Indigo, zamieszkaniu w dużym mieście, zyskaniu sławy jako gitarzysta basowy w Memphis albo nawet Los Angeles. Ale po śmierci ojca musiał zrezygnować z tych planów.

Tamtego lata z dziewiętnastolatka nagle zmienił się w mężczyznę. Zrozumiał, że dopóki matka i dwie młodsze siostry go potrzebują, nigdzie nie wyjedzie. Pomylił się jednak. Cecily bardzo zależało na tym, by syn do czegoś w życiu doszedł, lecz jej wizja przyszłości różniła się od jego wizji. Uśmiechnął się do siebie, odwrócił od okna i jeszcze raz spojrzął na pogrążoną we śnie córkę. Otulił ją szczerzej kołdrą, na palcach opuścił pokój i poszedł do swojej sypialni tuż obok, mniejszej, z widokiem na bagienne rozlewisko.

W szkole nie był orłem. Uważał, że nie musi się

przykładać do nauki, bo przecież miał zostać muzykiem, który podbije świat. W rezultacie, kiedy skończył szkołę, nie mógł się starać o żadne stypendium, lecz Cecily uparła się, by poszedł do college'u. Bez stypendium i bez pieniędzy na czesne pozostawały tylko uczelnie wojskowe. Podpisał „cyrograf na cztery lata, ale zyskał wstęp na studia.

A potem pewnego czerwcowego poranka do garażu wuja Maksa, gdzie pracował, weszła Sophie Clarkson i niczym słońce rozświetliła jego świat. Była wiotka, jasnowłosa i piękna, doskonała pod każdym względem. Bogata, wykształcona - przynajmniej wtedy mu się tak wydawało - zapierająca dech w piersiach. Z miejsca się w niej zakochał. I stał się cud nad cuda. Ona odwzajemniła jego miłość.

No, dość tego. Alain chwycił kosz z brudną bielizną stojący w nogach łóżka i zbiegł na dół.

- Spójrz prawdzie w oczy - mruknął do siebie.  
- Ona wciąż na ciebie działa.

- Mówiłeś coś, synku? - zagadnęła matka, kiedy mijał kuchnię.

- Nie - skłamał.

Boże, zaczynam mówić do siebie!

Fatalnie.

- Dana zasnęła?

- Natychmiast.

- To dobrze. Bałam się, że po rozmowie z matką będzie zbyt podniecona, żeby usnąć.

Cecily nie zdążyła jeszcze przebrać się po pracy

i wciąż miała na sobie rdzawoczerwony szpitalny uniform. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Siedziała z łokciami opartymi o pokierszowany blat sosnowego stołu, który od niepamiętnych czasów zajmował centralne miejsce w kuchni.

Na jej widok Alaina nie po raz pierwszy ogarnęły wyrzuty sumienia. Poczuł, że ją wykorzystuje, mieszkając tu z dziećmi. Najwyższy czas się usamodzielić.

Z koszem pełnym rzeczy do prania w rękach przystanął i spojrzął na dom swojego dzieciństwa, swoje obecne schronienie, nowymi oczami. Zdawał sobie sprawę z tego, że dokładając się do czynszu, bardzo pomaga w utrzymaniu starego domu, w którym wychowała się jego matka, a przedtem babka. Jeśli się wyprowadzi i zabierze dzieci, czy matka da sobie radę? Ogrzewanie i klimatyzacja pochłaniały olbrzymie sumy. A może Cecily nie będzie chciała dalej tu mieszkać?

Nigdy dotąd nie pomyślał, że mogłaby zechcieć przeprowadzić się do jakiegoś wygodnego mieszkania w New Iberii albo Lafayette. Jej korzenie tkwiły tak głęboko w tej ziemi, że nie potrafił wyobrazić sobie matki nigdzie indziej.

- Mamo...

Cecily nie pozwoliła mu jednak dokończyć.

- Zamierzasz pozwolić Casey Jo wywieźć Dane na Florydę? - zapytała.

- Nie, jeśli tylko będę w stanie temu zapobiec.

- Postawił kosz z bielizną na podłodze, podszedł do

najbliższego sosnowego krzesła, obrócił je, usiadł na nim okrakiem i ramionami objął oparcie. - Nawet jeśli stać ją na taką wycieczkę, nie chcę, żeby przyzwyczaiła się, że może zwalniać Dane ze szkoły według swojego widzimisię.

Nie lubił powierzać dzieci wyłącznej opiece byłej żony. Nigdy nie wiedział, kiedy poczuje przypływ uczuć macierzyńskich i postanowi zatrzymać je przy sobie. Takie ataki szybko mijały, lecz trwały wystarczająco długo, by wywrócić ich życie do góry nogami, nie wspominając o kosztach. Honorarium adwokata, którego musiał wynająć, aby odzyskać Dane i Guya, na ogół pochłaniało jego półroczną pensję. Dlatego wolał nie ryzykować.

Cecily poprawiła kosmyk siwiejących włosów, który wysunął się jej z koka.

- Zgadzam się z tobą, synku. Uważam, że czasami masz za miękkie serce. - Wstała i nalała sobie kawy z dzbanka. Po trzydziestu latach picia szpitalnej lury miała strusi żołądek. Gdyby on o tej porze napił się kawy, nie zmrużyłby oka. - Jeśli ma pieniądze na zabranie dzieci do Disney Worldu, to mogłaby je wpłacić na konto, żeby oszczędzać na ich studia. Gdybym dobiegła do telefonu, zanim Dana wzięła słuchawkę, powiedziałabym jej to. Przyznam ci się, że nie lubię, jak wywozi dzieci poza granicę stanu. Nigdy nie można przewidzieć, co jej strzeli do głowy.

- Racja, mamó. Też o tym pomyślałem. - Wstał i podniósł kosz z bielizną. - Lepiej się tym zajmę,

żebym zdążył włożyć rzeczy do suszarki, zanim się położę.

- Zostaw to mnie - zaproponowała Cecily. - Ty masz inne rzeczy do zrobienia, zamiast zajmować się praniem.

- Ty też - odrzekł i wyszedł na tylną werandę, gdzie stały pralka i suszarka.

- Nie mam wielkich planów na wieczór! - zawołała za nim.

- Ani ja - odparł ze śmiechem. - Oboje jesteśmy domatorami.

- Jesteś za młody, synku, żeby siedzieć w domu.

- Co tam. Cieszę się, że mam trochę luźniejszy weekend. Może przytnę tę magnolię w ogrodzie, o co mnie tyle razy prosiłaś? Za to ty masz wolne. Dlaczego nie zafundujesz sobie jakiejś przyjemności? Wybierz się na kolację, do kina, na zakupy...

Cecily rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Wiesz... - zaczęła - chyba też zajmę się trochę domem. O ile - zamilkła, odwróciła się i wylała resztę kawy do zlewu - o ile twoja babka nie będzie miała dla mnie czegoś do roboty - dokończyła.

Alain nastawił pranie i wrócił do kuchni. Cecily już nie było, zastał tam natomiast Guya stojącego przy otwartej lodówce. Oboje z Daną potrafili godzinami trzymać drzwi lodówki otwarte i przeglądać jej zawartość.

- Od patrzenia nic tam nie przybędzie - skarcił syna.

- Umieram z głodu - poskarżył się chłopak.
- Przecież dopiero co była kolacja.
- Rosnę, tato - odrzekł Guy. - Nie mógłbym wziąć samochodu i skoczyć do Gator Hole po pizzę?

Gator Hole był starym zajazdem kilka lat temu zamienionym na pizzerię, gdzie lubiła się gromadzić miejscowa młodzież. Właściciel, Eddie Larouche, szkolny kolega Alaina, nie pozwalał na ekscesy, a w rewanżu Alain i jego ludzie patrolowali okolicę, chociaż praktycznie teren ten znajdował się już poza ich rewirem.

- Nie mógłbyś.
- Ale nie mamy nic do jedzenia.
- Na pewno coś się znajdzie. Dwa dni temu zrobiłem zakupy za dwieście pięćdziesiąt dolarów.
- Papier toaletowy i proszek do prania - prychnął Guy. - Tym się nie najem.

Alain nie miał zamiaru przedłużać jałowej dyskusji. Chwycił puszkę lemoniady i paczkę sera cheddar i wetknął synowi w dłoń.

- Masz. Poza tym w spiżarni jest mnóstwo twoich ulubionych krakersów cebulowych.

- Już nie jem krakersów. Potem brzydko pachnie mi z ust - oznajmił Guy, lecz mimo to udał się do spiżarni. Brzydko mu pachnie z ust? Czyżby kryła się za tym jakaś dziewczyna? -Wiesz, że mama dzwoniła? - spytał Guy, wracając. Wyjął z szuflady nóż do sera i dodał: - Chce nas zabrać do Disney Worldu.

- Wiem. Dana mi powtórzyła.

- Powiedziałem jej, żeby na mnie nie liczyła.  
- Guy opadł na krzesło, nogi oparł na drugim, przygarbił ramiona. Tej zimy przeszedł mutację i nie mówił już jak dziecko, lecz jak młody gniewny. - Powiedziałem, że mogłaby przelać forszę, jaką zamierza wydać na bilet dla mnie, na moje konto edukacyjne. Ale oczywiście ona tego nie zrobi!

- Nie mów takim tonem o matce - machinalnie upomniał go Alain.

- A co za różnica? - W głosie Guya wciąż brzmiała nuta buntu, lecz chłopak unikał wzroku ojca. - I tak rzadko ze sobą rozmawiamy.

- Ale to twoja matka. Należy się jej szacunek.

Guy wzruszył ramionami i wbił nóż w bryłę sera.

- Szacunek! Też coś!

- W porządku. - Alain uniósł dłonie w geście rezygnacji. Nie pierwszy raz prowadzą ten spór i teraz też go nie rozwiążą. Guy miał pięć lat, kiedy Casey Jo postanowiła „odnaleźć siebie”, dziesięć, kiedy na dobre ich opuściła. W tym czasie wielokrotnie go zawiodła, tak że przestał czekać na jej powrót. Niezmiernie rzadko ze sobą rozmawiali. Casey Jo od czasu do czasu ponawiała próby, a potem przy najbliższej okazji wypłakiwała się Alainowi, lecz sama była sobie winna i wiedział, że dopóki nie dorośnie i sobie tego nie uświadomi, nie naprawi stosunków z synem. - Pamiętaj jednak, żebyś przynajmniej był dla niej uprzejmy.

Guy ponownie prychnął. Za jego gniewem krył się głęboki uraz psychiczny i bezradność, chociaż

dokładał wszelkich starań, by nie dać tego po sobie poznać.

- Byłem uprzejmy. Ale nie wybieram się do Disney Worldu. Danie też lepiej nie pozwól jechać.

- Nie zamierzam.

- Nawet jeśli babcia Marie będzie bardzo płakała?

Alain napotkał wzrok syna. W jego oczach, tak podobnych do swoich oczu w jego wieku, zobaczył odbicie nadspodziewanie dorosłych pytań, które i jego trapiły.

- Będę obstawał przy swoim.

- To dobrze, bo jak mama zacznie jej przysyłać broszury reklamowe z biur podróży, to smarkuła będzie ci wiercić dziurę w brzuchu, żebyś się jednak zgodził. A potem trzask prask i mamie się coś odmieni. Nie chcę, żeby Dana się na niej zawiodła.

- To cię najbardziej martwi?

Guy odrąbał nożem kawałek sera.

- Ciagle próbuje zwabić Danę do siebie. Roztacza przed nią wizję, jak to będzie cudownie, kiedy zamieszkają razem. Ze mną było tak samo.

- Wiem.

Nie było sensu tłumaczyć Guyowi, iż Casey Jo na swój sposób kocha ich oboje. Alain spojrział na swoją do połowy pełną butelkę z wodą mineralną i żałował, że nie ma piwa. Wiedział, że to dopiero początek wojny. Przed nim jeszcze wiele bitew. I jak zwykle, nawet jeśli wygra, będzie to tylko pozorne zwycięstwo. To on będzie tym złym ty-



ranem, a Casey Jo uciśnioną niewinnością. Dana i Guy jak zwykle znajdują się w potrzasku pomiędzy dwoma biegunami.

Guy poszedł do siebie dokończyć odrabianie lekcji, a Alain wyszedł na kuchenną werandę. Od bagien wiało chłodem, lecz w powietrzu czuć już było zapowiedź wiosny. Za kilka tygodni, pod koniec marca, zrobi się znowu ciepło.

Czy Sophie Clarkson będzie jeszcze wtedy w Indigo? Wątpił. Maude nie pozostawiła dużego majątku. Sophie szybko upora się z remanentem i znajdzie kogoś do prowadzenia sklepu albo zleci wyprzedaż zgromadzonych tam przedmiotów jakiemuś domowi aukcyjnemu i wyjedzie do Houston. I nigdy tu już nie powróci.

Czy ma do tego dopuścić? Dawno nie myślał o miłości do niej, ale ona tliła się gdzieś w głębi jego serca, nawet jeśli przez wszystkie lata małżeństwa ją w sobie tłamsił.

Z wyjątkiem owego krótkiego tygodnia podczas wakacji przed narodzinami Dany, kiedy wybuchnęła na nowo i niemal skruszyła zapory, za którymi ją zamknął.

Spojrzał na gwiazdy przeświecające przez nagie, poruszone wiatrem gałęzie magnolii, którą sześćdziesiąt lat temu obok schodków zasadził jego dziadek. Nigdy nie kochał się z Sophie zimą. Nigdy nie spał z nią pod ciepłym kocem, podczas gdy deszcz tłukł o szyby. Nagle uświadomił sobie, że bardzo tego pragnie. Pragnie kochać się z nią w ciemną zimową

noc. Ich zbliżenia, kiedy byli nastolatkami, były tak samo gorące jak słońce południa, albo tak szybkie jak błyskawice letnich burz. Wtedy wydawało im się, że mają całe życie przed sobą, mnóstwo czasu, by się kochać. Ale ich miłość nie przetrwała nawet do następnego lata.

Na początku września po Sophie przyjechali rodzice, wyglądający prawie tak samo jak teraz na pogrzebie Maude, opaleni, zrównoważeni, emanujący sukcesem. Trzeba im przyznać, że nie zabronili córce widywać się z nim. Poprosili jedynie, by z zaręczynami poczekała do Bożego Narodzenia, do jego powrotu z pierwszego obozu treningowego. Potem wywieźli ją do Houston, z powrotem do życia, jakie znała od urodzenia.

Poza rzadkimi rozmowami telefonicznymi kontakty narzeczonych ograniczały się do jej krótkich liścików na eleganckim perfumowanym papierze, w których pisała o balach, lunchach z przyjaciółmi, zakupach z matką, przyjęciu do bractwa studenckiego i rozmaitych innych uniwersyteckich imprezach. Wkrótce uświadomił sobie, że tryb życia żony żołnierza zawodowego do niej nie pasuje. Potem nastąpiła inwazja w Kuwejcie. Przebąkiwano o wojnie. Wiedział, że może zostać wysłany na misję za granicę. Wiedział, że może zginąć. Więc zerwał zaręczyny. Postąpił szlachetnie, poświęcił się.

Idiota!

Sophie dzwoniła, płakała w słuchawkę, zapewniała o dozgonnej miłości, lecz on był nieugięty.

W końcu zrezygnowała. Ostatni pachnący liścik był krótki i utrzymany w uprzejmym tonie. Sophie życzyła mu wszystkiego, co w życiu najlepsze, i wyraziła nadzieję, że on życzy jej tego samego.

Cofając się myślami w przeszłość, Alain doszedł do wniosku, że zerwanie było największym błędem, jaki kiedykolwiek popełnił.

scandalous

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Znowu się rozpadało. Sophie zaparkowała w alejce obok budynku opery, gdzie Maude zawsze stawiała swój samochód, i w kilku susach znalazła się pod daszkiem nad wejściem. W ciągu dziesięciu dni, jakie minęły od śmierci matki chrzestnej, było więcej deszczu niż słońca, ale przynajmniej dzisiaj zimny wiatr ustał i deszcz nie zaczął ze wszystkich stron, tylko padał prostopadle do ziemi.

Sophie spojrzała na swoje niewyraźne odbicie w matowych szybach i się skrzywiła. Miała nadzieję, że krótki wypad do Houston po to, by zabrać odpowiedniejsze ubrania i spotkać się z rodzicami, odwróci jej myśli od Alaina, lecz się pomyliła. Bez przerwy o nim myślała, wspominała, jaki był tamtego zaczarowanego lata, a co gorsza, snuła rozmaite fantazje o mężczyźnie, jakim jest teraz.

Strząsnęła krople wody z kapelusza przeciwdeszczowego i włożyła ciężki klucz do staroświeckiego zamka. Nawet nie spojrzała na klawisze systemu alarmowego na panelu przymocowanym do framugi. Alarm był wyłączony, lecz nie znalazła ani instrukcji obsługi, ani numeru telefonicznego do firmy, która go zainstalowała. Podejrzewała, że policja, czyli

Alain, zna kombinację cyfr, lecz jeszcze nie zwróciła się do niego z prośbą o pomoc i miała nadzieję, że nie będzie zmuszona tego uczynić.

Nie zdziwiło jej wcale to, że nie znalazła kodu. Po osobie tak ekscentrycznej jak Maude trudno było się spodziewać porządku w dokumentach. Wiedziała, że przeglądanie jej papierów, zarówno osobistych, jak i dotyczących działalności gospodarczej, potrwa kilka tygodni. Postanowiła jednak już dzisiaj energicznie zabrać się do pracy i dopiero potem, jeśli niczego nie znajdzie, zwrócić się do Alaina.

Z Houston, nie bacząc na koszty, zadzwoniła do babki i dziadka podróżujących po Nowej Zelandii i zwiedzających miejsca, gdzie filmowano „Władcę Pierścieni”. Podczas tej rozmowy Darlene obiecała Sophie, że po powrocie do Stanów przyjedzie do Indigo i pomoże jej przejrzeć rzeczy osobiste Maude.

- Wracaj do pensjonatu - radziła jak zawsze rzeczowym tonem. - Tam będzie ci wygodniej. Dom może poczekać.

Dom tak, lecz sklep nie. Albo trzeba go otworzyć, albo zlecić solidnemu domowi aukcyjnemu wycenę towaru i wyprzedaż likwidacyjną. I należy się z tym wszystkim uporać przed letnimi upałami, które zniechęcą potencjalnych zainteresowanych do przyjazdu na licytację.

Weszła do środka, rzuciła mokry kapelusz na kon-tuar i podeszła do drzwi prowadzących na widownię, stanowiącą obecnie zaplecze sklepu. Otworzyła każde skrzydło osobno, mocując je do ściany haczykiem

w kształcie pazura, sto pięćdziesiąt lat temu wykutym przez jakiegoś niewolnika kowala z plantacji należącej do rodziny Valois.

Stanęła i po prostu patrzyła na to, co ją czeka. Przestrzeń dawnej widowni wypełniały skrzynie z książkami, kanapy z oparciem wygiętym w kształcie garbu wielbłąda, komplety mebli do jadalni z przełomu wieków. Na stołach piętrzyły się porcelanowe serwisy i kolorowa ceramika Fiestaware. Osiemnastowieczna leżanka zarzucona była damskimi torebkami i kapeluszami, od toczków a la Jackie Kennedy do wiktoriańskich ogrodów ozdobionych wypłowieciami kwiatami z jedwabiu i wystrzępionymi wstążkami. Więcej skrzyń, nawet nieotwartych, oraz mniejszych i większych stolików pozostawianych porcelanowymi wazonami i figurkami wypełniało szerokie przejście między rzędami obitych zakurzonym aksamitem foteli.

Odwróciła głowę. Zobaczyła oparte o ścianę metalowe zagłówki łóżek, na wąskich stopniach zaś, prowadzących do jednej z dwóch prywatnych łóż, które w dzieciństwie tak ją fascynowały i gdzie lubiła się chować, kilkanaście porcelanowych i szklanych kloszy do lamp sztormowych. Po swojej prawej stronie miała dwie identyczne metalowe szafy na dokumenty, każda z pięcioma szufladami. Na jednej leżały zniszczone pudła z grammi planszowymi, na wierzchu drugiej stały filiżanki ze spodeczkami z zielonego szkła z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

Sophie opadła ciężko na wyplatane krzesło, które

aż jęknęło pod jej ciężarem. Nie przypominała sobie, żeby Maude kiedykolwiek robiła remanent.

- Do końca świata się z tym nie uporam - powiedziała na głos.

W tej samej chwili zabręczał dzwoneczek nad drzwiami wejściowymi i rozległ się kobiecy głos wołający po francusku:

- Dzień dobry!

Sophie natychmiast rozpoznała Cecily. Przez jedno mgnienie walczyła z pokusą pozostania tam, gdzie siedziała, częściowo schowana za skrzydłem drzwi, lecz zaraz dobiegł ją drugi, dziecinny głosik i natychmiast się poderwała.

- Dzień dobry, pani Boudreaux. Witaj, Dano - rzekła.

Daną ubrana była w czerwony płaszczyk przeciwdeszczowy z rysunkiem Kubusia Puchatka i taki sam kapelusz. Kiedy się uśmiechnęła, Sophie zobaczyła, że od czasu ich ostatniego spotkania straciła ząb.

- Dzień dobry, Sophie - zaczęła Cecily, oparła parasol o ścianę i weszła za wnuczką do magazynu. - Pomyślałyśmy, że wpadniemy zobaczyć, jak sobie radzisz.

- Staram się jakoś zapanować nad tym wszystkim.  
- Sophie rozłożyła ręce, szerokim gestem ogarniając całe pomieszczenie. - Obawiam się, że pomoc samego Guya nie wystarczy, żeby zaprowadzić tu jakiś ład. Chyba będziemy musieli wezwać całą jego drużynę piłkarską - zażartowała. - Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Maude zgromadziła aż tyle rzeczy.

- Miała kilku współpracowników. W ciągu ostatniego roku, może dwóch, dużo ludzi się wyprzedawało. Po huraganach dali za wygraną i przeprowadzili się gdzie indziej. Maude płaciła więcej od innych i ludzie chętnie sprzedawali rzeczy właśnie jej, chociaż wiele z tych gratów wcale nie było aż tak cennych, jak sądzili.

- No tak. Nie przyszło mi to do głowy.

Cecily wzruszyła ramionami.

- Huragany to część życia na Południu. Zawsze były, są i będą.

- Domyślam się, że ten budynek również ucierpiał.

- Ależ oczywiście, moja droga. W dachu zrobiła się ogromna dziura. Ubezpieczenie pokryło naprawę, ale nie zgodzili się sfinansować położenia całego nowego dachu. Szkoda, bo to konieczne.

Obie kobiety automatycznie podniosły głowy i spojrzały w sufit, jak gdyby spodziewały się, że będzie przeźroczysty, a kiedy zorientowały się, co zrobiły, wybuchnęły śmiechem. Sophie odprężyła się trochę. Nie znała dobrze matki Alaina, w ciągu minionych lat spotkała się z nią tylko kilka razy, i to przelotnie. Po zerwaniu zaręczyn już w ogóle nie było powodu, by się widywały. Żałowała. Cecily Boudreaux była inteligentną, rozsądną i rzeczową kobietą, która sporo przeszła, lecz nadal potrafiła cieszyć się życiem. Sophie chciałaby lepiej ją poznać. Może dzisiaj nadarza się szansa, żeby zrobić pierwszy krok w tym kierunku?



Tymczasem Dana zaczęła ciągnąć babkę za rękę.

- Babciu, spójrz. Są te maskotki. Widzisz? No tam, na ławce. - Pokazała palcem.

Sophie spojrzała we wskazanym kierunku. Na siedzisku wieszaka na palta z lustrem, za futrem z szopów, które było krzykiem mody około 1945 roku, stał plastikowy koszyk wypełniony kolorowymi pluszowymi zwierzątkami.

- To tych zabawek wtedy szukałaś? - zapytała, podchodząc bliżej.

Dana zaczęła podskakiwać z radości i powtarzać:

- Tak! Tych! Tych!

- No to zobaczymy, co my tutaj mamy... - Sophie podniosła koszyk, postawiła na lekko chwiejącym się stole i zaczęła kolejno wyjmować pluszaki: żabę, misia, małpkę, konika. Widząc cenę wypisaną na metce przymocowanej do łapki misia, ze zdumienia zrobiła wielkie oczy.

- Czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów! A żaba ile? Co? Osiemdziesiąt?

Miś, owszem, był słodki i starannie wykonany, ale zdecydowanie niewart takich pieniędzy, a już żaba... Jedną nogę miała krótszą od drugiej i w ogóle była jakaś kulfoniasta. Sophie obejrzała się na matkę Alaina i zobaczyła, że zrobiła się blada jak ściana.

- Ktoś musiał chyba pomylić metki - zasugerowała nagle Cecyli, odrobinę za głośno i zbyt piskliwie. - Kuzynka mojej matki produkuje... produkowała te zabawki dla Maude - wyjaśniła.

Sophie przeczytała adres na fakturze dołączonej do kosza.

- To twoja kuzynka mieszka w Nowej Szkocji?

- Tak. Uwielbia szyć, a Maude znalazła grupkę klientów, którzy kolekcjonują jej dzieła. Pamiętasz Fasolki? Cieszyły się ogromnym wzięciem.

- Ale czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów za misia? - Sophie nie mogła się otrząsnąć ze zdumienia.

- Kupisz mi tego kotka, babciu? - spytała Dana, która podczas tej rozmowy nie przestawała grzebać w koszyku.

- Nie wiem, czy są na sprzedaż... - rzekła Sophie niepewnym głosem. - Może one wszystkie są zamówione?

- Zazwyczaj tak - wyjaśniła Cecily - ale zdarza się, że jedna albo dwie zabawki pozostają... pozostają bez przydziału. Wtedy Maude stawiała je na półce. Puszczę w obieg wiadomość, że przybyła nowa dostawa - zaproponowała.

- Dzięki, ale nie widzę tu żadnego spisu...

- Musi gdzieś być, ale tak jak obiecałam, rozpuszczę wieści. Dano, idziemy - zarządziła Cecily nadspodziewanie ostrym tonem. - Musisz odrobić lekcje.

Wyminęła Sophie, odebrała Danie kotka i wrzuciła go z powrotem do skrzynki. Sophie zauważyła, że drżą jej ręce.

- Sophie? Jesteś tam? - znienacka rozległ się głos Marjolaine Savoy.

Cecily zachwiała się i oparła o stół, by nie upaść. Cała zawartość kosza z maskotkami wraz z porcelanową figurką pasterki oraz drewnianym kompletem złożonym z solniczki i pieprzniczki wylądowała na podłodze.

- Przepraszam, przepraszam... - wybąkała Cecily i rzuciła się zbierać zabawki.

- Nie trzeba, ja podniosę - zapewniła ją Sophie.

- Nie, nie - sumitowała się Cecily - Dana mi pomoże...

- Sophie? - Marjołaine zawołała ponownie.

- Tu jestem. Już do ciebie idę! - odkrzyknęła Sophie, przeprosiła Cecily i poszła na spotkanie nowego gościa.

Właścicielka domu pogrzebowego wręczyła jej szarą kopertę.

- Przyszły odpisy aktu zgonu Maude. Kiedy zobaczyłam twój samochód, pomyślałam, że ci je tu przyniosę i oszczędzę sobie wyprawy za miasto do pensjonatu.

- Wielkie dzięki. Będą mi potrzebne dla banku i dla adwokata.

- Jeśli będziesz czegoś jeszcze potrzebowała, dzwoń - rzekła Marjołaine i widząc otwarte drzwi na widownię, spytała: - Jak dach? Ostatnio intensywnie padało.

- Chyba w porządku, ale dokładnie nie sprawdzałam.

Marjołaine zajrzała do magazynu.

- Dzień dobry, Cecily. Jak się masz, Dano...

- Dzień dobry, Marjo - odrzekła Cecily i wzięła wnuczkę za rękę. - Właśnie wychodziłyśmy. Wstąpiłyśmy sprawdzić, czy Sophie czegoś nie potrzebuje, ale ona świetnie daje sobie radę.

- Wyzbierałam wszystkie zwierzątka - pochwaliła się Dana.

- Dziękuję, kochanie. Powiedz bratu, że się z nim skontaktuję.

- Sama mu powiem - wtrąciła Cecily. - *Adieu* - rzuciła i wyszła tak szybko, że omal nie zapomniała o parasolu.

Sophie odprowadziła matkę Alaina i jego córeczkę wzrokiem, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Marjolaine stojącą z zadartą głową przy tylnych rzędach krzeseł i wpatrującą się w starą plamę na suficie.

- Zaciek się nie powiększa - oceniła. - To dobry znak, chociaż niczego nie można powiedzieć na pewno, dopóki nie wejdzie się na strych. Schody znajdują się za kulisami. Są tak wąskie i strome, że ciarki mi przechodzą po plecach, ile razy muszę się po nich wspinać.

- Zawsze byłam ciekawa, jak się tam dostać. Kiedy byłam mała, Maude nigdy nie chciała mi ich pokazać. Bała się, że to niebezpieczne. Widok stamtąd musi zapierać dech w piersiach.

- Na pewno. - Na dźwięk męskiego głosu obie odwróciły się i zobaczyły Luca.

- Witaj, Luc - odezwała się Marjolaine i pomachała do niego ręką.

- Nie spodziewałam się... - zdziwiła się Sophie.

- Mam dla ciebie wiadomość. Twoja matka prosi, żebyś do niej zadzwoniła. Podobno twoja komórka nie odpowiada.

- Bateria mi wysiadła. Zostawiłam ją w pokoju, ładuje się. Stąd do niej zadzwonię.

- To chyba nic pilnego, ale obiecałem, że cię zawiadomię. Zresztą i tak miałem zamiar przyjechać zjeść kolację.

- Dziękuję.

Luc oparł nogę o poprzeczkę za oparciem najbliższego fotela i włożył ręce do kieszeni spodni. Zadarł głowę dokładnie tak samo jak one chwilę przedtem i spojrzął na sufit.

- Jak tam dach? - zapytał.

- Chyba dobrze. Właśnie tłumaczyłam Sophie, że trzeba wejść na strych, żeby stwierdzić coś na pewno. Ale dzisiaj się tam nie wybieram. Jest za ciemno, poza tym nie mam klucza. Poproszę Alaina, żeby w najbliższych dniach się tam wdrapał i sprawdził. Będziesz tu jutro? - Marjolaine zwróciła się do Sophie.

Sophie miała nadzieję, że się nie zaczerwieniła.

- Oczywiście, że tak. Niech zajrzy, kiedy będzie mu wygodnie. Zresztą i ja mam do niego sprawę. W papierach Maude nigdzie nie mogę znaleźć kodu do alarmu. Sądzę, że zostawiła kopię na policji.

- Możesz się go spytać od razu - wtrącił Luc.  
- Przed chwilą widziałem, jak z matką i córką wchodzili do Blue Moon. Czy nie miałyby panie ochoty wybrać się tam ze mną? Marjo, będziesz miała okazję

opowiedzieć nam o festiwalu muzyki akadyjskiej, jaki Komitet Rozwoju Indigo ma nadzieję zorganizować w październiku.

- Tutaj? W tym budynku? - przeraziła się Sophie i rozejrzała po zagraconym wnętrzu.

- Tu byłoby wspaniałe - odparła Marjolaine - ale nie udało nam się nigdy uzyskać zgody Maude. Chcieliśmy przynajmniej urządzić zwiedzanie z przewodnikiem podczas festiwalu. Naszym celem, razem z Towarzystwem Historycznym, jest odkupienie budynku, odrestaurowanie go i urządzenie w nim stałej siedziby festiwalu muzyki kajuńskiej i zydeco. To by była taka skromna wersja Grand Ole Opry. - Marjolaine zamilkła, zmarszczyła brwi i rozejrzała się po widowni. - Maude była w jakimś sensie naszą gwarancją - ciągnęła. - Sądziliśmy, że dopóki sklep działa, właściciel nie sprzeda opery nikomu spoza... to znaczy nikomu obcemu. Ale teraz nie wiem, co będzie.

- Umowa najmu wygasa pod koniec roku.

- To wiemy. Dlatego festiwal musi odnieść sukces. Zdobędziemy pieniądze i rozpoczniemy negocjacje z właścicielem; W przyszłym tygodniu mamy zebranie robocze. Może przyjdiesz?

- Spróbuję - odrzekła Sophie. - Ale nawet nie mam pewności, czy mogę otworzyć Dawne Dobre Czasy. Jestem też zobowiązana wypełnić zapisy testamentu Maude, co może oznaczać konieczność zlikwidowania sklepu w możliwie szybkim czasie. Może mi zabraknąć pieniędzy na czynsz.

Marjolaine zacisnęła wargi w wąską linijkę.

- Czyli musimy wziąć pod uwagę i taką ewentualność.

- Przykro mi.

Sophie czuła się potwornie, ale musiała to powiedzieć, nie miała wyjścia.

- Cóż, dzisiaj tego nie rozwiążemy - ucięła Marjolaine. - Muszę pędzić - dodała i odwracając się do Luca, ciągnęła: - Dziękuję za zaproszenie, ale brat czeka na mnie w domu. Innym razem to sobie odbijemy.

- Trzymam cię za słowo.

- Do zobaczenia.

- Mam wrażenie, że ją zmartwiłam - zwierzyła się Sophie, kiedy zostali sami.

- Przeżyje. Prawda jest taka, że dużo wody upłynie, zanim miasto zdobędzie dość pieniędzy na to gmaszysko. Odrestaurowanie go pochłonie fortunę. Nie mówiąc już o późniejszych kosztach utrzymania.

- Ale podniosłoby to bardzo atrakcyjność miasta. Pomyśl, ile pieniędzy zostawiliby tu turyści. Opera przyciągnęłaby ludzi. Indigo leży przecież na popularnym szlaku śladami Ewangeliny, ciągnącym się aż z Nowej Szkocji. Poemat Longfellowa o jej poszukiwaniach męża, Gabriela, zaginionego w dziejowej zawierusze, przemawia do wyobraźni. Można by to wykorzystać.

- Porozmawiajmy o tym przy kolacji, dobrze? Może wpadnie nam do głowy jakiś pomysł? Wiem,

że jest trochę wcześniej, ale gumbo Willisa cieszy się takim wzięciem, że może dla nas zabraknąć.

Po chwili wahania Sophie postanowiła przyjąć zaproszenie Luca. Prędzej czy później i tak zaszłyby do Blue Moon, a w towarzystwie zawsze raźniej.

- Z przyjemnością. Nie jadłam lunchu, więc wcześniejsza kolacja bardzo mi odpowiada. Zadzwoń tylko do matki i zaraz do ciebie dołączę.

- Estelle, pozwól na moment. - Cecily zajrzała do kuchni restauracji Blue Moon.

Alainowi powiedziała, że idzie do toalety. Na szczęście do toalety i do kuchni prowadził ten sam korytarz, więc mogła, nie wzbudzając podejrzeń syna, zamienić kilka słów z Estelle i Willisem.

Estelle uniosła głowę nad parującego garnka z zupą gumbo i pomachała do Cecily.

- Nie teraz. Za duży ruch.

- Musimy porozmawiać - nalegała Cecily.

Restauracja była prawie pełna. W każdej chwili ktoś, nie wyłączając jej własnego syna, szefa policji, mógł pojawić się w korytarzu. Minęło pół godziny, odkąd ukradła misia z narysowanym na metce tajnym kodem, podwójnym czerwonym rombem, znakiem rozpoznawczym lekarstwa dla Willisa, lecz wciąż się trzęsła ze zdenerwowania.

Estelle wytarła dłonie w fartuch i podeszła do wahadłowych drzwi.

- O co chodzi, Cecily? - spytała. - Wyglądasz, jak gdybyś zobaczyła ducha.



- Mam leki Willisa - szepnęła Cecily i obejrzała się za siebie, czy nikt niepowołany jej nie słyszy.

Już wyobrażała sobie krzyczący nagłówek w gazecie: Syn aresztuje matkę.

- Co takiego?! - Estelle zrobiła wielkie oczy.

- To, co słyszałaś. - Cecily sięgnęła do torebki i wyciągnęła misia. - Schowaj go, zanim ktoś zobaczy.

Szeroki uśmiech pojawił się na pobrużdżonej od trosk twarzy Estelle, kiedy sprawdzała tajny kod na metce.

- Bogu niech będą dzięki. Już się szykowaliśmy, żeby wsiąść w samochód i jechać do Kanady po następną porcję. Ale powiedz, jak go wy dostałaś? Ona ci dała? Wszystkie?

- Niczego mi nie dała - syknęła Cecily. - Ukradłam go, mam nadzieję, że Pan Bóg mi wybaczy - dodała i przeżegnała się, a potem wyjaśniła, jak do tego doszło.

Tymczasem Estelle zdjęła z półki pojemnik z nierdzewnej stali i schowała w nim misia.

- Tutaj nikt nie zajrzy. Będzie bezpieczny, a przed zamknięciem go zabierzemy. Mówisz, że nie udało ci się wynieść niczego więcej?

- Nie. - Cecily potrząsnęła głową.

Wszystko stało się tak szybko. Wciąż nie mogła uwierzyć, że miała tyle przytomności umysłu, by chwycić misia, kiedy upadł na podłogę, i wsunąć do torebki.

- Pan Bóg na pewno ci wybaczy - zapewniła ją Estelle. - A Willi i ja już cię błogosławimy.

- Dzięki, ale nam potrzeba czegoś więcej niż błogosławieństwa. Potrzeba nam cudu. Nie możemy ciągle składać Sophie wizyt i za każdym razem ukradkiem coś wynosić. Musimy wydobyć całą przesyłkę za jednym zamachem. Bardzo żałuję, że ona w ogóle zobaczyła te pluszaki.

- A jeśli wystawi je na sprzedaż? - zaniepokoiła się Estelle. - Na pewno zastanowiły ją ceny...

- Mnie też to nie daje spokoju - przyznała się Cecily.

Lekarstwa były zamawiane w Nowej Szkocji w aptecce położonej blisko domu jej kuzynki. Każdy z siedemnastu wtajemniczonych osobno płacił za swoje leki, zazwyczaj kartą kredytową, każąc je wysłać na adres tejże kuzynki. Następnie ta dobra kobieta zaszywała lekarstwa w zabawki, które bardzo lubiła robić, i raz na miesiąc hurtem wysyłała do sklepu Maude. To właśnie Maude wymyśliła, aby na metkach umieszczać cenę leków i specjalne oznaczenie złożone z trójkątów i kwadratów. Kiedy ktoś przychodził po swoje leki, sprawdzała, czy suma na zamówieniu zgadza się z sumą na metce i wydawała zabawkę. Cecily miała wątpliwości, czy ten system jest niezawodny, lecz skoro Maude była jedyną osobą chętną do współpracy, nie zgłaszała zastrzeżeń.

Na szczęście jej kuzynka była bardzo skrupulatna. W ciągu ponad dwóch lat ani razu się nie pomyliła, więc Cecily ostatecznie uznała, że system Maude się sprawdza.

- Szkoda, że nie wiedziałyśmy, że ona pojechała do Houston - rzekła Estelle. - Może powinnyśmy wtedy spróbować...

- Trudno. Stało się. Widziała zabawki. Teraz, jeśli nawet uda nam się dostać do środka i je zabrać, od razu zobaczy, że zniknęły. Ona nie jest głupia. Zapamięta, co wydarzyło się dzisiaj. Nie chcę, żeby uważała mnie za złodziejkę. - Nagle uderzyła ją straszna myśl. - Gotowa podejrzewać, że to Dana ukradła misia. Byłyśmy tam razem. Boże, co ja narobiłam! - zaczęła lamentować.

- Zrobiłaś to, co należało - zapewniła ją Estelle.

- Może powinnyśmy poczekać, aż wystawi je na sprzedaż, i jak gdyby nigdy nic po prostu kupić? - rzekła Cecily z nadzieją w głosie.

Estelle zacisnęła wargi.

- Te leki są już i tak bardzo drogie. Ale skoro...

Cecily machnęła ręką.

- W porządku. Tak tylko powiedziałam.

- W ostateczności wyznamy jej prawdę - stwierdziła Estelle.

- Nie chcę, żeby Alain się dowiedział, w co się wplątałyśmy.

Cecily brała pod uwagę fakt, że jej syn miał zamiar ubiegać się o stanowisko szeryfa. Zauważyła również, jakim wzrokiem spojrzął na Sophie, kiedy pojawiła się w Blue Moon w towarzystwie Luca Cartera. Tak, Alainowi wciąż na niej zależy. Może ktoś postronny by się nie zorientował, ale ona przecież jest jego matką. Jak mógłby się z nią związać, gdyby

jego własna matka została aresztowana za kradzież w sklepie jego ukochanej?

- Zamówienie! - zawołała Marie, która zastępowała chorą kelnerkę. Cokolwiek złego by się nie powiedziało o Marie Lesatz, a według Cecily sporo by się tego zebrało, jednego nie można jej było odmówić, miała dobre serce. Zawsze była gotowa pomóc, nawet jeśli padała z nóg. Dostrzegła teraz Cecily w kuchni, odwróciła się i krzyknęła przez ramię: - Alain, nie martw się! Twoja matka nie zemdlą w toalecie. Jest w kuchni. Rozmawia z Estelle.

- Porozumiem się z mamą - rzekła Cecily do Estelle. - Ale czy myślisz o tym samym co ja?

Estelle westchnęła i kiwnęła potakująco głową.

- Jeśli ktoś z nas potrafi wymyślić, jak nieopatrzenie, dostać się do sklepu, to tą osobą jest Marie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po raz pierwszy od prawie tygodnia świeciło słońce, więc Alain zostawił radiowóz na parkingu i dalej ruszył piechotą. Po przejściu huraganów Katrina i Rita w Indigo, podobnie jak w większości miast na Południu, nie było już prawdziwego centrum handlowego. Więcej sklepów było zamkniętych niż otwartych, lecz te, które pozostały, na przykład sklep ogólnospożywczy, sklep z artykułami gospodarstwa domowego, sklep z częściami zamiennymi do samochodów oraz drogeria, całkiem nieźle prosperowały.

Było wyjątkowo ciepło i na ławkach pod pomnikiem bohaterów wojny siedziało kilku starszych mężczyzn, paląc papierosy i gawędząc. Bart Lafever i jego szwagier opalający się na skwerku stanowili taki sam zwiastun wiosny jak przysłowiowe jaskółki. Wystawy drogerii były pełne czerwonych, białych i różowych walentynkowych dekoracji, a w witrynie sklepu z artykułami żelaznymi leżały drobne sprzęty gospodarstwa domowego z przypiętymi czerwonymi serduszkami, przypominającymi mężom i narzeczonym, że toster też może być prezentem dla ukochanej. Estelle i Willis reklamowali specjalne menu na romantyczną kolację z *creme brulee* na deser. A Wil-

lis musi czuć się lepiej, jeśli chce mu się zapalać palnik do karmelizowania *creme brulee*, pomyślał Alain.

Zanotował w pamięci, że musi kupić dwie róże, dla matki i dla babki. Ponieważ nie miał ukochanej, zazwyczaj zapominał o dniu św. Walentego.

Minał kolejny tydzień, a on wciąż nie skontaktował się z Casey Jo. Zaczynał mieć nadzieję, że może straciła zainteresowanie wycieczką do Disney Worldu. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, Dana aż podskakiwała z emocji, lecz przestała go zadrećcać, by się zgodził na jej wyjazd. Może tym razem sprawa rozejdzie się po kościach, myślał, chociaż znając byłą żonę, wątpił w to.

Okrzyżył skwer, zajrzał na Jefferson Street, a mijając domek Maude Picard, zastanowił się przelotnie nad tym, co Sophie z nim robi. Zawrócił na skwer i kiedy znalazł się przed budynkiem opery, podszedł bliżej i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się, więc zajrzał do środka. Sophie nigdzie nie było widać, za to drzwi na widownię stały otworem, a ze sceny dobiegały dźwięki zydeco wybijanego obcasami.

Zauważył, że przez ostatnie dni Sophie była bardzo zajęta. Guy z dwoma kolegami z drużyny piłkarskiej pomogli jej poprzestawiać wszystkie rzeczy zgromadzone na zapleczu tak, by ułatwić dostęp do nich osobie, która będzie przeprowadzała wycenę. Poprzedniego wieczoru przy kolacji chłopak opowiedział mu wszystko ze szczegółami.

W sklepie było mnóstwo fajnych rzeczy, rela-

cjonował z przejęciem, na przykład cały kufer starych ubrań. Głównie babskie ciuchy, ale była też kurtka od munduru z czasów wojny secesyjnej i szabla.

- Na pewno warta jest kupę kasy - ciągnął - ale Sophie powiedziała, że powinna trafić do muzeum.

Alain z zadowoleniem stwierdził, że się z nią zgadza, a skoro Guy już zaczął ten temat, skorzystał z okazji i jak gdyby mimochodem spytał:

- Jak ci się z nią pracuje?

Chłopak przyznał, że praca jest ciężka, bo większość tych starych mebli waży chyba tonę. Chwalił Sophie za to, że jest wyrozumiałym, zgodnym szefem i hojnie ich wynagradza. Kupiła skrzynkę napoi chłodzących i nie wściekła się, kiedy wnuk Estelle, Antoine, upuścił stos talerzy, które potłukły się w drobny mak.

- Powiedziała, że nie były aż tak cenne i nawet mu nie potrąciła z wypłaty.

- To ładnie z jej strony - skomentował Alain.

Podejrzewał, że jego syn zadurzył się w Sophie, ale bardziej by się zmartwił, gdyby tak nie było. Przecież Sophie to bardzo atrakcyjna i seksowna kobieta.

Myśląc o wczorajszej rozmowie z synem, Alain doszedł do środka widowni, lecz Sophie wciąż nie było widać. Natomiast stwierdził, że muzyka rozbrzmiewała z dużego radiomagnetofonu tranzystorowego ustawionego na scenie.

Na stołach, komodach i kredensach leżały książki.

Przechylił głowę, by przeczytać niektóre tytuły: „Skarby ze śmietnika”, „Przewodnik po świecie antyków sprzed wojny dla amatorów”, „Amerykańskie meble - wiek XVIII i XIX”, „Poszukiwanie antyków na amerykańskim Południu”. Z książek wystawały liczne kolorowe karteczki, świadczące o tym, że Sophie solidnie zabrała się do studiowania przedmiotu. Na mgnienie oka obudziła się w nim nadzieja, że zamierza zostać w Indigo dłużej, lecz zaraz się zreflektował. Przecież ona ma w Houston swoje życie i karierę zawodową. Nie jest dziewczyną z małego miasteczka. Nigdy nie była i nie będzie.

- Och! To ty, Alainie? - dobiegło gdzieś z góry.

Podniósł wzrok na łożę po lewej stronie sceny.

- Przyszedłem rzucić okiem na łatę w dachu. Marjolaine powiedziała, że cię uprzedziła...

- Przepraszam, kompletnie straciłam poczucie czasu. - W głosie Sophie zabrzmiała nuta zażenowania. Stała w łoży i oparła się obiema rękami o złoconą balustradę. - Przyłapałeś mnie na zabawie w maskaradę.

Na jej widok Alain aż zachłysnął się powietrzem. Sophie ubrana była w coś białego i przezroczystego, ozdobionego szczypankami i obszytego koronką. Czyżby to był gorset?! Ramiona miała nagie, a piersi tylko do połowy zakryte. Do tego włożyła ogromny słomkowy kapelusz z blad różowymi różami i chyba strusimi piórami, zawiązany pod brodą. Włosy schowała pod kapeluszem, lecz zawsze niesforne loki wymknęły się spod runda i okalały jej policzki i szyję,



odbijając złociste promienie słońca wpadające przez wysokie okna.

Dłonią zasłoniła dekolt.

- Tak się dziwnie składa - odezwała się - że jestem tu, a moje ubranie zostało na dole...

Wychyliła się lekko przez balustradę i pokazała dzinsy i sweter przewieszzone przez oparcie jednego z krzeseł w rzędzie przed nim.

- Jestem gliną - rzekł, z nadzieją, że głos mu nie drży. - Od razu to zauważyłem.

Jej policzki przybrały barwę róż z niedorzecznego kapelusza i wyglądała... Nie znajdował słów na określenie, jak wyglądała. Jego umysł się wyłączył. Sophie spojrzała teraz dalej, na drzwi prowadzące do holu.

- Ktoś jest z tobą? - zapytała przestraszona.

- Jestem sam - uspokoił ją. - Mam ci przynieść ubranie na górę? - A potem położyć się na podłodze i się z tobą kochać, chciał dodać. Tylko tego pragnął.

Sophie zawahała się chwilę, jej policzki odrobinę pociemniały, jak gdyby ten sam pomysł przyszedł jej do głowy.

- Nie. Zejdę na dół.

Na moment zniknęła za boczną ścianką i zaraz pojawiła się znowu na szczycie schodów. Rzeczywiście ubrana była w gorset i halkę do kostek z jedwabiu koloru kości słoniowej i poźółkłej koronki, która przy każdym kroku wirowała wokół jej nóg. Gorset podkreślał krągłość jej bioder, zwężając się w trójkąt tuż nad łonem. Serce zaczęło mu bić mocniej i uświado-

mił sobie, że wstrzymał oddech. Ze świstem wypuścił teraz powietrze z płuc. Halka składała się ze zbyt wielu warstw jedwabiu i koronek, więc nie widział, co Sophie ma pod spodem, lecz domyślał się, iż niewiele. Dżinsy leżały przecież pod swetrem. Nie dlatego, że był glina, zauważył cienki niebieski staniczek leżący na swetrze. I na pewno nie z racji swego zawodu domyślił się, że majteczki do kompletu są tak samo cienkie i niebieskie.

Sophie przystanąła u podnóża schodów.

- Wczoraj znalazłam te rzeczy w jednym z kufków. Nie mogłam się oprzeć, żeby ich nie przymierzyć - zaczęła się tłumaczyć i palcem poruszyła delikatne koronki przy dekolcie. - Są jak z wiktoriańskiego żurnala, prawda?

Alain nie odpowiedział, tylko przestąpił z nogi na nogę. Jak tak dalej pójdzie, po wyjściu stąd będzie musiał wziąć zimny prysznic.

- Potem usłyszałam jakiś szmer na balkonie - ciągnęła. - Pomyślałam, że to może wiewiórka, kot, skunks albo jakieś inne zwierzę, i poszłam sprawdzić. - Kiedy Alain w dalszym ciągu milczał, zapytała: - Dlaczego tak stoisz z opadniętą szczęką? - Natychmiast otrzeźwiał i zamknął usta. Tymczasem Sophie pochyliła się, chwyciła ubranie, szybkim ruchem zwinęła w dłoni biustonosz i zarzuciła sweter na ramiona, przykrywając dekolt. Alain poczuł się jak młokos, który dostał prztyczka w nos. - Więc jak już ci mówiłam - kontynuowała - wczoraj znaleźliśmy z chłopcami cały kufer wytwornych starych ubrań.

- Zamilkła, spuściła wzrok i wygładziła halkę, a kiedy podniosła głowę, zobaczył, że oczy jej błyszczą z podniecenia jak dziewczynce bawiącej się w przebieranki. - Zawsze byłam ciekawa, jakie to uczucie włożyć prawdziwy gorset. Nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby się przekonać.

- I jak?

Sophie przyłożyła rękę do brzucha.

- Fiszbiny, pewnie z ości wieloryba, są strasznie sztywne. Nie mogę ani oddychać, ani się pochylić. I wcale nie zasznurowałam się ciasno. Materiał jest za słaby, a poza tym jestem po prostu za gruba.

- Nieprawda - zaprzeczył.

Dla niego była w sam raz. Prześliznął wzrokiem pó jej kształtnej figurze. Spod ozdobionego haftem obrębka halki wystawały czubki jej sportowych butów. Z jakiegoś powodu ten kontrast wydał mu się niezwykle seksowny.

- Dziękuję za komplement, niemniej w talii i... gdzie indziej jestem teższa od kobiety, dla której uszyto tę bieliznę.

- To zauważyłem - wyrwało mu się.

- A ja zauważyłam, że ty zauważyłeś. - Zamilkła, a kiedy zobaczyła, że nie zrozumiał sugestii i nie odszedł, dodała: - Przepraszam cię, ale chciałabym się przebrać.

- Oczywiście. - Palcem przesunął kapelusz na tył głowy. Czuł, że kołnierz munduru go dusi i że oblewa go fala gorąca. - Zaczekam na scenie - powiedział.

Ostatni raz kochali się ponad piętnaście lat temu.

Od czasu, kiedy Casey Jo przyłapała ich razem właśnie nie w tym budynku, nawet Sophie nie pocałował, nie objął, nie dotknął, lecz jego ciało zapamiętało te wszystkie doznania i na ich wspomnienie krew szybciej krążyła mu w żyłach.

- To potrwa tylko chwilkę.
- Nie ma pośpiechu.

Odwrócił się na pięcie, lecz zdążył odejść tylko dwa kroki, kiedy go zawołała:

- Alainie!

Omam nie jęknął z rozpaczy. Obejrzał się. Sophie zasłaniała się swetrem, na jej policzki wystąpiły ciemne rumieńce.

- Tak?

- Nie mo... Zrobił się supeł. - Odwróciła się do niego plecami, obejrzała przez ramię i zastygła w pozie wiktoriańskiej uwodzicielki w jedwabkach, koronkach i niedorzecznym kapeluszu, który był najbardziej seksownym rekwizytem, jaki w życiu widział. - Nie chciałabym rozerwać sznurówki...

Zawrócił i na sztywnych nogach podszedł do niej. Pomiędzy brzegami gorsetu, poniżej talii, widział jej nagą skórę. Przypomniał sobie nagle, jak zawsze drżała, kiedy ją dotykał właśnie w tym miejscu, poniżej talii. Poczł tężenie w lędźwiach i by ochłonać, skupił całą uwagę na pieprzyku na ramieniu Sophie.

- W jaki sposób go włożyłaś? - spytał, usiłując rozplatać węzeł i zbyt późno zorientował się, że odpowiedź może być tylko jedna i że ją zna.

W nozdrzach czuł delikatny aromat lawendy,

zwietrzały jak stare koronki, zmieszany z wonią skóry Sophie, ciepłą, kobiecą, przebijającą się przez wszechobecny zapach naftaliny. Siłą woli zmusił się do skoncentrowania właśnie na tej przyziemnej nucie.

- No wiesz... - Wyprostowała ramiona, jak gdyby i ona starała się bronić przed wspomnieniami. - Włożyłam tył na przód, zasznurowałam i potem odwróciłam, ale widocznie zawiązałam tasiemkę za mocno, bo teraz ta sztuka mi się nie udała. - Gdy tylko Alain zdołał rozwiązać tasiemki, Sophie obróciła się na pięcie. - Z halką sobie poradzę, zapina się na haftki.

- To czekam na scenie - powtórzył i ruszył między rzędami.

Pomiędzy głębokimi wdechami i wydechami powtarzał sobie, że po prostu dawno nie znajdował się tak blisko prawie nagiej kobiety. Ale nie zdołał oszukać samego siebie. Nie chodziło o byle kobietę, lecz o Sophie Clarkson, jego pierwszą miłość. I niczego tak nie pragnął, jak znowu trzymać ją w ramionach, znowu leżeć obok niej, znowu dzielić z nią życie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sophie drżały ręce, kiedy kładła gorset i halkę na szezlongu, który Guy z kolegami na jej prośbę usunęli z przejścia i umieścili pod schodami prowadzącymi na balkon. Spędziła dwie godziny, próbując znaleźć w Internecie jakieś informacje na temat pochodzenia tego mebla, ponieważ w książkach Maude nie natrafiła na żadne wskazówki. W końcu, na jakiejś nieznannej stronie poświęconej ręcznie robionym reprodukcjom, przeczytała opis podobnego antyku. Nie miała stuprocentowej pewności - poczeka na opinię rzeczoznawcy - ale jeśli znaki na spodzie są autentyczne, Maude zdobyła klejnot przedwojennego rzemieślnika, dzieło niewolnika z plantacji w Missisipi słynącej z produkcji ręcznie zdobionych mebli.

Postanowiła skontaktować się z jakimś dużym domem aukcyjnym w Nowym Orleanie albo Houston i zaproponować, aby albo wzięli szezlong w komis, albo wystawili na aukcji. Jeśli uda się jej korzystnie go sprzedać, wystarczy na honorarium rzeczoznawcy.

Czule poklepała gorset i zaczęła iść w kierunku sceny, gdzie czekał Alain. Nie mogła uwierzyć, że uległa impulsowi i przebrała się, wiedząc, że dawny ukochany wpadnie sprawdzić stan dachu.

A może podświadomie chciałam, żeby zobaczył mnie w tym historycznym negliżu?

Absurd, skarciła się w duchu. Dałam się powodować ciekawością naturalną u kobiety żyjącej w dwudziestym pierwszym wieku. Chciałam się przekonać, jakie katusze nasze prapraprababki cierpiały w imię mody. A co do Alaina, straciłam po prostu poczucie czasu, to wszystko. Jeśli zaś chodzi o katusze... Cóż, pomyślała ze zdziwieniem, wcale nie były one aż takie przykre. Czuła się bardzo kobieco, bardzo seksownie i bardzo pojętnie.

- Tylko dlatego, że nie zasznurowałaś się dość ciasno - mruknęła do siebie.

- Mówiłaś coś? - spytał Alain i wyciągnął rękę, by pomóc jej wdrapać się po stromych schodkach na scenę.

- Nie, nic. Tak tylko mówiłam do siebie.

Kiedy już bezpiecznie znalazła się na proscenium, Alain przykucnął i zaczął przeglądać kasety i płyty, które znalazła razem z radiomagnetofonem w jednej z szaf.

- „Beausoleil” - przeczytał. - Świetne. Klasyczne zydeco. Och! „Indigo Boneshakers”!

- Znasz ich? - zapytała.

Alain zdjął kapelusz i odłożył go na brzeg sceny. Jego ciemne włosy z jaśniejszymi kasztanowymi refleksami były tak samo gęste jak wtedy, kiedy był nastolatkiem. Sophie z trudem opanowała chęć dotknięcia ich i sprawdzenia, czy są tak samo miękkie, jak zapamiętała.

- Oczywiście. Kilku chłopaków jest stąd, reszta z Lafayette i okolic. - Włożył płytę do odtwarzacza. - Ten album to czysty kajun, ale oni grają wszystko, od zydeco do Elvisa. Od czasu do czasu grywam z nimi, kiedy potrzebują skrzypka.

- Dlaczego zrezygnowałaś z marzeń i nie poświęciłaś się muzyce? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, dopadła mnie proza życia. Po naszym zerwaniu szybko dorosłem.

- Mnie zajęło to trochę więcej czasu - odparła, myśląc o beztruskich latach studenckich, wirze życia towarzyskiego, w jaki wpadła po zaręczynach z Randalllem, o ślubie jak z bajki. I o rozwodzie, po którym pognała do Indigo, prosto w ramiona Alaina.

Tymczasem jego myśli biegły swoim torem. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał spokojnie, nawet szorstko.

- To była właściwa decyzja, Sophie. Mam na myśli zerwanie naszych zaręczyn.

Westchnęła. Zerwanie zabolowało ją, rozczarowało, ale wówczas nie była jeszcze gotowa do małżeństwa i oboje doskonale o tym wiedzieli.

- Ja też musiałam przejść swoją drogę..- Pomyślała o nieudanym małżeństwie i niespełnionym marzeniu o rodzinie i dzieciach. - Żałuję tylko, że po drodze wzięłam zły zakręt.

- Nie tylko ty. Ja również.

- Ty masz Guya i Danę. Czy to niewystarczająca rekompensata za błędy?



- Są całym moim życiem. Chciałbym wierzyć, że bycie mężem i ojcem uczyniło ze mnie mężczyznę, ale to wojsko mnie ukształtowało. Dopiero później zacząłem się starać godzić obie te role. Właściwie wciąż nad sobą pracuję.

Uśmiechnął się najpierw jednym kącikiem ust, potem już całą twarzą, zupełnie tak samo, jak gdy był młody, tylko że teraz oczy pozostały poważne.

- Dla nich poświęciłeś swoje marzenie.

- To było marzenie młodego chłopaka. Z pensji policjanta musiałem utrzymać rodzinę. Nie miałem czasu zajmować się muzyką. Wciąż nie mam, no może sporadycznie udaje mi się wyrwać krótką chwilę.

- Nie żałujesz?

- Żałuję tylko jednej rzeczy.

Ich spojrzenia spotkały się. Sophie serce zabiło mocniej. Wiedziała, że ma na myśli ją i to, co ich łączyło, lecz czego nie potrafili zatrzymać, bo byli zbyt młodzi. Alain wstał i czar chwili prysł.

- Lepiej chodźmy na górę, bo później nic nie będzie widać - rzekł i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Zbyt wiele czasu minęło, by można było wskrzesić przeszłość. Nie są już nastolatkami. Nie można na nowo rozbudzić uczuć, jakimi się wówczas darzyli. Czyżby? - Schody są tu - dodał, prowadząc ją za kulisy.

Kiedy Sophie była dzieckiem i udało jej się tu zakraść, zawsze zadziwiało ją, jak jasne i przestronne jest zaplecze sceny. Wyłożone boazerią ściany poma-

lowane były na biało, a światło słoneczne wpadało przez trzy wąskie, lecz wysokie okna z tyłu budynku. Nie było tu osobnych garderób, tylko długie żelazne pręty, na których wieszano kotary zapewniające aktorom odrobinę prywatności podczas zmiany kostiumów. Ku swojemu rozczarowaniu nie dostrzegła żadnych rekwizytów ani fragmentów dekoracji, lecz o ile Marjolaine i Hugh mają rację, niektóre elementy mogą znajdować się dokładnie nad jej głową.

Alain podszedł do drzwi, których nie pamiętała z dzieciństwa. Z kieszeni wyciągnął klucz i włożył do zamka.

- Gzy te drzwi zawsze tu były? - zdziwiła się.  
- Nie przypominam ich sobie.

- Zawsze - odparł - ale Maude kazała je zabić na głucho i zamalować. Wydawało jej się, że w ten sposób powstrzyma dzieciaki od prób wdrapania się na strych. W czasach mojego dziadka był to swoisty rytuał inicjacji w dorosłość. Te drzwi Maude założyła dopiero po huraganie Katrina, kiedy robotnicy musieli dostać się na strych, żeby naprawić dach.

- Dlaczego potem ich nie zabezpieczyła? Podejrzewam, że dla dzieciaków to wciąż taka sama pokusza jak dla twojego dziadka.

- Hugh Prejean i inni prosili, żeby tego nie robiła. Poza tym ja zostałem szefem policji i pewnie uznała, że skoro płaci podatki, to może się spodziewać, że ochronię jej własność przed wandalami.

W jego głosie rozbawienie mieszało się z irytacją.

- To do niej podobne.

Alain odpiął latarkę od pasa.

- Gotowa? - zapytał. - Tam jest ciemno choć oko wykol. Na górę nie doprowadzono światła.

Wyciągnął do niej rękę, ale tym razem Sophie była już przygotowana na dreszczyk emocji, jaki jego dotyk w niej wywoływał. Schody były wąskie i strome, lecz kiedy stanęli na górze, Sophie wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. Większość pomieszczenia tonęła w mroku, tylko bezpośrednio pod kopułą na podłogę z cyprysowych desek padał snop światła.

Alain od razu przystąpił do inspekcji dachu, oświetlając krokwie latarką, a tymczasem Sophie rozjrzała się dookoła. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, spostrzegła, że otaczają istny skarbiec. Marjolaine mówiła prawdę. Były tu stare afisze zapowiadające przedstawienia wodewilowe albo występy wędrownych bardów, lampy naftowe, które wyglądały jak oryginalne światła rampy, oraz ogromny zwój, który tu na górę musiało wtaszczyć kilku siłaczy.

- Alain? Dobrze zgaduję, co to jest? - spytała.

Odwrócił się, snop światła z latarki prześliznął się po fragmencie dekoracji bez wątpienia przedstawiającej Wenecję, scenierię sztuki Szekspira albo włoskiej opery.

- Dobrze - rzekł. - To oryginalna malowana kurtyna z dołu.

- To co ona tu robi? - oburzyła się Sophie. - Przecież jest bardzo cenna. Może wręcz unikatowa.

Alain podszedł bliżej i przykucnął nad zwojem.

- Jest cenna tylko dla nas, mieszkańców Indigo.  
- Zamilkł i trącił zwój latarką. - Znalazła się tutaj, bo jest zbyt zniszczona, żeby ją odnowić. Maude i inni po prostu próbowali zapobiec dalszej ruinie. Mieli nadzieję, że kiedyś, jeśli znajdą się pieniądze, przywrócą jej dawną świetność.

- Mimo wszystko powinno się ją przechowywać w bardziej odpowiednim pomieszczeniu i zabezpieczyć przed myszami, molami i czym tam jeszcze.

- Zaczynasz mówić jak doświadczony antykwarysta.

- Ta kurtyna to kawałek historii.

Miała poczucie, że dokonała ważnego odkrycia. W dotychczasowej pracy nigdy nie doznała podobnej satysfakcji, nawet jeśli udało jej się pozyskać hojnych sponsorów dla któregoś z małych uniwersytetów.

- Pewnie masz rację - odrzekł - ale zapominasz, że kurtyna należy do właściciela opery, jakiegoś faceta z Kanady, którego nie interesuje budynek z dobrodziejstwem inwentarza, tylko czynsz.

Sophie rozejrzała się dookoła.

- Jakie to smutne. W tych skrzyniach znajduje się pewnie jeszcze więcej pamiątek. Też powinny być odpowiednio przechowywane. To świadectwa historii.

- Słusznie. - Wyciągnął rękę, a Sophie z biciem serca podała mu dłoń. Próżne nadzieje, że potrafią być tylko dawnymi znajomymi. Ona nie potrafi.  
- Schodzimy? - zaproponował.

Starła się zapanować nad emocjami. Wstała, lecz

plama słońca pod kopułą ją kusiła. Tuż pod oknami kopuły biegł wąski podest.

- Możemy tam wejść? - zapytała. - Chciałabym zobaczyć widok. Musi być wspaniały.

- I jest. Nie byłem tam od czasu huraganów. Musieliśmy wstawić wybite szyby. Ale wtedy widok nie był zachęcający.

- Kto zapłacił za szyby? - spytała, wspinając się po zardzewiałych metalowych stopniach.

Tuż za sobą czuła bliskość Alaina. Jego zapach, ciepło bijące od jego ciała, siłę.

- Firma ubezpieczeniowa. Właściciel przebywa daleko, ale w tych sprawach jest bardzo sumienny. Wysoko ubezpieczył budynek.

Sophie oparła dłonie o parapet wąskiego okienka i spojrzała na wolno płynącą Bayou Teche. Wiedziała, że dawna plantacja należąca do rodziny Valois znajdowała się na wysokim brzegu. Rezydencja i budynki gospodarcze spłonęły na początku dziewiętnastego wieku, a ziemię jeszcze przedtem zaczęto sprzedawać kawałek po kawałku.

- Sądysz, że wyglądała jak Shadows-on-the-Teche? - zapytała, mając na myśli sławną rezydencję w New Iberii, którą dawno temu pokazała jej Maude.

- Słucham?

Alain, który z innego okna wyglądał na miejski skwer, odwrócił się do niej. Sophie zdusiła uśmiech. Policjant z krwi i kości, pomyślała. Najpierw ogląda swój rewir, dopiero potem myśli o damach w krynolinach i oficerach kawalerii z szablami u pasa.

- Pytam o dawną plantację rodziny Valois. Czy była tak piękna jak Shadows-on-the-Teche?

- Wątpię. Dom jak na tamtejsze czasy był duży, ale nie mógł się równać z Shadows. Nie wiem, czy zachowały się jakieś ryciny. Zapytam babkę. Ona jest z domu Valois: Biedni krewni wielkiego rodu. Po wojnie właściciele plantacji wyemigrowali do Kanady. Jediną osobą, która kiedykolwiek tu wróciła, była Amelie, wdowa po Alexandre. Jest pochowana obok niego na cmentarzu obok kościoła św. Tymoteusza.

- Tę część historii znam. Kiedy byłam nastolatką, uważałam ją za najbardziej romantyczną na świecie. Amelie wróciła, żeby tu umrzeć i spocząć u boku ukochanego.

- A ja zawsze uważałem, że to była najgłupsza podróż, jaką stara schorowana kobieta mogła przedsięwziąć, na dodatek w środku zimy.

Sophie zmarszczyła nos.

- Typowy facet. - Sophie odszukała wzrokiem figurę anioła z białego marmuru zdobiącą kryptę rodziny Valois, górującą nad przykościelnym cmentarzem. - Ani krzty romantyzmu. Możesz cytować mi same suche fakty, ale ja zawsze będę wierzyła, że jedynym celem jej życia była możliwość połączenia się z utraconym ukochanym. Amelie i Alexandre to Ewangelina i Gabriel z Indigo.

- Będziesz musiała spisać ich historię dla turystów. Szkoda tylko, że nikt nie widział ani nie słyszał ich duchów. To dopiero byłaby atrakcja.

- Gdyby Amelie chciała się gdzieś pojawić w postaci ducha, na pewno wybrałaby operę. Maude opowiadała, że miała przepiękny głos.

- Też o tym słyszałem. - Sophie odwróciła się i zobaczyła, że Alain bacznie się jej przygląda. Odsunęła się o krok, ponieważ poczuła, że stoją zbyt blisko siebie i że na dodatek bardzo jej się to podoba.

- Uważaj, bo spadniesz - ostrzegł.

Balustrada sięgająca zaledwie kolan rzeczywiście stanowiła raczej symboliczne zabezpieczenie, więc Sophie natychmiast go posłuchała.

- To dom twojej matki? - Wyciągnęła rękę w kierunku Lafayette Street.

- Tak. A tam, dwie ulice dalej, mieszka moja babka.

- Wspaniały widok - zachwycała się Sophie.

Zatrzymała wzrok na restauracji Blue Moon, potem na domu pogrzebowym. Spojrzała na bieg rzeki, odszukała La Petite Maison, pomyślała o Lucu i natychmiast wróciła do rzeczywistości.

- O Boże! - wykrzyknęła. - Która godzina? Obiecałam Lucowi, że wrócę na podwieczorek. Ma podać jakieś nowe ciasteczka upieczone dziś rano przez Lorette Castille. W weekend spodziewa się kompletu gości i prawdopodobnie chce zrobić na nich dobre wrażenie.

Alain nachylił się nad nią.

- Nie kieruj się sentymentami w ocenie Luca - ostrzegł.

- Nie robię tego. A w ogóle to nie twój interes.

Alain uniósł rękę i dotknął jej włosów.

- Wiem - odrzekł. - Daruj nieokrzesanemu chłopakowi z Południa ten sposób zapytania, czy żywisz do niego ciepłe uczucia.

- To również nie jest twój interes - skarciła go, lecz tym razem słowa trudniej jej przeszły przez nagle ściśnięte gardło.

- Pytam, bo nie mam zwyczaju całować kobiet zainteresowanych innymi facetami.

- Całować?

Z wrażenia krew uderzyła jej do głowy, w uszach słyszała własne przyspieszone tętno.

- Tak. Całować..- Ciężką, szorstką dłonią objął jej głowę, pochylił się i musnął wargami jej usta. Dotyk jego ręki na szyi odczuła jako doznanie niezwykle podniecające. - Od tamtej nocy, kiedy przed domem pogrzebowym zobaczyłem ciebie i Luca stojącego tak blisko i osłaniającego cię parasolem, chciałem to zrobić - rzekł.

- Powiedziałaś ci już, że...

- Wiem - odparł i pocałował ją ponownie, tym razem śmieiej.

Rozchyliła wargi, zarzuciła mu ręce na szyję, pierśmi otarła się o jego mundur i przez cienki sweter poczuła zarys odznaki policyjnej.

Odznaka była symbolem jego obowiązków i odpowiedzialności za mieszkańców Indigo. Obowiązków i odpowiedzialności dojrzałego mężczyzny, nie chłopaka. Jego usta też były ustami mężczyzny, tak samo jak jego dłonie. W Ałainie nie było już nic



z nastolatka, którym była zauroczona, za to odnajdywała w nim wiele cech młodego mężczyzny, który siedem lat temu podbił na krótko jej serce.

Nagle zeszywniała. Niespodziewanie ożyło wspomnienie Casey Jo, która ich wówczas przyłapała.

Alain uniósł głowę.

- Co się stało? - spytał, odsunął z jej twarzy niesforne pasmo włosów i założył jej za ucho. - Tylko nie kłam, że ci się nie podobało, bo nie uwierzę.

- Podobało mi się - przyznała i zacisnęła wargi.

W całym ciele czuła wibracje długo tłumionej namiętności.

- Przypomniał ci się nasz ostatni pocałunek w tym budynku, tak? - Przytaknęła skinieniem głowy, bo głos odmówił jej posłuszeństwa. - Z Casey Jesteśmy rozwiedzeni od prawie pięciu lat, to jest odkąd zabrała się i wyjechała robić karierę w Las Vegas, zostawiając płaczącego Guya i malutką Danę - wyjaśnił beznamiętnym tonem, lecz pociemniałe oczy zdradzały upokorzenie, jakie chciał przed nią ukryć. - Dla mnie to była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Następnego dnia po jej wyjeździe wniosłem pozew do sądu.

- Tu nie chodzi o Casey Jo - zaczęła Sophie. - No, może trochę. Sam powiedziałeś, że nadal jesteś częścią twojego życia i zawsze będzie, bo jest matką waszych dzieci. Tu chodzi także o mnie. Nie jestem tą samą dziewczyną co dawniej. Mam swoje życie i pracę w Houston... Nie należę do Indigo. I pewnie nigdy nie należałam. Jestem obca.

A teraz, przemknęło jej przez myśl, czy potrafię zostawić wszystko, co osiągnęłam, i stać się częścią tej małej społeczności? Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie i w tej chwili bała się nawet próbować jej szukać.

Drżała, czuła ucisk w żołądku. Jej reakcja na dotyk Alaina była silniejsza, niż się spodziewała. Czy coś zostało z dawnej fascynacji? Coś więcej, niż pragnęła przed sobą przyznać? Coś, co nada jej życiu nowy kierunek?

- Zobacz, jeden pocałunek, a jak wiele namacił w naszym życiu - zauważył.

Odważyła się spojrzeć mu w oczy. Zobaczyła, że zniknęła z nich namiętność, a pozostała niepewność, zamęt podobny do tego, jaki ona miała w głowie.

- To prawda. Echo dawnych fluidów, albo coś w tym rodzaju.

Wyciągnął rękę, opuszką palca dotknął jej warg.

- Albo coś w tym rodzaju - powtórzył za nią.

Na dźwięk tych słów poczuła przenikliwy dreszcz.

Coś w tym rodzaju?

Miłość?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sophie poprawiła się na krześle. Zdrętwiała od długiego siedzenia. Wspólne posiedzenie Towarzystwa Historycznego Indigo i komitetu organizacyjnego festiwalu muzyki kajuńskiej odbywające się w pokoju na zapleczu Blue Moon Diner trwało już od dobrej godziny i niestety nic nie zapowiadało, że wkrótce się skończy. Musiała jednak przyznać, że przewodnicząca zebrania, Marjolaine Savoy, dokładała wszelkich starań, by zabierający głos nie zbaczali z tematu i by dyskusja, czy w dniu festiwalu powinna odbyć się parada albo czy wieczorem istnieje możliwość urządzenia pokazu ogni sztucznych, nie ciągnęła się w nieskończoność.

Ostatecznie zgodzono się, że parada jest do zorganizowania, natomiast z pokazu sztucznych ogni należy zrezygnować ze względu na wysokie koszty.

Krótkie wystąpienie Sophie o sposobach zdobywania dodatkowych funduszy zostało przyjęte przychylnie i chociaż dwa dni przedtem, kiedy Marjolaine zwróciła się do niej z prośbą o powiedzenie kilku słów na ten temat, nie miała na to ochoty, teraz była zadowolona. W zasadzie nie powiedziała niczego, na co członkowie komitetów nie mogliby wpaść sami.

Na pewno można by się ubiegać o granty na określone projekty. Specjaliści od starania się o nie pobierali co prawda wysokie honoraria, lecz gra była warta świeczki, jeśli w efekcie miasto odzyskałoby budynek opery.

Na razie postanowiono rozpocząć kampanię informacyjną i zwrócić się listownie do mieszkańców Indigo oraz do członków innych towarzystw historycznych, poza tym zorganizować pogadanki połączone z pokazem slajdów. Sprzedaż książki kucharskiej z przepisami na miejscowe przysmaki i koszulki z logo KajunFest już przyniosła zwrot wstępnie poniesionych wydatków. Okazało się, że wystarczy nawet na reklamę w lokalnym radiu. Sophie zakończyła zapewnieniem, że w ramach swoich możliwości służy pomocą, a nawet jeśli wyjedzie z Indigo, pozostanie w kontakcie. Nagrodziły ją oklaski i zebranie toczyło się dalej.

Podczas swojej pracy często uczestniczyła w spotkaniach z klientami, lecz niewiele z nich było tak przyjemnych jak to. W przeciwieństwie do rutyny i sztywnej konwencji obowiązującej w korporacjach, tu była energia, entuzjazm i autentyczna chęć do społecznej pracy na rzecz promowania miasta.

W związku z propozycją przygotowania pokazu slajdów Hugh Prejean zaoferował się, że przejrzy archiwa biblioteczne w poszukiwaniu starych fotografii opery i jej otoczenia, a ktoś inny, że zrobi zdjęcia afiszów zgromadzonych na strychu. Niestety, z realizacją tego pomysłu trzeba było poczekać, aż

wypowie się prawnik, czy nie zostaną naruszone jakieś prawa właściciela obiektu.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal - odezwała się jakaś kobieta, którą Sophie widziała po raz pierwszy. - Ma w nosie, co się dzieje z tym budynkiem.

Wkrótce potem zebranie się zakończyło i jego uczestnicy przeszli do głównej sali restauracji ozdobionej girlandami różowych i czerwonych serduszek gryzących się z zielonymi plastikowymi krzesłami i chromowanymi stolikami jeszcze z lat pięćdziesiątych. Podłogę pokrywała szachownica czarnych i białych płytek ceramicznych. Bar, przy którym zasiadała większość stałych gości, obity był blachą ze stali nierdzewnej i wypolerowany przez dwa pokolenia kelnerów.

O tej porze panował tu tłok, lecz Sophie dostrzegła wolny stółek i postanowiła skorzystać z okazji i zjeść lunch. Pożegnała Marjolaine uśmiechem, a odwróciwszy się, zderzyła z Lukiem Carterem, który wyraźnie chciał zająć to samo miejsce.

- Panie mają pierwszeństwo - rzekł i jak przystało na dżentelmena cofnął się o krok.

- Nie, nie. Usiądę przy tamtym stoliku pod oknem.

- Jesteś pewna? W Blue Moon najlepsze miejsca to te przy barze.

- Wiem.

Tymczasem Byron Mckee, aptekarz, wykorzystał ich niezdecydowanie i wśliznął się na stółek.

- Gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta  
- skomentował Luc.

- W takim razie przysiądź się do mnie - zaproponowała Sophie.

W ciągu ostatnich dni rzadko widywała swojego gospodarza. Spotykała się z prawnikiem Maude i przedstawicielem jej banku, porządkowała sprawy dotyczące domu, a resztę czasu spędzała w antykwariacie. Luc zaś był bardzo zajęty gośćmi, którzy przyjechali spędzić romantyczny weekend walentynkowy.

Same pary. Ona zaś jest sama.

Zastanawiała się, czy Luc czuł się podobnie.

Luc odsunął jej krzesło i otworzył kartę dań.

- Wezmę hamburgera z frytkami - oznajmił. -  
A ty?

- Sałatka z kurczaka, z serem feta i winogronami brzmi kusząco. Ghyba się na nią zdecyduję.

Złożyli zamówienie u kelnerki i czekając, aż przyniesie im dania, zaczęli rozmawiać.

- Jak minęło zebranie? - zapytał Luc. - Niestety, nie zdążyłem. Miałem... - zająknął się - miałem coś do załatwienia w Lafayette - dokończył.

- Poszło bardzo dobrze. Wszyscy są pełni entuzjazmu, zależy im, żeby się udało.

- To dopiero połowa batalii. Zastanawiam się, czy podczas festiwalu nie warto by było urządzać spaceru po mieście z przewodnikiem. Co o tym sądzisz?

- Świetny pomysł. Zgłoś go na następnym spotkaniu.

- Zapytam jeszcze o zdanie Marjolaine.

Sophie zrelacjonowała mu przebieg obrad. Sprawna kelnerka w średnim wieku szybko wróciła z talerzami, dołąła im słodzonej herbaty do szklanek i zajęła się gośćmi przy sąsiednim stoliku. Sophie odkroiła kawałek mięsa i właśnie kiedy podnosiła widelec do ust, poczuła mrowienie na karku. Alain, pomyślała, jeszcze zanim go zobaczyła. Jak zwykle ubrany był; na czarno i jak zwykle jego widok przyprawił ją o przyspieszone bicie serca.

Nie podszedł do niej. Nie oczekiwała tego. Naokoło siedzieli przyjaciele i znajomi, mieszkańcy miasta, których przysięgał ochraniać. Z niektórymi witał się na odległość, z innymi zamieniał po kilka słów.

- Cześć, Luc - zagadnął, podchodząc. - Ładny dzień.

- Zapowiada się też ładny weekend - odparł Luc.

- Jak się masz, Sophie - dopiero teraz Alain zwrócił się do niej.

Jej imię w jego ustach zabrzmiało jak pieszczota. Przeniknął ją dreszcz erotycznego podniecenia, lecz zdołała nad sobą zapanować.

- Cześć, Alain - odparła.

Nie widziała go od czasu ich pocałunku pod kopułą opery dwa dni temu. Sądziła, że panuje nad swoimi reakcjami, że jest gotowa na ponowne spotkanie, lecz się myliła. Czuła ucisk w dołku, oczu nie mogła oderwać od jego ust.

- Jak zebranie? - spytał. - Niestety, nie mogłem przyjść, bo dostaliśmy nagłe wezwanie.

- Dobrze. Właśnie rozmawialiśmy o tym z Lukiem. Jemu też nie udało się przyjść. - Sophie odłożyła widelec na talerz, by nie zauważyli, że drżą jej palce. Teraz sobie uświadomiła, że cały czas czekała na przyjście Alaina. Odkąd zeszedł ze strychu i pożegnali się, szykowała się na następne spotkanie. - Wywołano doktora Landry'ego z zebrania - ciągnęła. - Ty go wzywałeś?

- Chodziło o teściową Sama Castille'a.

- Mam nadzieję, że już jej lepiej.

- Och tak. Przyrządziła sobie kopiasty talerz kukurydzianych ciasteczek z papryką jalapeno i wszystkie spałaszowała. Oczywiście zaraz potem źle się poczuła.

- Ciasteczka z jalapeno?

- Tak twierdziła.

- Ale ona skończyła dziewięćdziesiąt lat!

- To nie znaczy, że ma rezygnować z rozkoszy podniebienia - wtrącił Luc.

Wszyscy troje się roześmieli.

- Naprawdę się cieszę, że to nic poważnego - rzekła Sophie.

Zmęczyła ją samotność. Brakowało jej towarzystwa, plotek o sąsiadach, ich dolegliwościach i sukcesach. Chciała należeć do jakiejś społeczności.

- Twarda z niej sztuka. Dożyje co najmniej setki... Och, idzie moje zamówienie.

- Proszę. - Estelle przyniosła szefowi policji dania zapakowane na wynos. - Zapłacisz Annette w kasie.



- Dziękuję, Estelle. - Alain odebrał od niej torbę i przeniósł wzrok na Sophie. - W końcu udało mi się skontaktować z firmą, która instalowała alarm w opozycji. Na początku tygodnia przyślą technika, który go dla ciebie przeprogramuje.

- Dziękuję. Towarzystwo ubezpieczeniowe się ucieszy. Nie chcą mi wydać zgody na otwarcie sklepu, dopóki tego nie załatwię.

Zauważyła, że na twarzy Luca odmalowało się zdumienie, zaś Alain kiwnął tylko głową, jak gdyby od dawna się tego spodziewał.

- Kiedy podjęłaś decyzję o otwarciu sklepu? - spytał Luc, wpatrując się w nią z nieprzeniknioną miną. - A może powinienem zapytać o powody?

- Robię to trochę na próbę - wyjaśniła. - Podejrzewam, że Maude pragnęła, żebym właśnie tak postąpiła. - To przekonanie bardziej niż cokolwiek innego zaważyło na jej decyzji. - Umowa wynajmu wygasa dopiero za dziewięć miesięcy. Czekają mnie tony, dosłownie tony rzeczy do spisania. Siostrzenica Hugh Prejeana, Amelia, zgodziła się poprowadzić sklep. Była jedną z najlepszych współpracownic Maude, potrafiła wywęszyć prawdziwe skarby, więc ma kwalifikacje. Zrezygnowała z nauczania i szukała jakiegoś zajęcia.

- Powinnaś była ogłosić tę nowinę podczas zebrania - zauważył Luc. - Wszyscy się martwią, co właściciel zrobi z budynkiem, kiedy Dawne Dobre Czasy się stamtąd wyprowadzą.

- Chciałam poczekać z tym jeszcze kilka dni.

Mam zamiar zamieścić anons w gazecie. Może też wywieszę duży transparent przed operą?

Luc uśmiechnął się szeroko, słysząc w jej głosie tyle entuzjazmu. Sophie zmieszana spuściła głowę i utkwiała wzrok w talerzu. Nie powinnam się tak podniecać, zreflektowała się. To przecież tylko czasowe rozwiązanie. Za rok Dawne Dobre Czasy będą już należały do przeszłości. Ta myśl nią wstrząsnęła, lecz kiedy podniosła wzrok, była już opanowana.

- W ten sposób, zanim pod koniec przyszłego tygodnia pojedę do Houston, wszystkie sprawy będę miała uporządkowane.

Czekała na jakiś komentarz Alaina, lecz on milczał. Jeśli miała nadzieję go zaskoczyć, nie udało się.

- Będzie nam ciebie brakowało - odezwał się Luc uprzejmie.

- Zbyt długo zaniedbywałam swoje obowiązki.

- Rozumiem.

- No, muszę wracać na posterunek - odezwał się Alain. - Zawiadom mnie, kiedy pojawią się ludzie od alarmu. Przyjadę. Do widzenia, Luc - dodał i przyłożył dłoń do ronda kapelusza.

- Do widzenia.

Teraz Alain odwrócił się do Sophie i wówczas zobaczyła, jak bardzo się pomyliła, sądząc, że jej rewelacje go nie poruszyły. Jego oczy były ciemne jak burzowe niebo, brwi ściągnięte, a zmarszczka pomiędzy brwiami głęboka, jak gdyby wyryta dłutem.

- Zobaczymy się później, Sophie - rzekł.

Miała nadzieję, że nikt poza nimi nie zauważył, że przy jego słowach ziemia się zatrzęsła.

Alain wsiadł do radiowozu. Chociaż wciąż trwała kalendarzowa zima, wyczuwał w powietrzu wiosnę. Pewnie dlatego był taki podenerwowany i nie wiedział, co ze sobą począć. Albo przyczyną było to, co usłyszał przed chwilą od Sophie: za niecałe dwa tygodnie ta kobieta wraca do Houston. Nie był przygotowany na rozstanie. Powoli objechał skwer. Rozmowa, jaką zamierzał z nią przeprowadzić, będzie musiała jeszcze poczekać. Najpierw musi objechać swój rewir, a przedtem załatwić jeszcze jedną ważną sprawę.

Zaparkował przed kwiaciarnią. Miał odebrać róże zamówione dla matki i babki na walentynki. Zastanawiał się, czy kupić jeszcze jedną dla Sophie, lecz zrezygnował. Gdyby miał ofiarować jej jakiś prezent, musiałyby to być coś innego niż dla Cecily i Yvonne. Poza tym uznał, że ich związek jeszcze nie osiągnął tego etapu. A w ogóle, czy słowo związek nie jest odrobinę na wyrost?

Kwadrans później zawiadomił dyspozytora, że kieruje się na River Road i zrobi okrażenie wokół Gator Hole i La Petite Maison.

Jak zwykle na drodze biegnącej wzdłuż Bayou Teche nie było dużego ruchu. Spotkał kilku farmerów w pikapach jadących do miasta, dwie ciężarówki z beczkami piwa, samochód kurierski FedEx i jakichś

zabłąkanych turystów. Uznał to za dobry znak, że tak wczesną wiosną zbczyli z dobrze oznakowanego szlaku śladami Ewangeliny.

Może strona internetowa opracowana przez zięcia Estelle i Wiłlisa przyciąga uwagę? Może Indigo z budynkiem opery znajdują się na prostej drodze do sławy? Teraz jednak planowany festiwal muzyki kajuńskiej trochę go niepokoił. Miał nadzieję, że rada miasta zostawi mu wolną rękę i sygnie groszem na dodatkowe posiłki, zanim tysiące fanów muzyki etnicznej urządzi najazd na miasto.

Koło pensjonatu Luca zwolnił, wjechał na parking i zawrócił. Jadąc, zwracał uwagę na dzieci i bezpańskie psy. Psów nie zauważył, lecz dzieciaków było sporo. Od jutra do końca tygodnia mają wolne z powodu jakiejś konferencji nauczycieli w Baton Rouge.

TQ właśnie w ten weekend Casey Jo chciała zabrać Guya i Danę do Disney World, lecz od ponad tygodnia się nie odzywała, więc miał już nadzieję, że zmieniła zamiar. Chociaż z nią nigdy nic nie wiadomo i równie dobrze może się nagle pojawić w mieście.

Podjechał pod budynek opery. Samochód Sophie stał na zwykłym miejscu, lecz drzwi do sklepu były zamknięte. Nagle zobaczył ją idącą przez skwer od strony domu Maude. Miała na sobie tę samą błękitną bluzkę co wcześniej w restauracji, lecz teraz włożyła do tego zwiewną granatową spódnicę do połowy łydki, przy każdym kroku oblepiającą jej nogi i eksponującą biodra. Wysiadł z samochodu, oparł się

o maskę i zza ciemnych lustrzanych okularów patrzył na nią. Sophie była bardzo atrakcyjną kobietą, a on bardzo pragnął, żeby należała do jego.

- Alain? - zdziwiła się. - Nie spodziewałam się tak szybko cię zobaczyć.

- Jest spokojne popołudnie, nic szczególnego się nie dzieje - wyjaśnił i razem z nią wszedł po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych.

- Piękne popołudnie - rzekła. - Po lunchu wybrałam się na spacer i wylądowałam u Maude. Teraz, kiedy już uporałam się ze sklepem, mogę pomyśleć, co zrobić z domem.

- Masz jakiś pomysł? - spytał, przepuszczając ją przodem.

- Niespecjalnie. - Sophie zdjęła z ramion biały sweter i powiesiła na wieszaku obok kontuaru. - Najpierw muszę przejrzeć wszystkie jej rzeczy. Zdecydować, co zatrzymać, co sprzedać, co rozdać. Potem porozmawiam z pośrednikiem handlu nieruchomościami. Może wynajmę go na rok albo dłużej, może od razu wystawię tablicę „Na sprzedaż”? Już kilka osób się do mnie zgłosiło, wyrażając ewentualną chęć kupna.

Alain uświadomił sobie nagle, że i on byłby zainteresowany. Nie myślał o sobie i dzieciach - dom Maude był dla nich za mały - lecz o matce. Dom Maude zawsze się jej podobał, nazywała go domkiem dla lalek. Byłoby jej tam wygodnie. A co z domem na Lafayette Street? Mógłby go od niej odkupić. Spędził w nim szczęśliwe dzieciństwo, jego dzieci

- również były tam szczęśliwe. A Sophie? Czy jej by się podobał?

Boże, wpadłem z kretesem, przeraził się. Godzinę temu wahałem się, czy kupić jej różę na walentynki, a teraz chcę kupić dla niej dom! Co z postanowieniem nieangażowania się w żaden związek, dopóki dzieci nie dorosną i się nie usamodzielnią?

Wyglądało na to, że nie ma żadnych oporów przed złamaniem Danego sobie słowa.

- Masz zamiar stać tak całe popołudnie? - Głos Sophie sprowadził go na ziemię.

- Słucham?

- Wejdz i zamknij za sobą drzwi. Naleci much, poza tym się kurzy. Wiesz, ile czasu zajmuje wytarcie tego wszystkiego? Może chcesz sam się przekonać?

- Przepraszam.

Odwrócił się i starannie, bardzo cicho zamknął drzwi.

Jestem w niej zakochany. Na nic się zda wmawianie sobie, że to tylko pożądanie, echo dawnego zauroczenia. To jest miłość. Kocham ją i zawsze kochałem. To uczucie nie zniknie.

Ale jeśli szybko nie zrobię jakiegoś kroku, Sophie spakuje się i wyjedzie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Sophie?

Zwróciła ku niemu głowę.

- Tak?

- Musimy porozmawiać.

O czym on chce ze mną rozmawiać? Może chce mi zaproponować randkę, zaprosić gdzieś na walentynki? Nie odmówię. Może mnie znowu pocałuje? Również nie odmówię.

Przez ostatnie dwa dni intensywnie myślała o jego pocałunkach. I nie tylko o pocałunkach. Wzmianka o pokazie fajerwerków podczas zebrania wywołała falę wspomnień. Pierwszy raz kochali się właśnie podczas fety z okazji czwartego lipca. Nigdy tego nie zapomni. Bardzo pragnęła kochać się z nim znowu w jego samochodzie, namiętnie, gorąco, przy błyskach sztucznych ogni.

- Chodźmy na zaplecze. Mam tam mnóstwo roboty. Rzecznik poradził mi, żebym wysłała szeszlą i kilka drobiazków do antykwariatu w Nowym Orleanie. Uważa, że tam mogę za nie dostać nawet dwa razy więcej niż tutaj. Siostrzenica Hugh Prejeana jest tego samego zdania.

Amelia namawiała ją, by wysłała również skrzyp-

ce Delacroix, lecz ona stanowczo odmówiła. Postanowiła poczekać, aż będzie absolutnie pewna, że Alain ich nie chce. Powiedziałyby mu o tym, lecz nie sądziła, że przyszedł rozmawiać z nią o sklepie i remanencie. Podeszła do schodków prowadzących do łoży i nie wiedząc, co zrobić z rękami, wyjęła ze stojącego tam plastikowego kosza jedną z absurdalnie drogich pluszowych zabawek, które tak frapowały Danę,

- Boję się, że gdzieś zapodziałam taką maskotkę - zwierzyła mu się. - Szyje je kuzynka twojej matki, no wiesz, ta z Kanady...

- Nigdy nie poznałem kanadyjskiej gałęzi naszej rodziny i nic mi nie wiadomo, żeby ktoś z nich zajmował się produkcją pluszowych maskotek - odparł.

- Ale jedna z tamtejszych kuzynek wyrabia te zabawki, a Maude je sprzedaje, a raczej sprzedawała. Wygląda na to, że cieszyły się tutaj dużym wzięciem.

Sophie spojrzała na niezbyt udaną żabę i nie pierwszy raz zadała sobie pytanie, kto chciałby zapłacić osiemdziesiąt dolarów za taką pokrakę.

- Dana ma około setki wypchanych zwierzątek, ale nigdy nie słyszałem, żeby któreś z nich było dziełem rąk kuzynki z Kanady.

- Jak na zabawki dla dzieci są niezwykle kosztowne. Był tu gdzieś miś wyceniony aż na czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Co takiego?!

Alain przysunął się bliżej. Nie odwróciła się, lecz



na ramionach i szyi czuła ciepło emanujące z jego ciała, budzące w niej dawno zapomniane doznania.

- Twoja matka powiedziała, że musiała zająć jakąś pomyłką. Obiecała zawiadomić osoby, które zamówiły maskotki. W każdym razie postanowiłam przenieść je do sklepu. Na metkach nie ma żadnych nazwisk, nie ma też faktury, więc nie mogę się dowiedzieć, dla kogo były przeznaczone. Może jak ludzie zobaczą je na wystawie, sami zaczną się zgłaszać?

- Dobry pomysł - pochwalił, a wyczuwając jej dziwne zdenerwowanie, spytał: - Coś się stało?

- Słucham? Nie, nie. - Zaczęła kolejno brać do ręki zabawki, szukając misia. - Dziwne - stwierdziła, zadowolona, że znalazła neutralny temat niezwiązany z seksem - nie mogę go znaleźć. No, tego misia..

Alain nakrył jej dłoń swoją.

- Później go poszukamy - rzekł tym swoim miękkim głosem, który przyprawiał ją o dreszcz podniecenia.

Wrzuciła zabę do kosza.

- Dobrze, później. Pewnie wypadł, kiedy przesuwaliśmy rzeczy, i znajdzie się pod jakimś meblem. Następnym razem rozdám chłopakom latarki i poproszę, żeby urządzili polowanie na niedźwiedzia.

- Właśnie. - Pociągnął ją lekko za rękę i rzekł: - Musimy porozmawiać, Sophie. O nas.

Nie miała zamiaru się uchylać. On. Oni. My. Tylko to zaprzętało jej myśli, przynajmniej nocą, w ciemnościach, kiedy powinna spać.

- Nie wiem, co chciałbyś ode mnie usłyszeć - odpowiedziała szczerze.

- To prawda, co mówiłaś przy lunchu? Że wracasz do Houston?

- Chcę się zobaczyć z dziadkami. Poza tym czeka na mnie praca, no i nie ukrywam, że chodzi o koszty. Luc zaproponował mi ogromną zniżkę, ale i tak nie stać mnie na mieszkanie w pensjonacie dłużej. Szczególnie teraz, kiedy zaczęli tam zjeżdżać prawdziwi goście.

- Nie jedź do Houston - poprosił, a jego niski głos nabrał dziwnych tonów. - Zostań tutaj. Daj nam szansę.

- Jaka szansę?

Czuła zawrót głowy. Nagle uświadomiła sobie, że bezwiednie wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze z płuc i z powrotem je wciągnęła.

- Na przykład taką - rzekł, pochylił się i ją pocałował. Nie był to pocałunek taki jak pod oknem kopyły, lecz zaborczy, władczy. Przyciągnął ją do siebie. Był silny i mocny, a ich ciała idealnie do siebie pasowały, tak jak zapamiętała.

Kiedy przestali się całować, przytuliła się do niego. Była zbyt oszołomiona, żeby stanąć o własnych siłach. Och, jak dobrze, myślała. Zawsze lubiła całować się z Alainem, lecz zapomniała, jak jego pocałunki na nią działają, jakie tęsknoty w niej budzą. Pragnęła wtopić się w niego, zespolić w jedno ciało z nim. Tak było zawsze. I tak powinno być. Alain gładził ją po włosach, tulił jej głowę do piersi.

- Nie wyjeżdżaj - prosił drżącym głosem. - Zostań ze mną.

Chciała tego. Bardzo chciała. Lecz nie była już naiwną nastolatką ani zawiedziona młodą kobietą zdradzoną przez męża, którego niemądrze wybrała, by zajął w jej sercu miejsce innego mężczyzny. Była dorosła, miała poważne zobowiązania.

- To nie jest łatwe, Alainie. Już nie.

- Sophie, ja...

Ogarnęła ją panika. Uniosła głowę, położyła mu palec na ustach.

- Nie ponaglaj mnie. Proszę.

Pogładził ją po policzku, spojrzał głęboko w oczy.

- Obiecuj, że wrócisz. Żebyśmy mogli porozmawiać. Wypracować jakiś plan.

- Jaki plan?

- Na życie długie i szczęśliwe.

- Och, Alainie - westchnęła.

Miała kompletny zamęt w głowie. Od tak dawna pragnęła być z nim, ale czy nie jest za późno? Czy ich ścieżki nie rozeszły się za bardzo, by móc znów się przeciąć?

- Wiem, że nie powinienem teraz tego mówić, ale muszę, zanim stracę zimną krew. Zbyt długo chowałiśmy głowy w piasek, Sophie. Ja...

Przerwał mu dźwięk dzwoneczka odzywającego się przy otwieraniu drzwi oraz głosy, jeden dziecięcy, podniecony - to Dana - i drugi, znany z przeszłości, którego Sophie miała nadzieję nigdy więcej nie usłyszeć.

Twarz Alaina stężała, oczy pociemniały od gniewu.

- Proszę, proszę! Historia się powtarza!

Sophie instynktownie odskoczyła od Alaina, a kiedy chciał ją przytrzymać, wyrwała mu rękę. Zła była na siebie za to, że nagle, w irracjonalnym poczuciu winy, oblała się rumieńcem. Jak to możliwe, żeby dwukrotnie w życiu przytrafiła się komuś tak żenująca sytuacja!

- Casey Jo? Co tu robisz?

- Szukam naszego syna. Twoja matka mnie tu skierowała, lecz widzę, że się pomyliła, którego z was zastanę. - Zimne zielone oczy Casey Jo otoczone długimi rzęsami patrzyły to na kamienną twarz byłego męża, to na czerwoną twarz rywalki. - Mam poczucie *deja vu*.

Wciąż była tak samo piękna jak dawniej, chociaż teraz jej rysy nabrały twardości, a wyrzeźbione policzki zdradzały interwencję chirurga plastycznego. Włosy miała ufarbowane w blond pasemka, lecz przy skórze widać było ciemne odrosty. Miała na sobie czarny obcisły sweterek i równie obcisłe spodnie rybackie oraz sandałki na wysokich obcasach, a w uszach ogromne srebrne koła. W Dawnych Dobrych Czasach wyglądała jak przybysz z innego świata.

- Guy jest na kursie na prawo jazdy - wyjaśnił Alain. - Co tu robisz?

Casey Jo dumnie uniosła głowę.

- Doskonale wiesz, co robię. Zgodnie z obietnicą przyjechałam zabrać dzieci do Disney Worldu.

- Wyjeżdżamy jutro z samego rana - zaszczębio-

tała przejęta Dana. - Od razu chciałam się spakować, ale babcia zabroniła. Kazała nam najpierw z tobą porozmawiać.

- Twoja matka nie chciała pozwolić mi wyjść z Daną z domu. To ty ją tak poinstruowałeś?

- Nie.

- Lepiej nie próbuj. Nie występowałam o przyznanie opieki nad dziećmi, ale zawsze mogę zmienić zdanie - zagroziła i posłała znaczące spojrzenie w kierunku Sophie.

Podczas tej wymiany zdań Dana stała uczepiona ręki matki, wpatrzona w jej twarz. Teraz przeniosła wzrok na Alaina.

- Ja chcę jechać do Disney Worldu, tato - odezwała się błagalnym głosem. - I tak dawno nie widziałam mamusi. Będziemy się świetnie bawiły. Obiecała mi to. Zgódź się, proszę.

- Muszę się zastanowić, kochanie - odparł Alain.

Dana jak gdyby go nie słyszała. Zwracając się do Sophie, mówiła dalej:

- Mama mi obiecała, że zjemy śniadanie z księżniczkami w zamku.

Sophie zmusiła się do uśmiechu.

- Cieszę się.

Z całego serca współczuła dziewczynce rozdartej pomiędzy ojcem, którego wielbiła, a matką, która pojawiała się i znikwała, ale którą mimo wszystko też kochała i za którą tęskniła.

- Sądziłem, że uzgodniliśmy tę sprawę, Casey Jo - rzekł Alain.

- Niczego takiego sobie nie przypominam - odcięła się, potrząsając koleczkami. - Dana chce jechać i nie widzę powodu, dlaczego miałabym jej nie zabrać. Jeśli wyruszymy dziś po południu, będziemy miały całe dwa dni na miejscu.

- To siedemset mil.

Sophie widziała, że ze względu na małą Alain stara się zachować spokój. Dana patrzyła to na ojca, to na matkę, a z każdym ich słowem radość w jej oczach stopniowo gasła.

- I co z tego? Mój wóz jest w dobrym stanie.

Zabrzącał radiotelefon przypięty do paska Alaina.

- Proszę się odezwać, szefie.

- Odbiór.

- Frank Gillette ma w ogródku aligatora. Podobno sporego. Dzwonił do biura szeryfa, ale kazali mu czekać godzinę albo nawet dwie. Frank boi się o swoje psy.

Alain przełączył się na nadawanie.

- Zaraz tam jadę. Nie sędzę, żeby zaatakował psy. Jest za zimno. Na pewno po prostu wyleguje się w słońcu i po pewnym czasie spokojnie poczołga się z powrotem na mokradła.

- To samo tłumaczyłem Frankowi, ale on ma hysia na punkcie tych swoich kundli.

- Dobrze, jadę. Zadzwoń do szeryfa, może uda ci się trochę pogonić jego ludzi. Rozłączam się.

- Aligator! - Dana momentalnie zapomniała o wyprawie z matką. - Mogę jechać z tobą, tato?

- Nie, kochanie. Jestem na służbie. Nie mogę cię zabrać ze sobą - tłumaczył, a Dana zrobiła smętną minę. - Odwieź ją do domu, Casey Jo. Jak wrócę, porozmawiamy o waszej wycieczce.

Przez krótką chwilę Sophie miała wrażenie, że była żona Alaina będzie ciągnęła spór, lecz się pomyliła.

- Chodź, kochanie - Casey Jo zwróciła się do Dany - pójdziemy po babcię Marie i zaprosimy ją na lody. Co ty na to?

Dana zaczęła podskakiwać z radości.

- Uwielbiam lody. Dla mnie czekoladowe z bitą śmietaną i posypką.

- Posłuchaj, Casey Jo. - Głos Alaina był twardy i zimny jak stal. - Zaraz potem odwieź Danę prosto do mojej matki.

- Odwiozę ją, ale po wizycie u mojej matki - odparowała.

- Żadnych głupstw, słyszysz? - ostrzegł.

Casey Jo zatrzepotała nieprawdopodobnie długimi rzęsami i obdarzyła go cierpkim uśmiechem.

- O co ty mnie podejrzewasz, kotku? - zapytała, wzięła Danę za rękę i opuściła sklep.

Sophie i Alain w milczeniu odprowadzili je wzrokiem.

- Miałem nadzieję, że nie będzie obstawać przy tej wycieczce na Florydę. Ale to cała ona, zawsze pojawia się w nieodpowiednim momencie, żeby skomplikować mi życie. Powinienem być mądrzejszy. Przepraszam cię za nią.

- Nie przepraszaj. Nie masz wpływu na to, jak ona się zachowuje. Ale może to i dobrze, że się stało tak, jak się stało. Zbyt pośpiesznie wkroczyliśmy na ścieżkę, która w przeszłości kilkakrotnie zaprowadziła nas w ślepy zaułek.

- Sophie... - zaczął, lecz przerwał mu dźwięk radiotelefonu.

Alain zaklął pod nosem.

- Boudreaux.

- Szefie, jedzie już pan do Franka? - Billy Paul spytał bez żądnych wstępów.

- Właśnie wyjeżdżam.

- To dobrze. Dzwonił przed chwilą i mówił, że ten aligator właśnie zaatakował psy. Kazałem mu zamknąć je w szopie, ale on się boi, że i jego zaatakuje.

- Przygotuj mi broń. Rozłączam się. - Alain wyłączył radio i zwrócił się do Sophie. - Muszę pędzić.

Unióś rękę, lecz zanim zdążył ją objąć, Sophie cofnęła się. Nie była przygotowana na kolejny zwalający ją z nóg pocałunek. Zbyt wiele spraw musiała sobie przemyśleć, nie mogła pozwolić, by namiętność i tęsknota zmąciły jej umysł. Sytuacja Alaina jest skomplikowana. Czy jestem gotowa wziąć na siebie obowiązki macochy jego dzieci? Czy jestem gotowa zerwać z życiem w Houston i przeprowadzić się do Indigo? Czy jestem gotowa tolerować niespodziewane wizyty Casey Jo?

- Jedź. Przepędź aligatora, potem zajmij się Daną i Guyem.



- Jeszcze wrócę - obiecał.

Nie dotknął jej, lecz na policzku czuła muśnięci jego dłoni, jak gdyby to uczynił.

Nie wątpiła, że wróci.

Ale czy ona będzie na niego czekać?

scandalous

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

W swoim przytulnym gniazdku w apartamencie na poddaszu pensjonatu Sophie spędziła niespokojną noc. Wstała wcześniej, zrezygnowała ze zjedzenia kusząco pachnącego śniadania - wypiała tylko kawę - i jeszcze zanim słońce zdażyło osuszyć poranne mgły nad mokradłami, pojechała do Indigo.

Nie wiedziała, dlaczego się jej aż tak spieszy, żeby znowu znaleźć się w Dawnych Dobrych Czasach. Lepiej by było, gdyby spędziła dzień w wygodnym pokoju, może posiedziała na balkonie, i spokojnie zastanowiła się nad tym, co powinna zrobić.

Najrozsądniej by było spakować się i wyjechać.

Rzecz w tym, że w przeszłości dwukrotnie tak właśnie uczyniła, dwukrotnie zrezygnowała z Alaina, i tym razem takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Miała dosyć ciągnięcia przez życie niezłatwionych spraw.

Z niezrozumiałych powodów, zamiast pojechać do sklepu, pojechała do domku matki chrzestnej. Na wąskiej wysadzonej drzewami uliczce panował spokój. Wsiadła z samochodu i z kluczami w ręku podeszła do drzwi. Wchodząc do tego domu, nie czuła już wszechogarniającego żalu, przeciwnie,

spływał na nią spokój. Może dlatego tu dziś przyjechałam, myślała. Wiedziałam, że atmosfera tego domu wprowi mnie w odpowiedni nastrój, pomoże mi przemyśleć decyzje co do przyszłości i co do Alaina.

Zawsze uważała, że to ładny dom. Nie chciałyby się go pozbywać, lecz dla rodziny był za mały, a przecież, wiążąc się z Alainem, od razu miałyby dwoje dzieci. No i oczywiście zawsze na horyzoncie czaiłaby się jego była żona. Czy jest gotowa przyjąć na siebie taką odpowiedzialność?

Potrząsnęła głową, jak gdyby chciała uwolnić się od pytań, na które nie znajdowała odpowiedzi, i przekręciła klucz w zamku. Taka huśtawka emocji zaledwie po kilku pocałunkach? Co będzie, kiedy będziemy się kochali? Czy w ogóle będę zdolna do racjonalnego myślenia? Wątpiła. Może to właśnie dlatego, mimo kosztów, zdecydowała się wciąż mieszkać w pensjonacie, zamiast wprowadzić się tutaj? Bo nie odpowiadałaby za siebie, gdyby znalazła się sama z Alainem w pustym domu. Jak to będzie kochać się z nim po tylu latach? Sophie nieraz zadawała sobie to pytanie. I znała odpowiedź. Uśmiechnęła się do siebie. Będzie cudownie. Na pewno.

- Dzień dobry.

Obejrzała się i zobaczyła Danę. Dziewczynka ubrana była w dżinsy, adidas, bluzę z długimi rękawami i, mimo słońca, w płaszcz przeciwdeszczowy z Kubusiem Puchatkiem oraz kapelusz. Za sobą ciągnęła walizkę na kółeczkach, różową, z wizerunkami trzech disneyowskich księżniczek. Wyglądała przeuroczo.

- Dzień dobry, Dano. Co ty tu robisz tak wczesnie? - spytała zdziwiona.

- Idę do babci Marie - wyjaśniła dziewczynka.  
- Tam jest moja mamusia. Ona nie mieszka z nami.

- Wiem. - Sophie zawróciła, usiadła na najwyższym stopniu schodków werandy i dłonią poklepała miejsce obok siebie. Nie trzeba było być psychologiem, żeby się domyślić, dlaczego córka Alaina ubrała się w ten sposób i zabrała ze sobą walizkę.  
- Usiądź przy mnie - zaprosiła.

Dana zmarszczyła czoło i obejrzała się za siebie.

- Nie wolno mi się zatrzymywać i rozmawiać z obcymi po drodze od nas do babci Marie. Mam iść prosto tam. - Urwała i ręką wskazała stary bliźniak, w którym mieszkała Marie Lesatz.

- Nie będę cię długo zatrzymywać - perswadowała Sophie. Czy mała uciekła z domu, czy Cecily pozwoliła jej iść do matki? Postanowiła wyjaśnić tę sprawę. Ponownie poklepała miejsce koło siebie.  
- Na pewno możesz usiąść na chwilkę, prawda?

- Ale tylko na chwilkę. - Dana zostawiła walizkę przy schodkach i usiadła obok Sophie. - Mamusia na mnie czeka - dodała.

- Rozumiem. To ona wie, że już do niej idziesz?  
- Sophie zaczęła sondować sytuację.

- No... nie. Babcia Marie pracuje w nocy. Nie chciałam dzwonić i jej budzić.

- A babcia Cecily wie, że wyszłaś?

- Jest w szpitalu. - Dana zaczęła nerwowo skubać nitkę wystającą z przetartych dżinsów. - Guy jeszcze

śpi, bo nie idziemy do szkoły. A *Mamere* Yvonne drzemie na kanapie. Jak weźmie rano lekarstwo, to chce jej się spać. Wszyscy śpią, oprócz mnie. - Dana z czarującym uśmiechem spojrzała na Sophie. - I mojego taty - dodała. - Jest w pracy i opiekuje się całym miastem.

- Wiem. - Czyli nie pomyliłam się, Dana uciekła, pomyślała Sophie. Zastanawiała się, jaki wymyślić pretekst, by wejść do domu i zadzwonić do Alaina. Wiedziała jednak, że gdyby to zrobiła, dziewczynka straciłaby do niej zaufanie, a tego by nie chciała. Z drugiej strony, jeśli nie przedsięwzięmie żadnych kroków i Casey Jo wyjedzie z córką z miasta, to Alain straci do niej zaufanie. Postanowiła grać na zwłokę; - Co masz w walizce? - spytała.

Uśmiech zniknął z twarzy Dany. Dziewczynka odsunęła się trochę.

- Takie różne rzeczy - bąknęła.

- Posłuchaj, Dano. - Sophie uznała, że najwyższa pora przejść do działania. - Czy tatuś wie, że wybrałaś się w odwiedziny do mamy?

- Wolno mi odwiedzać babcię Marie - odrzekła Dana, starannie unikając wzroku swojej rozmówczyni.

- Sądzę, że powinniśmy do niego zadzwonić i się upewnić - oświadczyła Sophie.

- Nie! - wykrzyknęła dziewczynka, zerwała się na równe nogi i tak mocno chwyciła walizkę, że ją przewróciła.

Sophie zeszła ze schodków, by jej pomóc.

- Babcia Yvonne będzie bardzo zaniepokojona, kiedy się obudzi i zobaczy, że wyszłaś - tłumaczyła.

- Wolno mi odwiedzać babcię Marie - upierało się dziecko. - Wolno.

Kątem oka Sophie dostrzegła rower zakręcający w ulicę Lafayette. Rozpoznała Guya i odetchnęła z ulgą. Zaś z przeciwnego kierunku nadjechał dziesięcioletni ford taurus, z którego wyskoczyła Casey Jo, ubrana w obcisłe spodenki rowerowe i sprany podkoszulek. Bez makijażu wciąż wyglądała bardzo ładnie.

- Dano! Co ty tu robisz? - zawołała.

- Wymknęła się, nic nam nie mówiąc - Guy odpowiedział za siostrę, zatrzymując rower. - *Mamere* Yvonne obudziła się, zobaczyła, że smarkuli nie ma, i kazała mi jej szukać.

- Do nas też dzwoniła - rzekła Casey Jo. Nie spuszczała zielonych oczu z twarzy syna, jak gdyby była nim zauroczona. - Nie wstąpiłeś wczoraj, jak obiecałeś.

Guy rzucił rower na trawnik, podszedł do walizki liostroy i postawił ją na kółeczkach.

- Niczego nie obiecywałem, powiedziałem, że może wpadnę. Byłem zajęty - wyjaśnił. - Przepraszam.

Casey Jo wyciągnęła rękę, by pogłodzić go po policzku.

- Jak ty urosłeś, synku. - Zamilkła i popatrzyła mu w oczy. - Na zdjęciach, które babcia Marie mi przysłała, nie wyglądasz na takiego wysokiego.

- Gdybyś się pojawiała tutaj częściej niż raz na rok, nie byłabyś taka zdziwiona - odparował.

- Licz się ze słowami - wybuchnęła Casey Jo, lecz natychmiast się zreflektowała. - Przepraszam. Nie powinnam tego mówić. Przepraszam cię - powtórzyła i rozłożyła ręce, chcąc go objąć.

Guy zrobił unik i oparł dłonie na ramionach siostry.

- Dobrze, dobrze. Zawsze tak mówisz.

- Jestem bardzo zajęta. Muszę zarabiać na życie. Sam zobaczysz, jak przyjedziesz mnie odwiedzić.

- Udział w castingu do „Idola” trudno nazwać zarabianiem na życie - mruknął chłopak. - Dana, wracamy do domu.

- Nie - zaprotestowała dziewczynka. - Tęsknię do mamusi. Chcę z nią jechać do Orlando.

- Chodź do mnie, skarbie.

- Stój! - Guy zacisnął dłonie na ramionach Dany, nie pozwalając jej się ruszyć.

Mała wybuchnęła płaczem.

- To boli! - poskarżyła się i usiłowała oswobodzić się z uścisku.

- Chodź do mnie, kochanie - prosiła Casey Jo.

- Nigdzie jej nie zabierzesz - oświadczył Guy, lecz puścił siostrę. - Wezwałem tatę. Już tu jedzie.

Sophie nie wiedziała, jak zareagować. Czuła się jak przypadkowy świadek, intruz w oku cyklonu rozszalałych rodzinnych emocji. Niemniej nie ruszyła się z miejsca. Z całego serca współczuła dzieciom i jedyne, co mogła dla nich zrobić, to razem z nimi czekać na przybycie ich ojca.

- Dlaczego jesteś taki niedobry, Guy? - spytała Casey Jo, przyklęknięta obok Dany i przytuliła ją. - Mogliśmy to wczoraj omówić na spokojnie. A teraz kłócimy się przy obcych. - Obrzuciła Sophie pogardliwym spojrzeniem.

- Zważywszy, że znajdujesz się na mojej posesji, to ja mogłabym poprosić cię o odejście - wypaliła Sophie.

Już raz ta kobieta zmusiła ją do usunięcia się ze sceny. Nie zamierzała drugi raz uciekać.

- Matka mi mówiła, że stara Maude Picard uderzyła w kalendarz i zostawiła wszystko tobie. - Casey Jo spojrzała na stojący w głębi domek, potem na rywalkę. - Niektórzy jeszcze przed urodzeniem wygrali na loterii.

Sophie milczała. Postanowiła nie dać się sprowokować. Tymczasem za zdezelowanym fordem Casey Jo zatrzymał się radiowóz. Alain w kilku susach znalazł się przy nich.

- Co tu się dzieje? - zapytał, obejmując całą czwórkę spojrzeniem.

- Dana wymknęła się z domu - zaczął Guy, zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta. - *Mamere* Yvonne zasnęła, a kiedy się obudziła, jej już nie było. Domyśliśmy się, że poszła do babci Marie.

- Mama pomyślała to samo. Jak tylko twoja babka nas zawiadomiła, wybiegłam szukać Dany - wtrąciła Casey Jo. Podniosła się z kolan, lecz cały czas mocno trzymała dziewczynkę przy sobie. - Zabieram ją na Florydę. Ona chce jechać ze mną.



- Sądziłem, że wczoraj wszystko sobie wyjaśniliśmy - odparł Alain spokojnym, lecz ostrym tonem.  
- Do Orlando jest siedemset mil. To za daleko, żeby obrócić w dwa dni.

- Będziemy miały cztery dni, jeśli przestaniesz mleć językiem i pozwolisz nam zaraz ruszyć - odcięła się była żona.

- Jaką możemy mieć pewność, że wrócisz? - odezwał się Guy. - Podejrzewamy, że chcesz zatrzymać Danę u siebie.

- Nigdy bym się do tego nie posunęła - odparła Casey Jo z goryczą. - Twój ojciec, jak go znam, wsadziłby mnie za to do więzienia.

- Tata nigdy by niczego takiego nie zrobił - zapisała Dana i objęła matkę w pasie. - Prawda, tato?

Od chwili pojawienia się Alaina nie odzywała się, lecz podniecenie w jej oczach stopniowo gasło, natomiast zaczął się w nich czaić lęk.

- Wrócimy, prawda? Musimy, bo w przyszłym tygodniu jestem dyżurną. Mam ścierać tablice. I przypada moja kolej zabrać chomika na weekend.

- Oczywiście, kochanie - uspokajała ją matka.  
- Przyjedziemy w niedzielę, mamusia ci to obiecuje.

Sophie po raz pierwszy zrobiło się żal Casey Jo. Może nie jest najlepszą matką na świecie, ale żadna kobieta nie powinna słyszeć od dzieci, że nie chcą z nią mieszkać.

Do Alaina też musiało dotrzeć, że te niewinne słowa zraniły Casey Jo, bo już łagodniejszym tonem powiedział:

- Posłuchaj, Dano, nie będziecie miały zbyt wiele czasu na zwiedzanie. Floryda leży bardzo daleko stąd. Wiesz, że źle znosisz długie podróże samochodem, że chorujesz, prawda? Jeszcze nie jest za późno powiedzieć mamie, że wolałabyś odłożyć tę wycieczkę na kiedy indziej.

Dana potrząsnęła głową, oczy jej zwilgotniały.

- Nie będę chorować. Chcę jechać z mamą. Zgódź się. Proszę. Będziemy się dobrze bawiły. Mama mi obiecała - mówiła z żarem.

- Ona zawsze obiecuje - warknął Guy. - Doskonale o tym wiesz.

- Będziemy się dobrze bawiły - upierała się Dana. - Tato...

Alain kiwał się na piętach, w milczeniu obejmując córkę ramionami. Sophie serce się krajało, kiedy na nich patrzyła. Współczuła mu, że musi podjąć bardzo trudną decyzję.

Tymczasem świat wokół nich budził się do życia, psy czekały, drzwi domów otwierały się i zamykały, silniki samochodów zaczynały pracować, ludzie wyjeżdżali do pracy lub na zakupy.

Alain nareszcie podniósł głowę i puścił Danę. Wstał i skupił całą uwagę na byłej żonie.

- Przywieź ją z powrotem o siódmej wieczorem w niedzielę, bo jeśli nie, zacznę cię ścigać. I natychmiast aresztuję. Zrozumiano?

Oczy Casey Jo zabłyśły niczym szklane zielone paciorki, lecz nie podjęła dyskusji.

- Wróć punktualnie - rzekła, potem odwróciła

się do Guya, obdarzyła go olśniewającym uśmiechem i wyciągnęła do niego rękę. - Jedź z nami - zachęcała. - Daj nam szansę lepiej się poznać.

Guy cofnął się z niesmakiem.

- Nie! Nie pojedę. I nie mogę uwierzyć, że ojciec puszcza z tobą Danę. Jak zwykle coś spartaczysz i wróci spłakana. Nienawidzę was! - dokończył, odwrócił się na pięcie i wskoczył na rower.

- Dziękuję za to kazanie, synku - rzuciła za nim Casey Jo i odprowadziła rower wzrokiem. Potem zwróciła się do Alaina. - Na pewno udałoby mi się go namówić, gdybyś nie robił tyle zamieszania wokół całej sprawy,

Alain podniósł różową walizeczkę Dany i podszedł do samochodu Casey Jo.

- Mylisz się. On nie ma siedmiu lat, ale piętnaście, i nie da się omamić. A jeśli zawiedziesz Danę, to też ci się nie uda naprawić szkód w waszych stosunkach tak łatwo jak dawniej. Pamiętaj o tym.

Wrzucił walizeczkę na tylne siedzenie samochodu, potem przypiął Danę pasem, pocałował i zatrzasnął drzwi. Oparłszy dłonie na dachu auta, jeszcze raz spojrzął na Casey Jo. Zimny jak stal tembr jego głosu zmroził Sophie.

- Nie zmarnuj tej szansy, bo kolejnej nie dostaniesz.

Patrzeć, jak Casey Jo uwozi Danę, było dla Alaina najtrudniejszym życiowym doświadczeniem. Boże, myślał, a jeśli nie przywiezie jej w niedzielę?

Udawał twardziela, a przecież codziennie odbierali komunikaty o dzieciach porwanych przez członków rodziny. Niektórych z nich nie udawało się odnaleźć. Guy nigdy by mu nie wybaczył, gdyby taki los spotkał siostrę. A on nigdy by sobie nie wybaczył, że przyłożył do tego rękę.

- Chodź. Zaparzę kawę.

Odwrocił się gwałtownie. Sophie wciąż stała przy schodkach na werandę. Nie miałyby do niej pretensji, gdyby po scenie, jakiej była świadkiem, schowała się w domu i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Ale ona się od niego nie odwróciła. Stała, uśmiechając się i czekając na odpowiedź. W białej bluzce i żółtej spódnicy w kwiaty wyglądała jak powiew wiosny. Włosy złocistą aureolą okalały jej twarz i pieściły zaróżowione policzki.

- Przydałoby mi się coś mocniejszego niż kawa - mruknął.

Nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Gonić Guya? Pojechać za Casey Jo i powiedzieć, że zmienił zdanie i nie zgadza się na wycieczkę z Daną? Wejść za Sophie do domku Maude? Lecz jeszcze zanim mózg wydał im komendę, jego nogi same ruszyły w kierunku schodków na werandę.

- Myślałam, że glinom nie wolno pić na służbie.

- Bo nie wolno.

Wciąż się wahał, czy jednak nie jechać za Guyem.

- Chodź, Alainie. Guy potrzebuje trochę czasu, żeby ochłonać, a Casey Jo jeszcze przez godzinę nie wyjedzie z miasta. Podejrzewam, że właśnie tyle

czasu potrzebuje na makijaż. Jeśli chcesz ją zatrzymać, zdążysz.

Uśmiechnął się do siebie. Potrafiła czytać w jego myślach. I pewnie miała rację co do Casey Jo. Co rano przynajmniej godzinę mizdrzyła się przed lustrem, zanim uznała, że może się pokazać ludziom.

- Skąd wiesz, o czym myślałem? - spytał.

Prowadząc gościa do kuchni, Sophie obejrzała się przez ramię.

- Bo na twoim miejscu przeżywałabym to samo.

- Uważasz, że nie powinienem pozwolić Danie jechać z matką?

Nie odpowiedziała od razu. Wyjęła z szafki niewielką puszkę kawy, otworzyła, powąchała zawartość.

- Jeszcze się nadaje -- stwierdziła.

Nalała wody do ekspresu i napełniła sitko kawą. Kiedy ciemny płyn zaczął skapywać do dzbanka, z dłońmi opartymi o kuchenny blat odwróciła się do Alaina:

- Jesteś przekonany, że Danie coś grozi?

- Pod względem fizycznym oczywiście nie, ale niewykluczone, że dozna jakiegoś urazu psychicznego - odparł. - Casey Jo jest samolubna i niedojrzała, ale nie jest głupia. Zaopiekuje się małą. Inaczej nigdy bym się nie zgodził na tę wyprawę.

Sophie wyjęła kubek z szafki i nalała do niego kawy.

- Boisz się, że jej nie odwiezie?

- Ilekroć ta kobieta pojawia się w mieście, zawsze mam takie obawy. Syndrom samotnego rodzica.

- To dlaczego się zgodziłeś?

Alain objął kubek dłońmi. Zanim odpowiedział, wypił duży łyk kawy.

- Podejrzewam, że dlatego, bo mam dość roli złego ojca, który wszystkiego zabrania. Ona nie jest jakimś potworem. Jest bezmyślna i niedojrzała. Może w głębi duszy mam nadzieję, że Dana zyska pozytywne wspomnienia, których się będzie mogła uchwyścić, kiedy przyjdzie następne rozczarowanie? Bo co do tego, że przyjdzie, nie mam cienia wątpliwości. Casey Jo nigdy nie dorośnie.

- Naprawdę w to wierzysz?

Alain milczał.

- W ciągu prawie pięciu lat, jakie minęły od naszego rozvodu, nie dostrzegłem zmiany na lepsze. Nie, nie, straciłem już na to nadzieję.

- Teraz musisz przekonać Guya, że podjąłeś słuszną decyzję.

Alain odstawił na stół kubek z niedopitą kawą.

- To nie będzie łatwe. On nie ma żadnych szczęśliwych wspomnień, do których mógłby się odwołać.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sophie spojrzała przez okno Dawnych Dobrych Czasów na strugi deszczu. W czwartek po południu gęsta warstwa chmur pokryła niebo, a w nocy obudziło ją bębnienie o dach pensjonatu. Padało już całą dobę, i to nie tylko w Indigo. Niż objął całą Zatokę i sięgał aż na Florydę. Zapowiadała się najbardziej mokra zima od stu lat.

Danie przyda się płaszcz przeciwdeszczowy z Kubusiem Puchatkiem, pomyślała. Dziś rano sprawdziła prognozę w Internecie, w Orlando też przewidywano ulewy.

- Czy mam zrobić coś jeszcze, Miss Sophie, zanim pójdę? - zapytał Guy.

Wszyscy mężczyźni w Indigo, młodzi i starzy, zwracali się do niej w ten uroczy, staroświecki sposób. Przyzwyczała się do tego i nawet zaczynała to lubić.

- Na dzisiaj chyba już wystarczy - odpowiedziała. - Dziękuję za pomoc.

Zastanawiała się, czy nie zaproponować, że go odwiezie do domu, ale uznała, że skoro chłopak gra w piłkę bez względu na pogodę, może wrócić do domu piechotą, chociaż pewnie przemoknie do nitki.

Wetknęła nieszczęsną krzywo zszytą żabę między inne maskotki, które ustawiła na półce w ozdobnym kredensie, i cofnęła się o krok, żeby podziwiać efekt.

- Co o tym sądzisz? - zwróciła się do Guya.  
- W mieście jest chyba jakaś grupa osób, które je kolekcjonują, słyszałeś coś o tym? Niestety, nie udało mi się znaleźć żadnej informacji, kto je zamówił, więc umieściłam je tutaj. Dana mi mówiła, że moja chrzestna matka czasami je tutaj trzymała. Może zgłoszą się po nie właściciele?

- Wyglądają bardzo ładnie. Ale obawiam się, że nie znalazłem tego misia.

- Nie przejmuj się. Prędzej czy później się na niego natkniemy - odparła, chociaż miała coraz większe wątpliwości.

Zajrzeli wszędzie, w każdy kąt, pod każde krzesło na widowni, do każdej szuflady. Czyżby ktoś go ukradł? Nie zauważyła śladów włamania, a od śmierci Maude nie było w sklepie żadnych klientów. Z drugiej strony cena była bardzo wygórowana.

Powinnam zadzwonić do matki Alaina i poinformować o tej stracie, pomyślała. Tylko ona ma kontakt z osobą, która szyje te zabawki.

- Jeśli nie jestem już potrzebny, to znikam.

- Dana się odzywała? - spytała Sophie, nie mogąc dłużej walczyć z pokusą wypywania chłopaka o wieści z domu.

Wczoraj, kiedy spotkali się z Alainem przypadkiem w sklepie, powiedział jej, że Dana z matką spędziły noc w okolicach Tallahassee. Spodziewał



się, że do Orlando dotrą dziś wczesnym południem. A teraz dochodziła czwarta.

- Dzisiaj nie.

- To pewnie z nadmiaru wrażeń - rzekła Sophie, zdając sobie sprawę, jak mało przekonująco brzmi ten wytarty frazes.

Miała jednak nadzieję, że w tej chwili dziewczynka je podwieczorek, siedząc w ogromnej obracającej się filiżance, i aż piszczy z uciechy.

- Umówiliśmy się, że zadzwoni. Dałem jej nawet swój stary telefon, żeby była niezależna.

- Może go zgubiła? Może zapomniała naładować? Przecież ona ma dopiero siedem lat.

- Może. A może coś im się stało? - Guy zamilkł i włożył ręce do kieszeni. - Tata uważa, że Danie nic z nią nie będzie, ale ja nie jestem taki pewny.

Omijanie imienia matki nie uszło uwagi Sophie. Wahala się chwilę, nie będąc pewna, czy może zadawać następne pytania. Na ile Guy darzy ją zaufaniem? Czy jej odnowiona miłość do Alaina uprawnia ją do udzielania rad jego synowi? Postanowiła posuwać się małymi krokami, gotowa w każdej chwili się wycofać.

- Czy coś podobnego kiedykolwiek tobie się przytrafiło, kiedy byłeś z matką?

Guy obrzucił ją baczny spojrzeniem, potem skinął potakująco głową.

- Kiedy byłem mały, zabrała mnie do centrum handlowego. Zmęczyłem się chodzeniem, a wtedy

ona posadziła mnie na ławce i poszła szukać sobie butów. Bardzo chciało mi się siusiu, więc zacząłem płakać. W końcu podszedł do mnie ochroniarz i zapytał, co się stało. Bałem się mu powiedzieć. Byłem jeszcze głupi i bałem się napytać siebie, a nie jej, kłopotów. Facet chciał mnie zabrać do ich dyżurki i wezwać mamę przez głośniki, ale ja się zląkłem, że pójdę do więzienia. Darłem się wniebogłose. Było mnie słychać w całym centrum. Wtedy wróciła.

- Opowiedziałeś o tym ojcu?

- Nie. Ona płakała i przepraszała, i tłumaczyła, że tata będzie się gniewać na nas oboje. Bardzo długo wierzyłem, że to wszystko była moja wina. Nie chcę, żeby Danę spotkało coś takiego jak mnie.

- Oczywiście. Szkoda jednak, że nie opowiedziałeś o tym ojcu. Łatwiej by mu było zrozumieć motyw twojego postępowania.

- Chy... chyba tak - przyznał z oporami.

- Mógłby zdecydować inaczej, gdyby wiedział, że mama zostawiła cię kiedyś bez opieki.

Jak dotąd dobrze nam idzie, pomyślała Sophie. Jeszcze nie wybiegł w deszcz, trzaskając drzwiami.

- Też o tym pomyślałem - rzekł i zaciągnął zamk błyskawiczny kurtki. - Ale teraz jest już za późno. Przepraszam, ale muszę iść. Rano przyjdę z Antoine'em zawiesić transparent.

Amelia Prejean zgodziła się zacząć pracę już od najbliższego poniedziałku, Sophie ucieszyła się, licząc na dopływ gotówki. Zebrało się sporo rachunków do zapłacenia.

Guy szarpnął drzwi. Do wnętrza wpadł powiew świeżego powietrza pachnącego deszczem.

- Guy! - zwołała Sophie za chłopakiem. Obejrzał się. - Spróbuj nie zamartwiać się o Danę. Gdyby ojciec nie miał zaufania do Casey Jo, nie zgodziłby się na wyjazd.

Guy w milczeniu kiwnął głową, naciągnął kaptur i dał nura w deszcz.

Wiał zimny mokry wiatr, kiedy Alain zatrzymał radiowóz przed domkiem Maude. W oknach paliły się światła. Nacisnął dzwonek. Przez matową szybę widział, jak Sophie podchodzi do drzwi.

- Alain! - powitała go i uśmiechnęła się do niego ciepło. - Wchodź, nie moknij na deszczu.

- Dzięki.

Wszedł wprost do zagraconego saloniku. Uniósł głowę, wciągnął w nozdrza zapach czekoladowych ciasteczek.

- Niestety, to nie ciasteczka - uprzedziła. - To tylko zapachowa świeca. Przyniosłam jedną ze sklepu.

- Szkoda. Zjadłbym ciepłe czekoladowe ciasteczko.

- Ciężki dzień? - spytała z troską w oczach.

Czy mu się tylko zdaje, czy Sophie trzyma się od niego w bezpiecznej odległości? Nie winiłby jej, gdyby po tym, jak Casey Jo ponownie wtargnęła w ich życie, straciła ochotę na odnowienie ich związku.

- Bywały lepsze. Mieliśmy trzy stłuczki i dwa

zgłoszenia aktów wandalizmu w okolicach River Road. Banda dzieciaków maluje emblematy młodzieżowych gangów na budynkach gospodarczych.

- Gang? W Indigo? - zdziwiła się Sophie.

- Tak. Dzieciaki nie mają bladego pojęcia, co te znaki i barwy znaczą, ale je powielają. Wiem, kto to robi. Jutro pogadam z rodzicami, zobaczę, czy uda się dojść do porozumienia z poszkodowanymi i uniknąć sprawy w sądzie. To nie są złe dzieciaki, nie ma co przyklejać im etykietki młodocianych przestępców.

- Czyli cały dzień mokłeś w deszczu?

- No tak.

- Nie mam ciasteczek, ale mam zupę z ostryg z Blue Moon i bochenek pysznego chleba korzennego upieczonego przez Lorette Castille, który starczy za osobne danie. Zapraszam.

- Z chęcią.

Nawet więcej niż z chęcią, dodał w myślach. To właśnie była jego wizja rajy na ziemi. Sophie krzątająca się po kuchni, podająca mu wyjęte z szafki miski i talerze, żeby je postawił na stole, woń kawy parzącej się w ekspresie, a za oknami mrok i zawierucha.

- W ostatnich dniach spędzasz tutaj coraz więcej czasu - zauważył.

Sophie rozejrzała się po staroświeckiej kuchni i przytaknęła skinieniem głowy.

- Tak. Najwyższa pora zacząć segregować rzeczy Maude. Z początku sama myśl o tym działała na mnie bardzo przygnębiająco, więc wciąż odkładałam to na później. Ostatnio jednak... - Urwała, wzruszyła

ramionami i odwróciła wzrok. - Ostatnio jednak - powtórzyła - zaczęłam się tu czuć jak w domu. Jak by to powiedzieć... To znowu jest dom Maude, a nie puste cztery ściany.

- Kiedy wszedłem, od razu to zauważyłem. Może sprawia to ta świeca?

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

- I zupa? Siadaj. Jedz, póki ciepłe. - Alain zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. - Popatrz, popatrz - zaśmiała się. - Jesteś bez munduru.

Spojrzał na swoje dżinsy i ciemnoszarą koszulę.

- Czasami chodzę po cywilnemu.

- A ja już się zastanawiałam, czy ci się to w ogóle zdarza. No, siadaj. - Kiedy zajął miejsce z stołem, zapytała: - Miałeś wiadomości od Dany?

- Nie - odparł krótko.

- Pewnie dobrze się bawią i zapomnieli o bożym świecie. - Chociaż cały czas się uśmiechała, w jej głosie brzmiała nuta niepokoju, gdy dodała: - Guy się o nią martwi.

- Przed przyjściem rozmawiałem z nim o tym.

- Alain wziął do ręki ciężką srebrną łyżkę do zupy.

- Wiem, że ma do matki wiele zadawnionego żalu, ale nie spodziewałem się, że zareaguje aż tak emocjonalnie na tę wyprawę do Orlando. Nie pierwszy raz zgodziłem się, aby Dana spędziła dzień lub dwa z matką. Ale to ich najdalsza wyprawa. Nadzieja w Bogu, że nie popełniłem błędu.

- A powiedział ci, dlaczego tak mu zależało na tym, żeby Dana nie jechała?

- Nie - przyznał Alain. - Mam przeczucie, że coś przede mną ukrywa. - Zastygł z łyżką w powietrzu.  
- A tobie mówił, dlaczego jest taki na nią zły?  
- spytał.

Sophie milczała chwilę z wzrokiem utkwionym w talerzu.

- Owszem - zaczęła w końcu - ale nie jestem pewna, czy mogę ci to powtórzyć - dokończyła, podnosząc głowę.

- Musisz, Sophie. Co się stało? Co ona mu takiego zrobiła? Muszę to wiedzieć!

- Fizycznie go nie skrzywdziła - odparła Sophie szybko. - Ale kiedy był bardzo mały, kazała mu na siebie czekać na ławce w centrum handlowym tak długo, że się przestraszył. Teraz on się boi, że coś podobnego może spotkać Danę.

Alain miał ochotę walnąć łyżką w stół albo chlusić zupą o ścianę, by wyładować złość i pozbyć się wyrzutów sumienia, jakie go osaczyły.

- Nic o tym nie wiedziałem. Guy się o tym nawet nie zająknął. - Cofnął się myślą do lat, kiedy z Casey Jo i małym synkiem mieszkali w Nowym Orleanie.  
- Na dwie zmiany pracowałem w nowoorleańskiej policji. Dużo czasu spędzałem poza domem. Skoro on pamięta ten jeden mały incydent, prawdopodobnie było tego więcej. Jak mogłem być taki ślepy?

- Nie byłeś ślepy - tłumaczyła Sophie. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na zaciśniętych wokół trzonka łyżki palcach Alaina. - Pracowałeś na dwie zmiany. Nie było cię, bo chciałeś żonie i dziecku

zapewnić lepszy byt. Skąd miałeś wiedzieć, co się dzieje w domu w każdej minucie dnia?

- Już wówczas go zaniedbywała, a ja się nie zorientowałem. Psiakrew! Nie jestem lepszy od niej.

- Nie bądź śmieszny - odrzekła ostro i cofnęła rękę. - Dobrze. Może powinieneś być zauważyć symptomy, że coś jest nie tak, może nie. Może to nie był odosobniony przypadek. Sam musisz Guya o to zapytać.

- Nie poprawi mi to dzisiaj nastroju.

- Nie, ale oczyści atmosferę na przyszłość. Podejrzewałeś, że ona zaniedbuje Danę?

- Nie. Zresztą wkrótce po narodzinach Dany ostatecznie się rozstaliśmy. Moja mała córeczka nie była planowanym dzieckiem. Jest owocem ostatnich prób pojednania. Zresztą szybko z nich zrezygnowałem i przestaliśmy ze sobą sypiać. Nawet nie podejrzewałem, że Casey Jo jest w ciąży.

Oparł łokcie o blat stołu i splótł dłonie. Nie czuł już na palcach ciepła ręki Sophie. Spojrzał na nią, spodziewając się zobaczyć w jej wzroku to samo obrzydzenie, jakie czuł do samego siebie. Pomylił się. W oczach Sophie dojrzał współczucie, a nawet coś więcej, coś głębszego, bogatszego niż empatia dla jego udręki. Czy z jej strony to miłość, czy tylko odbicie uczucia, jakim ja ją darzę, zastanawiał się.

- Nie popełniłeś wcale gorszych błędów niż większość rodziców - stwierdziła.

- Powiniennem usiąść z Guyem i wyciągnąć z nie-

go, dlaczego jest w nim tyle zapiekłego gniewu na matkę.

Sophie położyła obie dłonie na stole i pochyliła się odrobinę do przodu.

- Zgoda, ale nie masz wcale pewności, że by ci powiedział to, do czego mnie się przyznał.

- Dlaczego miałyby to przede mną ukryć?

- Bo ma piętnaście lat, a ty jesteś jego ojcem. Dla niego to wystarczające powody. Obaj jesteście uparci. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. - Uśmiechnęła się. - Zaczęło do niego docierać, że popełnił błąd, nie mówiąc ci o tym, co się wtedy wydarzyło. Guy to inteligentny chłopak. Rozumie, że skutek jego milczenia Danie może się przytrafić to samo co jemu, kiedy był mały. Jest zły na siebie, ale i na ciebie, że zgodziłeś się na jej wyjazd.

Alain w milczeniu dokończył zupę. To, co usłyszała brzmiało dość rozsądnie. Guy jest dumnym nastolatkiem, przejętym rolą starszego brata. Złości się na siebie tak samo jak na ojca.

- Powinienem wracać do domu — rzekł, wstając.

- Casey Jo mogła dzwonić do swojej matki albo do mojej. Poza tym muszę dojść do ładu z Guyem.

- Dasz mi znać, jak dostaniesz jakieś wiadomości, dobrze? - poprosiła.

- Oczywiście. - Nie spodobał mu się dystans, jaki wyczuł w jej głosie. Był to sygnał, że się od niego oddała. Nie miał zamiaru dłużej odkładać powiedzenia jej tego, co mu nie dawało spokoju. Już i tak za długo z tym zwleka. Nigdy nie będzie



odpowiedniego momentu. Wyciągnął do niej rękę. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że zrobi krok do tyłu, lecz powoli napięcie zniknęło z jej twarzy, objęła go w pasie, oparła się czołem o jego pierś. - Sophie... - zaczął. - Jest coś, co muszę ci powiedzieć, o co muszę cię zapytać.

Serce waliło mu mocno. Podejrzewał, że ona też to słyszy. Uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił, Alainie - szepnęła. W jej oczach pojawił się smutek. - Nie teraz.

- Czyli wiesz, co chcę powiedzieć? - spytał i ujął jej twarz w dłoń. - Kocham cię, Sophie. Zawsze kochałem, nawet podczas tych lat, kiedy usiłowałem wyrzucić cię z pamięci.

- Wiem - szepnęła i łzy napłynęły jej do oczu. - Ja też zawsze myślałam o tobie z miłością. Ale to nie znaczy, że teraz mamy większe szanse niż kiedy byliśmy nastolatkami.

- Nie możesz dać nam szansy? - prosił. Oparł czoło o jej czoło. - Sophie, błagam...

- Nie - położyła mu palec na ustach - nic już więcej nie mów.

Jej słowa ugodziły go prosto w serce.

- Posłuchaj, wiem, że w moim życiu jest wiele komplikacji. Dzieci...

- Dzieci nie stanowią problemu - wpadła mu w słowo. - Są wspaniałe. Byłabym najszczęśliwszą kobietą na ziemi, gdybym miała takiego syna i taką córkę, jak Guy i Dana. Problemem nie jest też Casey Jo. Przynajmniej nie do końca. Problem tkwi we

mnie. Jesteś mężczyzną, który potrzebuje wyjątkowej kobiety, która potrafi dać sobie radę ze wszystkimi komplikacjami, jak je nazwałeś, w twoim życiu. Nie jestem pewna, czy spełniam te warunki.

- Ale przynajmniej, że mogłabyś mnie znowu Kochać.

- Czasami to nie wystarczy. - Położyła mu dłoń na piersi i cofnęła się odrobinę. - Moje doświadczenie małżeńskie nie jest lepsze od twojego. Mocno się sparzyłam. Rozwód omal mnie nie załamał. Nie wiem, czy jeszcze raz chcę się aż tak angażować. - Wierzchem dłoni otarła napływające do jej oczu łzy. - Nie będę płakać - oświadczyła z mocą. - Próbuję ci wytłumaczyć, co się dzieje w moim sercu. W Houston mam swoje życie, swoją pracę, Alainie. Nie wiem, czy jestem gotowa z tego zrezygnować. A zwiążanie się obietnicą z tobą wymagałoby tego ode mnie. Twoje miejsce jest w Indigo. Kiedyś wydawało mi się, że mogłabym tu zapuścić korzenie, ale to było dawno temu. Teraz nie jestem taka naiwna ani taka odważna, żeby myśleć, że miłość jest wszystkim, czego potrzeba do szczęścia.

- Więc nie wierzysz w drugą szansę? - spytał.

Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby nie porwać jej w ramiona i przytrzymać w objęciach na zawsze.

Koniuszkami palców dotknęła jego policzka.

- Tamten tydzień siedem lat temu był naszą drugą szansą.

Smutek w jej głosie przeniknął go do głębi.

- Mówią też: do trzech razy sztuka.  
Potrzęsęła głową.
- Ja znam inne powiedzenie: raz, dwa, trzy, tracisz ty. Wracam do Houston. Wyjeżdżam w poniedziałek rano. Nie wiem, kiedy wrócę.

scandalous

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Dana dzwoniła, jak mnie nie było?

Alain zakręcił butelkę z wodą mineralną mocniej niż należało.

- Nie - odpowiedział.

- Jest sobota wieczór. Wyjechały w czwartek. Jak długo zamierzasz czekać? - zaatakował go Guy.

- Dałem twojej matce czas do jutra do siódmej wieczorem - przypomniał Alain i zajął miejsce za stołem.

Demonstracyjnie zaczął podwijać rękawy koszuli, potem wypił łyk wody. Czekał na następny ruch chłopaka.

Guy prychnął pogardliwie, lecz zamiast odwrócić się na pięcie i wymaszerować z kuchni, usiadł obok ojca. W ciągu ostatnich dwóch dni nie unikał go, lecz również nie szukał spotkania z nim.

- Właśnie próbowałem się znowu dodzwonić do mamy - zaczął. - Cały czas ma wyłączoną komórkę.

A więc martwi się o siostrę, pomyślał Alain. Rzadko spędza sobotni wieczór w domu, zazwyczaj wychodzi gdzieś z kolegami, oglądają filmy na wideo, grają w gry komputerowe, wystają przed supermarketem

i przyglądają się dziewczynom, które z kolei przyglądają się im. Alain nie miał zastrzeżeń do towarzystwa syna, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że niedługo wszystko się zmieni. Za pół roku Guy, tak jak większość jego kumpli, zrobi prawo jazdy i zacznie wypuszczać się poza granice miasta. Zechce pojechać do Lafayette do kina albo do jakiegoś baru na hamburgera i frytki. Potem będą randki z dziewczynami. Boże, jak ten czas leci!

- Powinieneś zażądać, żeby się od czasu do czasu meldowała - oświadczył.

- Słusznie, synu. Powiniennem - przyznał Alain, Pokpił sprawę. Tańczył, jak mu Casey Jo zagrała. Mniejsza o niego, ale tutaj chodzi o Danę i Guya.  
- Drugi raz nie popełnię już tego błędu - dodał.

Guy trzymaną w dłoni komórką wodził po blacie stołu. Był to wielofunkcyjny telefon, niewiele większy od pudełka zapalek, dosyć drogi, ale chłopaki kupił go za własne zarobione pieniądze, więc Alain nie oponował.

Milczenie przedłużało się. Alain wsłuchiwał się; w odgłosy pralki dochodzące z werandy na tyłach? domu. Zaczęło się odwirowywanie, jakaś zabłąkana moneta stuknęła o ścianki bębna.

- Jeszcze większym błędem było pozwolić, żeby Dana w ogóle z nią pojechała - odezwał się Guy, nie patrząc na ojca.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Alain.

Odkąd wrócił od Sophie, chciał podjąć ten temat, ale nie miał okazji. Wiedział też, że musi być bardzo

ostrożny, żeby nie zdradzić się, ile wie, i nie podważyć zaufania Guya do Sophie.

- Kiedy byłem mały, zostawiła mnie samego na ławce w centrum handlowym i odeszła. Bardzo długo jej nie było. Jakiś ochroniarz pomyślał, że się zgubiłem. Byłem przerażony i głodny i chciało mi się siusiu. Rozryczałem się. Przestraszyłem się, że zabierze mnie do więzienia, bo byłem sam - Guy wyrzucił z siebie jednym tchem. Po chwili już spokojniejszym tonem dodał: - Dzieciakom rozmaite rzeczy przychodzi do głowy. A kiedy ona wróciła, zabroniła mi mówić o tym tobie. Powiedziała, że się będziesz na mnie gniewał, bo urządziłem scenę. Nie powiedziała, że będziesz zły na nią, za to, że mnie zostawiła.

- Bardzo mi przykro, synu. Nie wiedziałem, że miałeś takie złe doświadczenia. Żałuję, że wcześniej mi nie powiedziałaś.

Esy-floresy rysowane komórką stały się jeszcze bardziej zawile.

- Masz rację. Dopiero teraz to zrozumiałem. Ale zawsze mi się wydawało, że wiesz. Kiedy jesteś mały, to ci się wydaje, że rodzice wiedzą wszystko. Poza tym dzieciaki wierzą w to, co mama i tata im mówią.

- Kątem oka zerknął na Alaina. - Ale niedawno rozmawiałem z... z jednym przyjacielem i doszło do mnie, że skoro nikt ci nie powiedział, to mogłeś nie wiedzieć.

- Mama jeszcze kiedyś zostawiła cię samego?  
- spytał Alain.

Guy wzruszył ramionami.

- Możliwe, że tak, ale dokładnie nie pamiętam. Dziwne, nie pamiętam, żeby mnie uderzyła albo na mnie krzyczała, a to pamiętam. Myślałem, że już nigdy po mnie nie przyjdzie. - Zatrzymał rękę z komórką i nie patrząc na ojca, podniósł klapkę. - Nie chcę, żeby Danę spotkało coś podobnego. Szczególnie w miejscu tak ogromnym jak Disney World.

- Ani ja. - Alain machinalnie zaczął się bawić pustą butelką. - Zawsze starałem się opiekować wami, jak najlepiej potrafiłem. - Umilkł i przełknął ślinę. - Jesteście całym moim życiem. Wiesz o tym, prawda?

Guy oderwał wzrok od maleńkiego ekranu i spojrział na ojca.

- Wiem, tato. Odkąd przenieśliśmy się do Indigo, nigdy się nie bałem. Pewnie wtedy już wiedziałem, że się mną, nami obojgiem, zaopiekujesz. Dlatego tak się wściekłem. Zawsze mi się wydawało, że jesteś supermanem, który wszystko wie, więc wiesz również i o tamtym.

- Ojcowie nie są wszystkowiedzący, synu.

Guy uśmiechnął się półgębkiem.

- Żartujesz.

- Przykro mi, że mama naraziła cię na taki stres, kiedy byłeś mały i bezbronny, ale skoro nie pamiętasz więcej podobnych doświadczeń, jest mi odrobinę lżej. Twoja matka nie jest złą kobietą. Jest tylko trochę...

- Jak żeński odpowiednik Piotrusia Pana, tak?

- wtrącił Guy i zamknął klapkę telefonu. Aparat

niemal całkiem zniknął w jego dłoni i Alain pomyślał, że chłopak ma już prawie takie same ręce jak on. - W Disney Worldzie bawi się pewnie lepiej od Dany i dlatego nie zadzwoniła. Nie dlatego, że ją porwała, bo chce zacząć nowe życie.

- To samo i ja myślę.

Boże, mam nadzieję, że się nie mylę.

- Dlaczego się z nią ożeniłeś, tato?

Alain nie był przygotowany na taki przebieg rozmowy. Spodziewał się napaści, oskarżeń, podniesionego głosu, a miał przed sobą nastolatka zdradzającego zadatki na rozsądnego mężczyznę, nie dziecko, jakim jego syn był jeszcze kilka dni temu.

- Była w ciąży z tobą.

Nie miał zamiaru kłamać i twierdzić, że kochał Casey Jo. Guy zasługuje na szczerość.

- Potrafię liczyć - odparł chłopak i chociaż zaczerwienił się, nie odwrócił wzroku. - Mnie chodzi o to, dlaczego uznałeś, że musisz wziąć ślub, bo ona jest w ciąży? Wielu facetów by tak nie postąpiło. Kilku chłopaków w szkole się przechwala, że nie dali się zaciągnąć do ołtarza.

- Ożeniłem się z twoją matką, bo uważałem, że to honorowe wyjście. Miałem nadzieję, że nauczymy się żyć razem i że nawet będziemy szczęśliwi. Prawdopodobnie byliśmy zbyt młodzi. Ale ja się starałem.

- A mama?

- Jeśli ci powiem, że ona też się starała, będziesz miał lepsze zdanie o niej czy gorsze?

Guy uśmiechnął się krzywo.



- Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.
- Dobrze to ująłeś.
- Już dawno rozumiałem, że ona nie będzie prawdziwą mamą ani dla mnie, ani dla Dany. Ona nie jest taka jak *Mamere* Yvonne albo babcia Cecily. Należy do tych, którymi całe życie ktoś musi się opiekować. Nie potrafi być odpowiedzialna za innych. Mam rację?
  - Masz, synu.
  - Ostatnio dużo o tym myślałem. Doszedłem do wniosku, że kiedy zacznę rozglądać się za żoną, chciałbym znaleźć dziewczynę, która by była dla mnie partnerką. Nie chodzi mi o to, że nie chcę się nikim opiekować. Bo chcę i będę. Ale też chcę, żeby ona się mną opiekowała.
    - Kiedy znajdziesz taką dziewczynę, nie wypuść jej z ręki - rzekł Alain z uśmiechem. - Bo to będzie prawdziwy skarb.
    - Takiej kobiety szukasz? Z taką byś się ożenił po raz drugi?

Alain miał nadzieję, że udało mu się zachować kamienny wyraz twarzy, chociaż serce przeszył mu nagły ból.

      - Tak, synu - przyznał. - Takiej kobiety szukam, Guy przyglądał się mu kilka sekund w milczeniu.
      - My, to znaczy Dana i ja - zaczął - nie mamy nic przeciwko temu, żebyś się ożenił.
      - Zapamiętam to sobie, synu. Ale ty się nie spiesz z szukaniem swojego ideału, dobrze?
      - Nie martw się, tato. Mówiłem czysto teoretycz-

nie. W szkole na ten temat dyskutowaliśmy. Teraz chcę tylko, żeby Dana wróciła. Jeśli tym razem mama dotrzyma słowa, to może kiedyś zostaniemy przyjaciółmi.

Z tymi słowami Guy odsunął się z krzesłem, wstał, schował komórkę do kieszeni i wyszedł z kuchni.

- Jeśli któregoś dnia Dana i Guy zaczną traktować Casey Jo jak przyjaciela, będziesz mógł sobie pogratulować. To będzie twoja zasługa - rzekła Cecily, która czekała na tylnej werandzie, aż Guy wyjdzie z kuchni.

- Słyszałaś naszą rozmowę? - spytał Alain.

- Oczywiście, że słyszałam, trudno było nie słyszeć. I wcale się tego nie wstydzę. Ty i twoje dzieci jesteście najważniejszymi osobami w moim życiu. Chciałam wiedzieć, co Guy sądzi o matce.

- Przysięgam, nic nie wiedziałem, że go zostawiła w centrum handlowym.

- Skąd miałeś wiedzieć? Chociaż to w jej stylu.

Cecily nalała sobie kubek kawy czarnej jak smoła i usiadła obok syna przy kuchennym stole, który służył rodzinie od prawie stu lat.

- Guy się boi, że coś podobnego spotka Danę.

- Nie wykluczyłabym tego - wyrwało się Cecily.

- Poza tym spytał, dlaczego się ożeniłem z Casey Jo.

- Bo uważałeś, że tak trzeba, a ja cię utwierdzałam w tej decyzji - rzekła Cecily i przyjrzała się synowi. W starej kraciastej flanelowej koszuli ojca

wyglądał zupełnie jak on. Wzruszenie chwyciło ją za gardło. - Ale wierz mi, miałam nadzieję, że ona spoważnieje. - Zamilkła i rzuciła mu baczne spojrzenie znad kubka z kawą. - Sądziłam, że zapomniałeś o Sophie Clarkson i że macie z Casey Jo takie same szanse jak inne pary w podobnej sytuacji. Pomyliłam się i co do jednego, i co do drugiego, prawda?

Alain, który podczas tej przemowy wpatrywał się w jeden punkt na ścianie, przeniósł wzrok na matkę.

- A ja w dalszym ciągu mam nadzieję, że dorosnie przed Daną - rzekł, odpowiadając tylko na część pytania.

- Trzymam kciuki. - Cecily wstała i wylała resztę kawy do zlewu. Taka siekiera nawet dla niej była za mocna.

Nie mogła sobie fundować kolejnej bezsennej nocy, podczas której będzie się zastanawiać, co zrobić z tymi przekłętymi maskotkami. Jutro od siódmej ma dyżur w szpitalu. Uznała jednak, że najwyższy czas pozbyć się innego zmartwienia. Odwróciła się, oparła biodrem o zlew i zapytała:

- A co z tobą i Sophie, synku?
- W poniedziałek wraca do Houston.
- Już na dobre?

Alain wzruszył ramionami.

- Nie wiem.
- Prosiłeś ją, żeby została?

Cecily nie miała zwyczaju wtykać nosa w osobiste sprawy Alaina, lecz doszła do wniosku, że jego uczucia do Sophie są zbyt poważne, by o nich milczeć.

- Nie - odparł krótko. - Co ja mogę jej ofiarować? - spytał i przeczesał palcami włosy. - Przyznasz, mamó, że w tej chwili moje życie bardziej przypomina operę mydlaną. Nawet gdyby chciała brać sobie na głowę faceta z dwójką dzieci i patologicznie niedojrzałą była żoną, pozostaje kwestia jej życia i pracy w Houston, z której nie zamierza rezygnować.

- Pytałeś ją o to?

Czyżby sprawy zaszły aż tak daleko? Czyżby po raz drugi poprosił ją, by za niego wyszła?

- Pytałem, czy wierzy w drugą szansę - odparł.

Smutek w jego głosie był tak dobrze ukryty, że tylko matka go dosłyszała.

- Każdy wierzy w drugą szansę - szepnęła Cecily.

- Właśnie to jej powiedziałem. - Zamilkł i cisnął pustą butelkę po wodzie mineralnej do kosza w rogu kuchni. - Odpowiedziała, że drugą szansę już mieliśmy siedem lat temu, kiedy Casey Jo wtargnęła na zaplecze sklepu i nas przyłapała razem. A teraz wcale nie jest tak, jak ja mówię: do trzech razy sztuka, tylko tak jak ona, czyli: raz, dwa, trzy, tracisz ty.

- Och, synku, to nieprawda.

Cecily bała się, że zaraz się rozpłacze.

- W spokojniejszym momencie może by mi się udało ją przekonać, ale teraz Dana ma pierwszeństwo. - Uśmiechnął się krzywo. - Historia zatoczyła koło. - Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł.

Cecily odprowadziła go wzrokiem. Serce jej się krajało. Bęben suszarki wydawał takie dźwięki, jak

gdyby miał rozsadzić dom. Machinalnie ją wyłączyła i żeby zająć czymś ręce, zaczęła wyjmować i składać ręczniki. W jej głowie kłębiło się mnóstwo myśli.

Absorbowanie Alaina własnymi problemami było ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili chciała. Przekłete maskotki w witrynie Dawnych Dobrych Czasów, gdzie każdy może je zobaczyć, muszą zaczekać.

Może powinnam porozmawiać z Sophie, powiedzieć jej, że Alain ją kocha? Gdyby miała jakąkolwiek wskazówkę, że Sophie odwzajemnia uczucia jej syna, na kolanach by ją błagała, by została w Indigo, aż sprawy z Casey Jo się ułożą.

Może gdyby siedem lat temu tak uczyniła, ich obecne życie wyglądałoby inaczej? Ale wówczas, tak samo jak i teraz, nie chciała wtrącać się w prywatne sprawy syna. Skąd ktokolwiek mógł przewidzieć, że po pół roku milczenia Casey Jo się objawi, zrobi skruszoną minę i zażąda, by Alain przyjął ją z powrotem pod swój dach, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby nie rzuciła jego i ich syna, żeby uganiać się za mrzonkami.

Zdecydowanie Casey Jo niejedno ma na sumieniu. Może gdybym jej to wszystko wyjaśniła, Sophie zmieniłaby swoje plany?

Może tak, może nie.

Dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślania. Podniosła słuchawkę, spodziewając się, że może to była synowa chce przeprosić za to, że od ponad dwóch dni nie daje znaku życia.

- To ty, Cecyli? - W słuchawce zabrzmiał głos

nie Casey Jo, lecz jej matki. - Tu Marie. Były jakieś wiadomości?

W odpowiedzi Cecily ciężko westchnęła.

- No tak. Miałam nadzieję, że wy coś wiecie.

- Od czwartku ani słowa. Alain wygląda, jak gdyby się zawziął. Jeśli Casey Jo nie przywiezie Dany jutro punktualnie o siódmej, spełni swoje groźby.

- Wiem - odparła Marie i po raz pierwszy nie próbowała usprawiedliwiać córki. - Mam tylko nadzieję, że żadnej z nich nic złego się nie stało. - Zamilkła i westchnęła. Potem, zmieniając temat, zapytają: - Wiesz, że Sophie Clarkson udekorowała tymi cholernymi maskotkami wystawę?

Cecily po raz kolejny westchnęła.

- Wiem od Guya. Dana jej powiedziała, że Maude tak robiła. Pewnie miała na myśli te, które ludzie jej oddawali, jak wyjęli z nich lekarstwa. Pamiętam, że niektóre udawało jej się sprzedać.

- Zaangażowała Amelię Prejean do prowadzenia sklepu. W poniedziałek otwarcie.

Amelia była mniej więcej rówieśnicą Cecily, lecz mało się znały. Siostrzenica Hugh Prejeana sprowadziła się ze wschodniego wybrzeża do Indigo zaledwie rok temu po przejściu na nauczycielską emeryturę. Przyjechała opiekować się wujem. Cecily nie przypuszczała, żeby była pomocna w odzyskaniu trefnej przesyłki.

- Też o tym wspomniał.

- Czasu zostało coraz mniej. Dziś w nocy musimy się tam włamać.

Cecily poczuła, jak łyży palą ją pod powiekami. Żeby je powstrzymać, z całej siły walnęła pięścią w stos złożonych ręczników.

- Dziś w nocy wykluczone. Alain jest w domu. Usłyszysz, że wychodzę.

- W takim razie jutro. To nasza ostatnia szansa.

- Ze szpitala wracam dopiero koło siódmej rano.

Marie zdenerwowała się.

- Przecież nie włamiemy się tam w biały dzień!

- Ale Alain...

- Powiesz, że spędzisz wieczór z matką, bo martwi się o Danę...

- To nie będzie kłamstwo. Ona się martwi o Danę

- wyrwało się Cecily.

- Nie zapominaj, że to też i moja wnuczka. Nic jej nie będzie. Po prostu tak dobrze się bawią, że zapomniały o bożym świecie. - Cecily aż zazgrzytała zębami. - Chociaż raz zrób tak, jak ja ci mówię - ciągnęła Marie. - Powiedz, że idziesz do Yvonne.

- Jak się tam dostaniemy?

- Zostaw to mnie.

Cecily ciarki przeszły po plecach. Nie trzeba mieć zdolności parapsychologicznych, by przewidzieć, że to się niedobrze skończy. Od dnia śmierci Maude to wiedziała. Miała tylko nadzieję, że Sophie Clarkson nie będzie miała pretensji do Alaina o to, co wyuczynia jego matka.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sophie stała przy oknie swojego apartamentu na poddaszu La Petite Maison i patrzyła przez okno na słońce przeświecające przez chmury. Absolutną ciszę przerywały tylko kościelne dzwony wzywające wiernych na niedzielne nabożeństwo i śpiew ptaków. Obejmowała dłońmi kubek wysmienitej jak zwykle kawy Luca i myślała melancholijnie o tym, że następną niedzielę spędzi już w swoim mieszkaniu w Houston, patrząc na białą ścianę domu naprzeciwko, słuchając nieprzerwanego szumu samochodów mknących autostradą, którego nawet ekrany dźwiękoszczelne nie mogły całkowicie wytłumić.

Dokonałam słusznego wyboru, powtarzała sobie. W najbliższą środę dziadkowie wracają z podróży po Australii i chciała ich przywitać. No i oczywiście musi wrócić do pracy. W głosie ojca, kiedy dzwoniła z informacją, że jak tylko upora się z alarmem i urządzi Amelię Prejean w sklepie, zjawi się w pracy, usłyszała wyraźną ulgę.

Może kiedy znajdzie się we własnym domu, w otoczeniu własnych mebli, przestanie ją dręczyć uczucie, iż opuszczając Indigo i... i Alaina, popełnia straszny błąd.



Przecież gdyby naprawdę była w nim zakochana, nie potrafiłaby odwrócić się na pięcie i tak po prostu odejść, prawda?

Prawda?

Na łóżku leżały otwarte walizki, prawie spakowane. Jutro po śniadaniu wymelduje się z pensjonatu, ostatni raz sprawdzi, czy domek Maude jest bezpiecznie zamknięty, i bezpośrednio ze sklepu pojedzie do Houston.

Pukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia.

- Chwileczkę! - zawołała, odstawiła kubek z kawą i podeszła do drzwi.

- Dzień dobry, Sophie - pozdrowił ją Luc.

- Dzień dobry. Właśnie miałam zejść na śniadanie,

- Nie ma pośpiechu, ale przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że masz gościa.

- Alain? - wyrwało jej się.

- Niestety, to nie nasz szacowny szef policji, lecz Boudreaux junior.

- Guy?! Co on tutaj robi?

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekł Luc i cofnął się, by mogła przejść. - Powiedział, że to sprawa osobista, tylko pomiędzy tobą i nim. Posadziłem go przy stoliku we wnęce. Tam będziecie mogli swobodnie porozmawiać.

- Dzięki.

Sophie szybko zbiegła po schodach. Na dole powitały ją apetyczne zapachy smażonego bekonu i świeżo zaparzonej kawy. Z jadalni dobiegał szczełk sztuczków i szmer rozmów.

Na jej widok Guy zerwał się z krzesła. Ubrany był w dżinsy spięte u dołu kłamrą, co wyjaśniało, jak się tu dostał - przyjechał rowerem. Poza tym miał na sobie białą koszulę i zamiast bluzy z emblematem szkoły, w jakiej go zawsze widywała, skórzaną kurtkę. Sophie domyśliła się, że był w kościele.

Podeszła bliżej i wskazała mu fotel.

- Siadaj, Guy. Może coś zjesz? - zaproponowała.

Guy, wciąż stojąc, potrząsnął odmownie głową.

- Dziękuję, jestem po śniadaniu. Muszę z panią porozmawiać, Miss Sophie... poprosić o przysługę - wyjaśnił tak cicho, że Sophie musiała nachylić głowę, by go w ogóle usłyszeć.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się.

Musiało się coś stać, bo po co w niedzielę rano przyjeżdżałby do pensjonatu?

- Raczej tak - wybąkał. - Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać na... na osobności?

- Oczywiście. - Sophie zaprowadziła go do przyjemnie urządzonego saloniku obok recepcji. Usiadła na jednej z sof obok kominka i poklepała miejsce obok siebie. - Siadaj i mów, co cię tu sprowadza.

- Chodzi o mamę i Danę. - Chłopak od razu przystąpił do rzeczy.

- Miałeś jakieś wiadomości? - zapytała. - Wczoraj nie zdołałam skontaktować się z twoim ojcem.

Sobota upłynęła Sophie na przeglądaniu osobistych rzeczy Maiide, których nie chciała zostawiać w niezamieszkanym domu. Kilkakrotnie sięgała do kieszeni po komórkę, lecz zawsze rezygnowała. Chyba się

obawiała, że pod wpływem impulsu zmieni zamiar i powie, iż zostaje z nim w Indigo na zawsze.

- Mama do mnie dzwoniła. Dokładnie w środku mszy. - Zamilkł i zarumienił się. - Ojciec Joe nie lubi - ciągnął - kiedy ludzie mają włączone telefony w kościele, ale to jest sytuacja wyjątkowa. Usiadłem na samym końcu, żebym w razie czego mógł szybko wyjść.

- Co powiedziała Dana? Dobrze się bawi? Ciagle jeszcze są w Orlando, tak?

Sophie spojrzała na zegarek. Było po jedenastej. Jeśli wciąż są na Florydzie, to wykluczone, by dojechały tu na siódmą, jak im kazał Alain.

- Nie. Są gdzieś w Biloxi... Mam nazwę i adres hotelu.

- To dwieście mil stąd. Swobodnie zdrażą.  
Guy zmienił się na twarzy.

- Samochód Casey Jo się zepsuł. Nie da się tego tak szybko naprawić. A Dana zachorowała. Wymiotuje i płacze. - Zdesperowany przeczesał palcami gęste kasztanowe włosy. - Casey Jo też płakała. Nie umie pielęgnować chorych dzieci. A Dana potrafi ryczeć. I im bardziej płacze, tym gorzej rzyga.

Sophie ogarnęło współczucie dla chłopaka. Był takim opiekuńczym starszym bratem. Nie chciał, żeby Dana jechała z matką, a teraz jego najgorsze obawy się sprawdziły.,

- Gdzie ojciec? Pojechał po nie?

Nie przychodził jej do głowy inny powód wizyty Guya, jak tylko chęć zawiadomienia jej o sytuacji.

- Ojciec nic nie wie. Mama boi się do niego zadzwonić. Poza tym ojca tu nie ma. Rano wezwał go szeryf i wysłał w drugi koniec okręgu. Organizują obławę na trzech uciekinierów z więzienia w Nowym Orleanie. Ja też jeszcze nie próbowałem się z nim skontaktować.

- Co na to wszystko babcia?

- Babcia Cecily jest w pracy, a babcia Marie śpi. W soboty pracuje do trzeciej rano. Poza tym jej samochód to jeszcze gorszy grat niż ten Casey Jo.

- Sophie nie miała pojęcia, do czego ta cała przemowa prowadzi. - Muszę pożyczyć auto - mówił dalej chłopak - i ściągnąć je tutaj na siódmą, jak kazał tata.

- A twoja *Mamerel*

- Jak tylko się dowie, zadzwoni do samego gubernatora, o ile nie do prezydenta... Poruszy niebo i ziemię, żeby znaleźć tatę. Nie, nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek w mieście dowiedział się, co się dzieje. Potrzebny mi jest tylko samochód. I dlatego tu jestem. Pożycz mi pani swój?

- Och, Guy - westchnęła Sophie. - Przecież ty nie masz jeszcze prawa jazdy.

- Babcia Marie będzie prowadzić. Jest dobrym kierowcą. Naprawdę. Tyle że jej wóz nadaje się na złom.

Sophie na moment położyła dłoń na jego dłoni i szybko ją cofnęła, nie chcąc go krępować.

- Przykro mi, Guy, ale to samochód służbowy. Firma ubezpieczeniowa zabrania komukolwiek poza

mną go prowadzić. Zadzwoń do ojca. Powiedz, że to nagła sprawa. Na pewno ktoś go zastąpi.

- Nie - błyskawicznie odparł chłopak. - Pani nie rozumie. Ojciec pognałby tam jak strzała. Odbiliśmy rozmowę. Teraz lepiej rozumiem matkę i chcę dać jej szansę pokazać, że wie, co robi. Chcę po nie pojechać ja, nie ojciec.

Sophie czuła się wyróżniona, że Guy zwrócił się po pomoc właśnie do niej, nie wiedziała tylko, jak Alain zareaguje na jej wtrącanie się w sprawy jego rodziny.

~ Pozwól mi zadzwonić do twojego ojca - poprosiła.

- Nie. Zależy mi, żeby samemu to załatwić - oświadczył, wstając. - Dziękuję, że mnie pani wysłuchała. Spróbuję złapać jednego kumpla, Skeetera. Jego starszy brat ma wóz. Może jeśli zapłacę za benzynę...?

- Nie - rzekła Sophie. Już podjęła decyzję. Nie będzie myślała o sobie, tylko o bezpieczeństwie Dany i Guya. Nie pozwoli, by syn Alaina jechał w długą podróż z niedoświadczonym kierowcą. - Ja pojedę z tobą - oświadczyła. - Ale stawiam warunek: zawiadomisz ojca albo babkę, co robimy. Zgoda?

Guy obejrzał się, czy nikt go nie słyszy.

- Mama nie będzie zadowolona, kiedy panią zobaczy - zauważył.

- Wiem. Ale sądzę, że jakoś to przeżyję.

- Nie jestem ślepy. Pani i tata... ludzie w mieście mają długą pamięć...

- Nie mylisz się co do ojca i mnie. Może pewnego dnia będziemy dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi. Teraz sama jeszcze tego nie wiem. Szczerze. Ale to jest zupełnie inna sprawa. Powinniśmy przede wszystkim myśleć o Danie. A jeśli się nie mylisz, że matka chce udowodnić, że jest odpowiedzialna, będzie musiała zrobić dobrą minę do złej gry.

Guy pokiwał głową, jak gdyby się z nią zgadzał, lecz nie wyglądał na przekonanego. Niestety nie mogła mu zaproponować żadnego innego rozwiązania i oboje o tym wiedzieli.

- Spróbuję od razu zadzwonić do taty - oświadczył Guy, otworzył klapkę telefonu i spojrzał na ekran wyświetlacza. - Nie ma zasięgu. Wyjdę na zewnątrz i tam spróbuję. Dobrze?

- To ja tymczasem skoczę na górę po torebkę - odrzekła Sophie.

Kiedy lekko zdyszana zjawiała się z powrotem na dole, po recepcji kręcił się Luc Carter.

- Wybierasz się gdzieś z młodym Boudreaux? - zagadnął.

- Tak - odparła, zastanawiając się, jak wiele może ujawnić z ich planu. - Przez większość dnia mnie nie będzie.

- Co mam mówić, gdyby ktoś o ciebie pytał? - Luc odgrywał idealnego hotelarza.

- Nic.

- Wierzysz, że chłopak naprawdę próbuje się skontaktować z ojcem? - spytał, nie starając się ukryć, że podsłuchiwał przynajmniej część ich rozmowy.

Sophie spojrzała mu prosto w oczy i rzekła:

- Tak.

- Jak daleko są? To znaczy była żona Boudreaux z ich małą? Pół miasta wie, że zabrała ją do Disney Worldu...

To prawda.

- Gdzieś w okolicach Biloxi. Samochód im się zepsuł, a Dana nie najlepiej się czuje.

- I Guy koniecznie chce je bezpiecznie dowieźć do domu? - Kąciki ust Luca uniosły się nieznacznie do góry. - Południowa rycerskość nie zniknęła, chociaż od upadku Konfederacji minęło już sto pięćdziesiąt lat. - Urwał, wskazał chłopaka stojącego na ganku z komórką przy uchu, uśmiechnął się szerzej i dodał: - To jabłko na pewno nie padło daleko od jabłoni.

Sophie również zmusiła się do uśmiechu.

- Na pewno nie.

Ściemniało się, kiedy Alain stawiał samochód na swoim miejscu na parkingu przed komisariatem. Ulice świeciły pustkami. Supermarket był jeszcze otwarty, na stacji benzynowej na rogu paliły się światła, lecz najwyraźniej nikomu nie chciało się wyściubić nosa w taki ziąb. Na dodatek padało.

Cały dzień zmarnowany, myślał, biorąc kapelusz i dokumenty do przejrzenia. Sześć godzin kiblował przy blokadzie na bocznej, mało uczęszczanej drodze, z której żadni szanujący się uciekinierzy nigdy by nie skorzystali. Ale akcją kierowała policja stanowa

i szeryf tylko wykonywał ich polecenia. Co gorsza, więźniów złapano, zanim zdążyli wyjechać z miasta. Pewnym pocieszeniem mógł być fakt, że usuwając go ze sceny, szeryf udowodnił, iż uważa go za poważnego konkurenta w nadchodzących wyborach i nie chce, by przypadkiem się wyróżnił.

Alain rzucił papiery na biurko. Jutro rano się nimi zajmie, postanowił. Włożył broń oraz amunicję do sejfu i wpisał się do księgi. Wychodząc, natknął się na Damiena Homiera, który właśnie meldował się na nocną zmianę.

- To wy dwaj zostajecie dziś na gospodarstwie - zagadnął Billy'ego Paula.

- Tak, szefie - odparł Billy, pięćdziesięciolatek z wyraźną nadwagą, za to najlepszy perkusista w całym okręgu.

- Gdybym był potrzebny, jestem w domu - rzekł Alain.

- Aha, szefie, byłbym zapomniiał. - Billy chwycił żółtą karteczkę przyklejoną do radia. - Wiadomość od twojej mamy. Masz koniecznie sprawdzić pocztę głosową i jak najszybciej jechać do siebie.

Pięć minut później Alain parkował na podjeździe przed domem.

- Dostałeś moją wiadomość? - spytała Cecily bez zbędnych wstępów.

- Przed chwilą. Cały dzień miałem wyłączony telefon. Na tym odludziu i tak nie było zasięgu, więc chciałem oszczędzić baterię. Co się dzieje?

- Nie wiem - odparła opanowanym tonem. Po



trzydziestu latach pracy na wydziale ratunkowym miała nerwy ze stali. - Wróciłam i na sekretarce znalazłam wiadomość od Guya. Jest w Biloxi! — Na jedno mgnienie w jej głosie zabrzmiała wyższa, histeryczna nuta. Wyraz jej twarzy zdradzał troskę. - Dzwonił z pogotowia. Wszystko w porządku - dodała pospiesznie. - Dana nie najlepiej się poczuła - ciągnęła. - Coś z żołądkiem, ale nic poważnego. Są już w drodze powrotnej, ale teraz jego komórka nie odpowiada. Jak on się znalazł w Biloxi? Pytałam Marie, ale wie jeszcze mniej ode mnie.

Alain już wcześniej odsłuchiwał wiadomość nagraną przez Guya na swojej poczcie głosowej. Teraz wręczył telefon matce.

- Tato, tu Guy. Jest problem. Samochód Casey Jo nawalił. Jest w Biloxi, a Dana źle się czuje. Mama chce dotrzeć do domu na czas, jak obiecała. Zobowiązałem się, że... że jej pomogę. Znalazłem kogoś, kto mnie tam zawiezie. To Miss Sophie. Zadzwoń stamtąd. Nie martw się, tato. Ona jest dobrą kierowcą.

Druga wiadomość była krótka i zwięzła:

- Bateria mi się kończy. Lekarz mówi, że z Daną OK. Dochodzi czwarta. Jedziemy do domu. - I jeszcze po krótkiej przerwie: - Całą czwórka.

Cecyli oddała mu komórkę.

- Sophie Clarkson? Zwrócił się do niej, zanim zadzwonił do mnie?

Gdyby Alain nie był tak zmęczony i przerażony wiadomością na żółtej karteczce, dałby milion za

uwiecznienie tej miny urażonej godności na twarzy matki.

- Jestem przekonany, że po pierwsze pomyślał o tobie, ale nawet gdybyś znalazła zastępstwo, dotarcie tutaj zajęłoby ci co najmniej czterdzieści pięć minut. Chłopak dobrze ruszał głową - dodał z uznaniem. - Podejrzewam, że na jego decyzji zaważyła nasza wczorajsza rozmowa. Próbuje zrekompensować matce to, że przez te wszystkie lata tak źle o niej myślał.

- Bo na nic innego nie...

- Mamo, takie mówienie do niczego nas nie doprowadzi.

- Wiem, synku, wiem. Jak sądzisz, o której tu dojadą? - Zerknęła na ozdobiony kogutami zegar od niepamiętnych czasów wiszący nad zlewem.

- Prawie siódma.

- Tam i z powrotem jest ze czterysta mil, więc będą nie wcześniej niż o ósmej albo wpół do dziewiątej.

- Cztery godziny w jednym aucie z Casey Jo! - westchnęła Cecily. - Jak ta biedna Sophie to wytrzyma?

Alain domyślił się, że na usta Cecily cisnie się więcej pytań, lecz hamuje ciekawość.

- Da sobie radę - zapewnił matkę, chociaż w głębi duszy też miał co do tego wątpliwości.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Marie, tu Cecily. Dzwonię spytać, czy miałaś wiadomości od Casey Jo...

- Ani słowa. Ale ona ma telefon na kartę i dzwoni tylko w ostateczności. Wszystko w porządku? Są już w drodze powrotnej, prawda?

- O ile wiem, to tak. Alain jest tutaj. Guy nagrał mu dwie wiadomości. - W telegraficznym skrócie relacjonowała Marie ich treść. - Danę zawieźli na pogotowie. Sytuacja jest opanowana. Pewnie zbyt dużo wrażeń. Wiesz, że ona ma wrażliwy żołądek. Okazało się, że to Sophie Clarkson zawiozła Guya do Biloxi.

- Sophie Clarkson?

- Tak, ona.

Cecily uśmiechnęła się przy tym. Musi kochać Alaina, jeśli zgodziła się pomóc, szczególnie że oznaczało to wielogodzinną jazdę jednym samochodem z Casey Jo.

- No, no. Jej spotkanie z moją córką mogło być ciekawe.

Uśmiech zniknął z twarzy Cecily.

- Chciałam cię tylko zawiadomić, że wszystko w porządku - odezwała się może trochę zbyt ostrym tonem. - Alain liczy, że dojadą tu w okolicach ósmej.

- Wobec tego lepiej się pospieszmy,
- Pospieszmy? O czym ty mówisz?
- Nie udawaj, że nie wiesz. Albo wydostaniemy te leki ze sklepu dzisiaj, albo możemy o nich zapomnieć. Jutro rano Sophie otwiera Dawne Dobre Czasy na nowo. Włączą alarm. Przecież wielokrotnie o tym rozmawialiśmy. - Cecily żołądek podszedł do gardła.

- Alainowi powiesz, że jedziesz do matki uspokoić ją, że z Daną wszystko w porządku, a nie chcesz blokować telefonu - pouczała Marie. - To będzie twoje alibi, tak jak już wcześniej uzgodniłyśmy, nie pamiętasz? Zostawisz samochód przed jej domem i dalej pójdziesz piechotą. Spotkamy się za restauracją. Przytnieś latarkę. Aha, i ubierz się na czarno.

W słuchawce rozległ się sygnał. Marie się rozłączyła.

Dwadzieścia minut później Cecily była już w alejce na tyłach Blue Moon. Czekając na Marie, rozglądała się nerwowo. Nawet w Indigo, gdzie większość ludzi nie zamykała drzwi na noc, czuła się odrobinę nieswojo, stojąc w ciemnym zaułku. I właśnie kiedy postanowiła machnąć ręką na to całe wątpliwe przedsięwzięcie i wracać, pojawiła się była teściowa jej syna. Spokojnie zaparkowała na zwykłym miejscu obok tylnego wejścia do restauracji i wysiadła. Lampa z czujnikiem ruchu umieszczona nad drzwiami natychmiast się zapaliła.

- *Mon dieu!* - Cecily wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. - Ona wygląda jak kobieta kot.

Istotnie czarne obcisłe spodnie i sweter Marie

przypominały kombinezon bohaterki filmu. Jak na swój wiek, ma fantastyczną figurę, mimowolnie pomyślała Cecily. Wyszła z cienia i z pretensją w głosie zapytała:

- Dlaczego kazałaś mi przyjść tu piechotą, a sama zajechałaś wozem, jak gdyby nigdy nic?

Marie przyłożyła dłoń do serca.

- Boże! Ale mnie przestraszyłaś! - wykrzyknęła.

- W takim razie jesteśmy kwita - wypaliła Cecily.

- Myślisz, że sterczenie tutaj w ciemności było przyjemnością?

- Ludzie przywykli do widoku mojego auta tutaj, nawet po zamknięciu. A twój samochód przed domem Yvonne służy z kolei za twoje alibi.

Marie sięgnęła na tylne siedzenie i wyjęła spory tobołek, również czarny.

- Co tu masz? - zainteresowała się Cecily.

- Narzędzia pracy - odparła Marie, zatrzasnęła drzwi samochodu i dziarskim krokiem ruszyła na przód.

Tylko kilka domów dzieliło je od skrzyżowania z alejką biegnącą za budynkiem opery. Jeśli uda im się przejść przez Jackson Street, będą bezpieczne.

- Nie mogę uwierzyć, że biorę udział w czymś takim - mówiła Cecily. - To istne szaleństwo. Jest dopiero wpół do ósmej. Nikt nie dokonuje włamań o takiej godzinie.

- Ale my tak.

- Powinniśmy wstrzymać się do północy.

- Ciemniej już nie będzie. A kiedy Casey Jo

i dzieciaki wróca, nie będziemy mogły wyrwać się z domu. Tłumaczyłam ci, to nasza ostatnia szansa. I przestań mnożyć trudności i szukać pretekstu, żeby się wykręcić.

- Nie szukam pretekstu - oburzyła się Cecily, chociaż wiedziała, że to z jej strony beczelne kłamstwo.

Przed nimi majaczył budynek opery, czarna bryła na tle jaśniejszego nieba. Tylko gdzieniegdzie światła lamp na skwerze odbijały się w szybach, reszta tonęła w mroku.

- Jak się dostaniemy do środka? - szeptem spytała Cecily.

- Za sceną jest okno z wyłamany zamkiem.

- Skąd o tym wiesz?

Cecily z trudem łapała oddech. Zaczęło jej dukać kontuzjowane kolano. Nic dziwnego. Pięćdziesięciosześcioletnie kobiety po ośmiogodzinnym dyżurze w szpitalu nie nadają się do takich wyczynów.

- Od twojej matki. Maude jej powiedziała niedługo przed śmiercią. Biedaczka już nie zdążyła tego naprawić.

- To się dobrze składa.

- Właśnie. Druga korzystna okoliczność to to, że na służbie jest Damien Homier, nie Alain. Jest głupi jak noga stołowa.

Cecily nie podzielała jej opinii, lecz nie podjęła dyskusji na temat inteligencji najmłodszego stażem podwładnego jej syna. Tymczasem Marie wspięła się po lekko chwiejących się schodach przeciwpożaro-

wych i zatrzymała na pierwszym podeście. Najbliższe okno znajdowało się co najmniej pół metra od poręczy!

- Przytrzymaj mnie za pasek - nakazała Marie, sprawdzając, czy poręcz jest wystarczająco mocna.

Cecily zastosowała się do polecenia, obiema rękami chwyciła swoją towarzyszkę za pasek od spodni i nie zwracając uwagi na ból w kolanach, zaparła się mocno stopami. Marie przechyliła się przez barierkę i łomem usiłowała podważyć ramę. Rozległy się dwa potwornie głośne zgrzyty i okienko się otworzyło.

- Wchodzimy - oznajmiła Marie, sapiąc z wysiłku;

- Jak?!

- Wejdiesz na balustradę, przechylisz się, oprzesz brzuchem o parapet i zsuniesz się do środka - poinstruowała Marie, wspięła się na poręcz, chwyciła framugi, podciągnęła na rękach i zniknęła w mroku. Dwie minuty później Cecily wylądowało obok niej na pokrytej kurzem podłodze. - Nic ci się nie stało? - spytała Marie, świecąc sobie latarką.

- Chyba nie, ale od razu zadzwoń do Alaina, żeby przyjechał i nas aresztował, bo nie wracam tą samą drogą - uprzedziła.

Marie podała jej rękę i pomogła wstać.

- Trzymaj się mojego ramienia i staraj się nie skrócić nogi. Dopiero miałybyśmy kłopot. Tu kurtyna... Uważaj, teraz schodki...

Cecily nabrała wody w usta. Chętnie powiedziała by swojej towarzyszce, co o tym wszystkim myśli lecz zdana była całkowicie na nią. W egipskich ciemnościach Marie poruszała się tak pewnie, jak gdyby

droga była rzęście oświetlona, podczas gdy ona czuła się całkowicie bezradna.

Weszły do sklepu i od razu skierowały się w stronę mebli, które Guy z kolegami poprzesuwał zgodnie ze wskazówkami Sophie.

- Zapalam latarkę - oznajmiła Cecily. - Za dużo tu szkła i porcelany. Nie chcę niczego stłuc.

- Zgoda - odparła Marie, nawet nie starając się ściszyć głosu. - Tylko trzymaj ją do dołu. Nie chcemy, żeby ktoś, jeśli przypadkiem spojrzy w okna, zauważył ruszające się światło.

Cecily miała już tego wszystkiego dość.

- Nie musisz mi mówić takich rzeczy - obruszyła się. - Ale skąd ty tak się znasz na włamaniach?

- Z telewizji. Oglądam dużo seriali kryminalnych.

- Aha.

- Są tam... - szepnęła Marie, podkradła się do dużego kredensu i wyciągnęła z kieszeni plastikową torbę na zakupy.

Cecily nawet się nie obejrzała, tylko zerkała w okno. Za każdym razem, kiedy przejeżdżał samochód, serce podchodziło jej do gardła.

- No, gotowe - oznajmiła Marie.

- Zaczekaj! Słyszę jakiś samochód! - Strach zmroził krew w żyłach Cecily. Policyjny radiowóz zwolnił i zatrzymał się przed wejściem do budynku.

- To Damien Homier. Musiał zacząć patrolować ulice wcześniej niż zazwyczaj. Kryj się! Szybko!

Na ganku rozległy się kroki, snop światła z latarki



wpadł przez matową szybę w drzwiach, zastukała kołatka. Na szczęście po chwili usłyszały trzaśnięcie drzwi samochodu i warkot silnika.

Marie podczołgała się do Cecily przykucniętej za stolikiem i nakrytej koronkową serwetą.

- *C'mon* - szepnęła tak cicho, że Cecily ledwo ją usłyszała. - Zabieramy się stąd.

Cecily skinęła głową i na czworakach, nie zważając na bołące nogi, przeczłoła się na zaplecze. Tam usiadła skulona, głowę oparła na podciągniętych kolanach. A dotąd wszystko szło jak z płatka: chorzy kupowali leki za rozsądną cenę, kuzynka dostawała pięć procent od każdej recepty za stracony czas i kłopot, wypatroszone zabawki trafiały w czule ręce wnuków, siostrzenic i siostrzeńców, i wszyscy byli zadowoleni. No może z wyjątkiem Byrona Mckee, aptekarza, ale jeszcze się taki nie urodził, kto by każdemu dogodził.

- Chodź - ponagliła Marie, pomagając jej wstać!  
- Zmykajmy stąd, zanim Homier zajedzie od tyłu i znajdzie otwarte okno.

- Nawet o tym nie myśl.

Przeraziła ją wizja ich obu z płaszciami zarzuconymi na głowy, z rękami skutymi na plecach, prowadzonymi do więzienia Alaina. Nie potrzebowała; oglądać seriali, wystarczyły jej codzienne wiadomości, by wiedzieć, jak to wygląda.

A jednak los obszedł się z nimi łagodniej, myślała, kiedy było już po wszystkim i z rękami założonymi na głowę schodziły po schodach przeciwpożarowych

za osłupiałym młodym policjantem. Przynajmniej nie przyłapał mnie z nogami dyndającymi cztery metry nad ziemią i pupą w oknie. Nie, nie, Damien Homier kulturalnie czekał w połowie schodów przeciwpożarowych i kiedy Marie wysunęła głowę, by sprawdzić, czy droga wolna, zobaczyła tylko twarz i rękę z pistoletem.

- Policja - poinformował wcale nie aż tak głośno.

- Nie ruszać się!

- Uciekaj! - syknęła Marie do Cecily i kopnęła w jej stronę torbę z maskotkami. Potem, cały czas wychylona przez okno, podniosła obie ręce do góry.

- Nie strzelaj, Damien - zwróciła się do stróża prawa.

- To ja, Marie Lesatz.

- Ktokolwiek tam z panią jest, niech powoli otworzy drzwi przeciwpożarowe i wyjdzie z rękami nad głową - instruował policjant.

Cecily posłuchała rozkazu.

- A niech mnie! Pani Boudreaux! - Damien zrobił wielkie oczy.

- Nie mylisz się, to ja - rzekła Cecily.

Żałowała, że nie skorzystała z rady Marie i nie schowała się w ciemnościach na zapleczu sklepu, ale z drugiej strony Marie była jej przyjaciółką, a przyjaciel nie opuszcza się w biedzie. Wspólnie popełniły głupstwo i wspólnie poniosą konsekwencje.

- Tylko opuść ten pistolet, bo dostanę zawału - poprosiła.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Oboje śpią. Bogu *dzięki*. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Dana zabrudziła ci skórzaną tapicerkę

- Jest łatwo zmywalna - przyciszonym głosem odpowiedziała Sophie.

Zadziałał łagodny środek uspokajający, jaki lekarz na pogotowiu dał dziewczynce. Na szczęście Dana nie była poważnie chora, wymioty były spowodowane zbyt dużą ilością wrażeń, zbyt obfitym i ciężkostrawnym jedzeniem i niewyspaniem. Wszystkie te czynniki nałożyły się na siebie. Napoju elektrolitycznego, który jej podano, już nie zwróciła, a potem dostała jeszcze na wzmocnienie koktajl z proteinami o smaku czekoladowym.

To Guy, nie matka, namówił bladziutką zapłakaną Danę, aby grzecznie wykonywała polecenia lekarza dzięki czemu uniknęli czasochłonnej i przerażającej dla siedmiolatki procedury z kroplówką przeciwdziałającą odwodnieniu. Sophie nie weszła z nimi do gabinetu, lecz ściany w pogotowiu w Biloxi były cienkie jak papier i głosy rodzeństwa przenikały do poczekalni, gdzie siedziała na niewygodnym plastikowym krześle.

- Obie wiemy, że nigdy nie pozbyłabyś się tego

zapaszku - prychnęła Casey Jo, odchyliła się do tyłu w anatomicznym fotelu lexusa i oparła stopy o deskę rozdzielczą. - Boże, co za dzień! - westchnęła.

Sophie skupiła całą uwagę na drodze przed sobą. Zza ruszających się wycieraczek ścierających szyby uważnie przyglądała się światłom nadjeżdżającej z przeciwnej strony ciężarówce. Milczenie trwało może minutę, może dwie, potem Casey Jo dodała:

- Wolę to już mieć za sobą. Dotąd nie było czasu, lekarz, pakowanie, te wszystkie rzeczy, ale chcę ci podziękować, że przyjechałaś z Guyem po nas.

- Nie ma za co - automatycznie odrzekła Sophie.

- Bzdu... - Casey Jo urwała i obejrzała się za siebie sprawdzić, czy dzieci śpią. W tej samej chwili Sophie zerknęła w lusterko wsteczne i zobaczyła Danę wtuloną w opiekuńcze ramiona brata. Siedział wciśnięty w kąt, ze zwiniętą kurtką pod głową, usta miał otwarte i lekko pochrapywał. - Bzdury - powtórzyła. - To było z naszej strony potworne narzucanie się i mam jeszcze tyle dobrego wychowania, żeby podziękować komuś, kto na to zasłużył. Choć nie sądzę, że zrobiłaś to tylko z dobrego serca - dodała szczerze.

Sophie miała dużo czasu na przeanalizowanie motywów, jakie nią kierowały, i chociaż powtarzała sobie, że spełnia tylko dobry uczynek w duchu miłości bliźniego albo przyjaźni, doskonale wiedziała, że to kłamstwo. Zrobiła to, bo kocha Alaina i co za tym Idzie, kocha również jego dzieci. Uczyniła to tylko

i wyłącznie z tego prostego powodu, wywracając przy tym całe swoje życie do góry nogami.

- Jesteś zakochana w tym moim cholernym byłym mężusiu, tak? - Casey Jo nie patrzyła na Sophie, lecz w gęstniejący mrok przed sobą.

Nie miała dzisiaj głowy albo raczej czasu, żeby się uczesać i umalować. Wyglądała na zmęczoną, już nie taką młodą, nawet trochę zniszczoną życiem.

Sophie zastanawiała się, czy w ogóle odpowiadać, lecz oparła się pokusie zignorowania pytania.

- Owszem - przyznała.

Jeśli uda się jej i Alainowi stworzyć dla siebie wspólną przyszłość, ta kobieta nieuchronnie stanie się jej częścią. Nie zamierzała kolejny raz uciekać przed Casey Jo.

- Proponował ci ślub?

Casey Jo poprawiła się w fotelu, lecz nie zdjęła nogi z deski rozdzielczej.

- Nie. Nie rozmawialiśmy o małżeństwie.

- Ale ty go chcesz, tak?

- Tak. Chcę go. Całym sercem. To pragnienie od długiego czasu tkwiło głęboko we mnie. Ale Alain nigdy nie złamał przysięgi, jaką złożył tobie.

Casey Jo machnęła ręką.

- Wiem, wiem. Honor by mu na to nie pozwolił

- To dlaczego siedem lat temu oskarżyłaś na o romans?

- Bo byłam w ciąży, bez grosza, i chciałam, żeby do mnie wrócił. A wiedziałam, że tylko poczucie winy go do mnie przywiąże. Psiakrew, nadal byliby

śmy małżeństwem, gdyby mi się to wszystko nie znudziło aż tak, że rzuciłam to w diabły i wyjechałam. Najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłam dla siebie.

- Poświęciłaś swoje miejsce w sercach dzieci, żeby uganiać się za mrzonkami?

- Wciąż się uganiam. Nie moja wina, że to trwa tak długo. Ale wciąż mam nadzieję. Następny przystanek: Vegas.

- To po co w takim razie ciągle wracasz do Indigo? Przed chwilą znajdowałyśmy się tylko około dwadziestu mil od miejsca, gdzie teraz mieszkasz.

Casey Jo zrobiła chytrą minę.

- Dopiero by ci to pokrzyżowało plany, gdybym wróciła na stałe, he? Nie martw się. Mam chłopaka. Przywiezie mój samochód, kiedy go naprawią. Mieszkamy razem. Kiedyś się pobierzemy - dodała, a w jej głosie zabrzmiała obronna nuta. - Jesteśmy ze sobą już od prawie roku - ciągnęła. - Jest szefem sali w kasynie, gdzie ja pracuję jako krupierka i rozdaję karty w blackjacku. Uważa, że mogłabym zostać śpiewaczką, na przykład w jakimś dużym hotelu, a nie w żadnych podejrzanych knajpach na obrzeżach Vegas. Wierzy we mnie. Pomaga mi znaleźć nowego agenta. Za kilka miesięcy ruszamy do Vegas. To dlatego tak mi zależało na tej wycieczce z dziećmi. Po wyjeździe z Missisipi długo nie będę mogła się g nimi zobaczyć.

- I to jest to, czego w życiu pragniesz? - wyrwało się Sophie. - Przepraszam, nie powinnam tego mówić - dodała pośpiesznie.

- Nie masz za co przepraszać. Mogłabym ci zadać to samo pytanie. Zostawiłabyś to wszystko? - Gestem wskazała wewnątrz luksusowego auta, lecz miała na myśli pracę, mieszkanie, całe życie w Houston.

- Żeby zyskać to, co ty porzuciłaś?

Casey Jo zamrugła oczami, kiedy doszło do niej pełne znaczenie tych słów.

- Uważasz, że wyjeżdżając i zostawiając dzieci, przegrałam jako matka, tak?

- Ja bym tak nie postąpiła - odparła Sophie.

- Pewnie nie. Ale ty nie urodziłaś się po niewłaściwej stronie drogi, w małej miejscinie, gdzie twoja matka pracowała w nocnym barze, a ojciec odszedł w siną dal tak dawno, że nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Poza tym, kiedy zostanę sławna i bogata, oni podziękują mi za to. Kiedy dorosną, wszyscy będziemy przyjaciółmi.

Sophie przypomniała sobie zacięty wyraz twarzy Guya, kiedy odnaleźli jego matkę i siostrę na przedmieściach Biloxi, w podrzędnym hoteliku, na którego ścianach widać było ślady zniszczeń spowodowanych przez huragan. W uszach zabrzmiał jej znowu gniewny głos chłopaka, kiedy spierał się z matką, że muszą zawieźć Danę do lekarza. Pomyślała, że chyba musiałby się zdarzyć cud, by marzenie Casey Jo się ziściło.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzekła.

- Boże! - Casey Jo potrząsnęła grzywą czarnych włosów. - Aż mnie mdli od tej twojej dobroci. Dobraliście się z Alainem jak w korcu maku. - Ponownie obejrzała się za siebie na śpiące dzieci. Sophie uda-

wała, że nie widzi malującego się na jej twarzy bólu zmieszanego z zadowoleniem. Kiedy Casey Jo znowu się odezwała, jej głos brzmiał łagodniej, mniej zaczepnie. - Nie jestem kompletną idiotką. Lepiej im będzie z ojcem, obie o tym wiemy.

Nagle Dana przeciągnęła się i piąstkami potarła oczy.

- Gdzie jesteście, mamusiu?

- Mniej więcej w połowie drogi, kochanie. Znowu jest ci niedobrze?

Dana zamknęła oczy i skrzywiła się. Sophie na wszelki wypadek zaczęła się rozglądać, szukając miejsca, gdzie mogłaby stanąć.

- Nie - odpowiedziała dziewczynka po chwili.

- Nie będę rzygać. Ale pić mi się chce. I siku.

- Zatrzymamy się przy następnym zjeździe z autostrady - obiecała Sophie.

Tymczasem Guy również się obudził.

- Gdzie jesteście? - spytał i wyjrzał przez szybę, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność.

- Mniej więcej godzinę drogi przed Indigo. Powinniśmy dotrzeć na miejsce w pół do dziewiątej albo wcześniej.

- Tylko półtorej godziny po czasie - skomentował z nutą dumy w głosie, jakby dokonał tego, co zamierzył.

- Jeść mi się chce - marudziła Dana. - W brzuchu mi burczy.

- Tam chyba będzie jakiś McDonald? - odparła Sophie z lekkim powątpiewaniem w głosie.



- Zjadłbym dużego hamburgera i największe frytki - odezwał się Guy.

- Lekarz ostrzegął, że przez dzień lub dwa Dana może jeść tylko bardzo lekkostrawne potrawy. Jak sądzisz - Sophie zwróciła się do Casey Jo jako do matki, chociaż ta rola tak jej nie odpowiadała - burger z kurczaka albo skrzydełka się chyba nie nadają?

- Zwróci je w pięć minut - przytaknęła Casey Jo.

- Może lody albo koktajl proteinowy, który nam dali, złagodzi jej trochę głód, zanim dotrzemy do domu?

- Albo jogurt? - wtrąciła sama zainteresowana.

- Mają jogurt z owocami na wierzchu. Bardzo to lubię.

- Znak, że wracasz do zdrowia. - Casey Jo uśmiechnęła się szczerze do Sophie, która odwzajemniła się takim samym uśmiechem.

Wątpiła, że kiedykolwiek zostaną przyjaciółkami, ale może, ze względu na dzieci, jeśli nie na Alaina, zawrą pakt o nieagresji.

- Kiedy się zatrzymamy, wezmę pełny bak benzyny.

- Jest jeszcze prawie połowa - zauważyła Casey Jo. - Starczy do Indigo.

- Jutro wracam do Houston. Zaoszczędzę trochę czasu, jak wezmę paliwo dzisiaj.

Casey zerknęła za siebie. Guy zajęty był ubieraniem Dany w sweter i wygładzaniem pogniecionej kurtki. Oboje nie zwracali uwagi na rozmowę dorosłych, przynajmniej nie w tej chwili.

- Myślałam, że zostajesz w Indigo - rzekła Casey Jo.

- Nie mogę - równie szczerze odpowiedziała Sophie. - Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Alain przebudził się z krótkiej drzemki. Siedział w fotelu z uszakami zajmującym honorowe miejsce przed dużym oknem w salonie. Był to doskonały punkt obserwacyjny. Z tego miejsca mógł śledzić, co się dzieje na ulicy i z prawej, i z lewej strony.

Nie chciał przysypiać, ale miał za sobą ciężki dzień i sen go morzył. Dom pogrążony był w mroku i ciszy, nikt nie włączył telewizora ani radia, nikt nie rozmawiał przez telefon. Uświadomił sobie nagle, że matka nie wróciła jeszcze od *Mamere* Yvonne, chociaż wyszła ponad godzinę temu...

Dziwne, że nie przyszły dotrzymać mi towarzystwa, pomyślał. Zerknął na fluoryzującą tarczę zegarka. Kilka minut po ósmej. Odkąd minęli Baton Rouge, nie miał żadnej wiadomości od Guya ani od Sophie. Jeśli jada z maksymalną dozwoloną prędkością i jeśli Dana nie zaczęła znowu wymiotować, lada chwila powinni tu być.

Z Casey Jo.

Wstał, splótł palce, odwrócił dłonie i przeciągnął się, potem wsunął ręce do kieszeni dzinsów. Podszedł do drzwi frontowych i zapalił lampę. Nie mógł przestać się zastanawiać, jak Sophie znosi długą jazdę z jego byłą żoną, która zawsze lubiła dyrygować wszystkim i wszystkimi.

Z daleka zobaczył reflektory nadjeżdżającego airta. Serce забиło mu mocniej, kiedy samochód zwolnił i skręcił na podjazd. Nie, to nie jest blazer matki, tylko nisko zawieszony lexus Sophie. Podbiegł do nich, jeszcze zanim Sophie zdążyła zaparkować. Tylne drzwi otworzyły się, wysiadł Guy i przeciągnął się, dokładnie w ten sam sposób, jak przed chwilą zrobił to jego ojciec. Potem zanurkował do wnętrza samochodu, a po chwili ukazał się już z Daną, która owinęła mu nogi wokół pasa, a ręce zarzuciła na szyję.

- Tata! - wykrzyknęła mała, potem, jak gdyby nagle sobie przypomniała, że jest chora, skłoniła na bok głowę i poskarżyła się: - Tato, niedobrze mi.

- Alain wziął ją w objęcia. - Rzygałam i rzygałam.

- Czuję - odparł i pociągnął nosem. - Coś chyba ci zostało we włosach.

- I na ubraniu - opowiadała. - Musieliśmy zaparkować moje rzeczy do plastikowej torby, bo tak strasznie śmierdzą. - Schowała mu głowę na piersi i rozpłakała się. - Stęskniłam się za tobą. Nie lubię chorować, kiedy ciebie nie ma.

Alain spojrzał ponad jej głową na Casey Jo, która właśnie okrążyła samochód i znalazła się na tyle blisko, by usłyszeć te słowa. Sophie również wysiadła i stała z ręką opartą na drzwiach od strony kierowcy. Ona też słyszała, co powiedziała Dana. Oczami przepełnionymi współczuciem śledziła Casey Jo.

Alain nie miał cienia wątpliwości, że ona nigdy by tak nie postąpiła w stosunku do Guya i Dany, trwałaby przy nich, dopóki tchu by jej starczyło.

- Niewiele się spóźniłyśmy - odezwała się Casey Jo, ignorując uwagę córki, chociaż musiała ją zaboleć.

- Tylko dzięki temu, że Sophie zgodziła się być kierowcą Guya - ostro zareagował Alain.

- Gdybyś dał mi odetchnąć świeżym powietrzem, zanim mi skoczysz do gardła, zdażyłabym powiedzieć, że jestem jej bardzo wdzięczna za to, co dla nas zrobiła - odparła ostro.

Oczy jej błyszczały gniewem, lecz czaił się w nich cień urazy oraz żalu. Może zrozumiała, jak bardzo brakuje jej bliskości syna i córki, lecz za nic nie przyznałaby się do tego.

Guy zajął się wyjmowaniem walizek z bagażnika, natomiast Dana uniosła głowę i przysłuchiwała się rozmowie dorosłych.

- Wejźmy lepiej do środka, kochanie - rzekł Alain. - Wykopiesz się i położysz do łóżka, dobrze? Jedliście kolację?

- Zatrzymaliśmy się w McDonalddie. Jadłam lody i jogurt. Jestem zmęczona. Spać mi się chce - marudziła Dana. - Gdzie babcia? - spytała, kiedy Alain zaczął z nią wchodzić po schodkach.

- Zaczekasz? - zwrócił się do Sophie.

Bał się, że odjedzie, jeśli jej nie poprosi, żeby tego nie robiła.

Casey Jo obejrzała się przez ramię na Sophie, potem spojrzała się do Alaina i przewróciła oczami.

- Jesteś żałosny - skomentowała. Wyciągnęła ręce i dodała: - Daj mi ją. Jeszcze potrafię znaleźć

drogę do łazienki w tym domu. Położę Danę spać, potem zadzwonię do matki, żeby po mnie przyjechała. Będiesz miał kilka minut na ostatnią pogawędkę z Sophie i przekonanie jej, żeby została w tej zapyziałej dziurze - prychnęła.

Dana uwolniła jego szyję i dała się wziąć matce na rękę.

- Powodzenia...

- Czekam na ciebie, tato! - zawołała dziewczynka. - Przyjdiesz mnie okryć?

Alainowi ponownie wydawało się, że przez twarz jego byłej żony przemknął cień bólu, lecz jeśli naprawdę tak było, to trwało to nie dłużej niż ułamek sekundy.

- Tyle wydałam na ciebie w Disney Worldzie, a ty chcesz, żeby to tata przykrył cię kołderką? - odezwała się do córki niby żartem.

Dana nie dała się wciągnąć w tę grę.

- Tak - rzekła krótko, uwolniła się z objęć matki i o własnych siłach weszła na ganek.

- Niewdzięczna smarkula - rzuciła Casey Jo lekko łamiącym się głosem.

- Zaraz do was przyjdę! - zawołał Alain, patrząc Sophie w oczy i nie ruszając się z miejsca.

- Idź do niej - rzekła Sophie tonem pozbawionym emocji. - Później możemy porozmawiać.

- Pomogę Casey Jo położyć Danę - zaoferował się Guy, który z walizkami w obu rękach pojawił się obok nich. - Gdzie babcia? Myślałem, że razem z babcią Marie będą czekać na nas na chodniku.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest babcia Marie. Babcia Cecily pojechała do *Mamere* Yvonne. Ale spodziewałem się ich tutaj razem dobre czterdzieści minut temu.

- Zadzwoń do nich - zdecydował Guy, patrząc na ojca, potem na Sophie. - Dziękuję za pomoc, Miss Sophie.

- Nie ma za co - odpowiedziała. - I najwyższy czas, żebyś mi mówił po imieniu - dodała. - Nie wiem jak ty, ale po dzisiejszym dniu czuję, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi i możemy dać sobie spokój z tymi ceregielami.

Guy zerknął na ojca, jak gdyby chciał uzyskać jego aprobatę. Alain lekko skinął głową.

- Dzięki, Sophie - rzekł. - Mam trochę zarobionych pieniędzy. - Urwał i lekko się zaczerwienił. - Chciałbym ci zwrócić za benzynę.

Alain widział, że Sophie intensywnie zastanawia się, jak postąpić. Gdyby odrzuciła propozycję chłopaka, uczyniłaby go swoim dłużnikiem. Gdyby zgodziła się przyjąć od niego pieniądze, zapewne pozbawiłaby go wszystkich oszczędności. Niemniej Guy prosił ją o ogromną przysługę i wolałby, by syn zdawał sobie sprawę, ile ta podróż kosztowała czasu i pieniędzy.

- Doceniam twoją propozycję - zaczęła Sophie z tym swoim cudownym uśmiechem - i sądzę, że dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Jak wiesz, wracam do Houston, a pani Prejean zajmie się sklepem. Chciałabym, żeby mogła liczyć na ciebie, gdyby

tylko potrzebowała jakiegokolwiek pomocy. To by znaczyło dla mnie więcej niż pieniądze.

Alain zacisnął zęby, żeby się nie uśmiechnąć na widok nie całkiem dobrze skrywanej ulgi, jaka się odmalowała na twarzy Guya, gdy usłyszał tę propozycję.

- Bardzo chętnie pomogę w sklepie - odparł.  
- Wstąpię tam jutro po szkole, przedstawię się pani Prejean i dam jej numer swojej komórki.

- Zdejmiesz mi kamień z serca.

- Teraz lepiej już pójde pomóc Casey Jo, bo doprowadzi Danę do takiego stanu, że znowu zacznie rzygać. - Mijając ojca, dodał: - Wybiera się do Las Vegas. Wiedziałaś?

- Nie. Pierwszy raz o tym słyszę.

- Ja też. Ma faceta, który obiecał załatwić jej tam pracę. Będzie śpiewać. - Zamilkł i przewrócił oczami. - Aha, pamiętasz naszą rozmowę? Nie przeszła próby.

Alain patrzył, jak syn wchodzi po schodach z wielką walizką matki w jednej ręce i dziecinną walizeczką siostry w drugiej, a potem podszedł do Sophie, która cały czas stała, chowając się za drzwiami samochodu jak za tarczą.

- Złapałeś tych uciekinierów? - zapytała.

Zacisnęła palce na brzegu drzwi i oparła na nich podbródek.

- Nawet nie zdążyli opuścić Nowego Orleanu - odparł, nie kryjąc oburzenia i złości z powodu straconego czasu. - Po dzisiejszej kompromitacji już

teraz na pewno wystartuję w następnych wyborach na szeryfa.

- I wygrasz.
- Chciałem dołączyć się do podziękowań Guya
- zmienił temat.

- Proszę bardzo. Mam nadzieję, że nie uważasz, że wtykam nos w wasze sprawy.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał i podszedł do niej z boku, tak że musiała puścić drzwi i odwrócić się w jego stronę. - Zbierasz dobre uczynki?

- To prawda, że chciałam pomóc Guyowi... ale był też inny powód.

Teraz podniosła na niego wzrok. Alain poczuł, jak serce przestaje mu bić w piersi. W spojrzeniu Sophie było tyle uczucia, które lękał się nazwać. Nie zważając na sąsiadów, wyciągnął do niej ramiona.

W tym samym momencie odezwał się dzwonek jego komórki. W pierwszej chwili chciał go zignorować, cisnąć aparatem o chodnik, lecz się zreflektował. Tylko matka, Guy i dyspozytor na posterunku policji znali ten numer. Trudno, obowiązek nakazuje odebrać.

- Boudreaux - warknął, nie spuszczając wzroku z Sophie.

- Szefie, tu Homier - odezwał się trochę niepewny głos młodego policjanta. - Niech szef jak najszybciej przyjeżdża.

- O co chodzi?

Alain nie miał zamiaru ruszać się z miejsca, dopóki Sophie Clarkson nie zgodzi się zostać jego



żoną. Chyba że chodzi o morderstwo albo poważną burdę.

- Nie wiem, jak to powiedzieć...
- No, wyrzucić to z siebie!
- Szefie, mamy pańską matkę i teściową. Złapałem je na gorącym uczynku, jak się włamywały do opery.

scandalous

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Alain własnym oczom nie mógł uwierzyć, kiedy pchnął drzwi prowadzące do tymczasowego aresztu i zobaczył dwie kobiety zamknięte w ostatnim boksie. Pilnował ich Damien Homier, siedzący za biurkiem ustawionym przed wejściem do cel.

Jego własna matka i teściowa w jego własnym więzieniu! To był widok przechodzący najśmielsze wyobrażenia.

- Szczegóły, Homier - warknął na chłopaka. - I otwórz celę. One się nigdzie nie wybierają.

- Mówiłam mu dokładnie to samo - odezwała się Cecily, wstając z pryczy.

Na widok Sophie idącej tuż za Alainem gwałtownie się zarumieniła i zamilkła.

- Zakuł nas w kajdanki - oświadczyła Marie z pretensją w głosie, kiedy młody policjant zerwał się z krzesła, by wykonać polecenie przełożonego.

- Panie były dwie - Damien zaczął się tłumaczyć.  
- Nie mogłem ryzykować ucieczki.

- Taka jest procedura. - Alain uciał dalsze skargi Marie. - Co, do diabła, robiłyście w budynku opery?

Cecily zerknęła na Marie, potem utkwiała wzrok

w plastikowej reklamówce stojącej na porysowanym i poplamionym stole.

- Musiałyśmy zabrać kilka rzeczy z Dawnych Dobrych Czasów, które tam przez pomyłkę zostawiłyśmy.

Alain podszedł bliżej i zajrzał do torby. Czuł, że Sophie patrzy mu przez ramię. W torbie były znane już im maskotki o astronomicznych cenach.

- O co chodzi z tymi zabawkami? - spytał i wyjął nieszczęsną żabę z przymocowaną do nóżki metką, opiewającą na osiemdziesiąt dwa dolary, tą samą, którą oglądał dwa dni temu.

- Ta torba jest warta ponad dwa tysiące dolarów - poinformował Homier, przybierając obronny ton.

- Niczego więcej nie znalazłem przy podejrzanych.

- Obmacywałeś moją matkę! - wyrwało się Alainowi.

- Nie, nie. Sprawdziłem tylko paniom kieszenie, na wypadek, gdyby coś w nich było schowane - tłumaczył się policjant.

Homier był przyzwoitym chłopakiem, weteranem z Iraku, żołnierzem żandarmerii wojskowej, jak kiedyś Alain. Alain założyłby się, że nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Machnął ręką, by przerwać te tłumaczenia, i skierował całą uwagę na matkę.

- Mamo, Marie, kawa na ławę. Teraz. Zaraz.

Dla większego efektu pomachał w ich stronę trzymaną w ręku żabą.

- To nasza własność - broniła się Marie. - Zabrałyśmy tylko to, co do nas należy.

- Skoro te zabawki należą do was, to dlaczego nie zwróciłyście się z tym do mnie? - wtrąciła Sophie i natychmiast się zreflektowała. - Przepraszam, nie ja tu jestem od zadawania pytań.

- Pytaj. Włamały się przecież do twojego sklepu. - Alain uświadomił sobie nagle, że przybiera zniestanowioną przez Casey Jo „minę gliny”. Doszło do niego, że inne kobiety w jego życiu musiały reagować podobnie, ale trudno, atmosfera komisariatu tak na niego działa. Był jednak przekonany, że Sophie się przyzwyczai. Jest wyrozumiała. No tak, pomyślał, ale teraz przesłuchujesz własną matkę, więc staraj się odprężyć. Spojrzał wymownie na podwładnego i rzekł: - Chyba możemy się umówić, że to będzie poza protokołem?

Młody policjant podniósł rękę jak do składania przysięgi.

- Jasne, szefie! - Wyrężył się, potem wbił wzrok w punkt przed sobą, jak gdyby chciał zaznaczyć, że stał się niewidzialny.

- Pani Boudreaux... - zaczęła Sophie.

- Dla ciebie Cecily.

- Cecily - Sophie odwzajemniła uśmiech - proszę, wyjaśnij nam, o co właściwie chodzi z tymi zabawkami. Są wdzięczne, ale ich jakość nie usprawiedliwia tak wysokiej ceny. I nie... nie pasują do asortymentu, jaki moja matka chrzestna gromadziła w sklepie. Jeśli należą do ciebie, dlaczego nie poprosiłaś o ich wydanie za pierwszym razem, kiedy przyszłaś do Dawnych Dobrych Czasów? - Wyjęła

z torby puszystego kotka, obróciła w dłoniach i przeczytała cenę: - Sześćdziesiąt siedem dolarów. Nie pojmuje.

- Naciśnij mu brzusek - poinstruowała Cecily. Sophie posłusznie wykonała polecenie.

- Co to takiego?

- Fiolka z pastylkami - wyjaśniła Marie. - W tych maskotkach przemycamy leki.

Alain poczuł, że szczeka mu opada, i z głośnym zgrzytem zacisnął zęby. Homier zakasłał, jak gdyby coś utkwilo mu w gardle.

- Słucham? - zagrzmiął Alain. Czyli ta żaba jest mrówką, tak? - Spojrzał na zabawkę, którą cały czas trzymał w ręku, Ścisnął ją mocno i pod palcami wyczuł twardy walec.

- Mrówka? - zdziwiła się Cecily.

- Mrówka to ktoś, kto przemycza narkotyki we własnym żołądku - syknęła Marie, przewracając oczami. - Czy ty nigdy nie oglądasz wiadomości w telewizji?

Alan wyciągnął z kieszeni scyzoryk i przeciął materiał, Z brzucha żaby wypadła brązowa fiolka. Spojrzał na etykietę, potem przeczytał na głos:

- Yvonne Valois! Bisophl... Jak do diabła się to wymawia? - zirytował się.

Nazwa składała się z co najmniej dziesięciu sylab.

- To lekarstwo na ciśnienie twojej babki - wyjaśniła Cecily. - Nie przemycamy żadnych nielegalnych specyfików. Tylko normalne lekarstwa. Z Kanady.

- Ale dlaczego?
- Bo tutaj są albo za drogie, albo władze nie dopuszczają ich na rynek. Tak jak te w misiu. Ukradłam go, kiedy byliśmy w sklepie z Daną, Sophie. Tam były leki przeciwnowotworowe dla Wi...
- Przestać kablować - skarciła ją Marie.
- Dobra. - Cecily wyglądała, jak gdyby miała ochotę się rozpłakać, lecz duma jej na to nie pozwalała. - Większość ludzi, dla których sprowadzamy te lekarstwa, nie ma ubezpieczenia zdrowotnego albo innych uprawnień do zniżki na leki. Dawniej każdy składał zamówienie osobno, lecz około dwóch lat temu policja federalna zaczęła nas nękać listami z pogrózkami, że łamiemy prawo.
- Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego - wtrąciła Marie. - Zawsze sądziłam, że nabywanie towaru po najkorzystniejszej cenie jest bardzo amerykańskie.
- Skrzyżowała ramiona na piersiach i wbiła wzrok w Alaina. - Rządu nie powinno obchodzić, gdzie kupuję środki na obniżenie cholesterolu. Tak mi się przynajmniej wydaje - dodała już mniej butnym tonem.
- Okropnie mi przykro - zaczęła Cecily. - Gdyby Maude żyła choć dzień dłużej, zabrałybyśmy dostawę i rozprowadziły leki między ludzi, którzy już za nie zapłacili.
- A ja wciąż nie mogę pojąć, co w tym złego, że zabrałyśmy coś, co do nas należy - z uporem powtórzyła Marie.
- Wtargnęłyście na teren prywatny i bez zgody

właściciela zabrałyście stamtąd pewne przedmioty - wyjaśnił Alain. Napięcie ustąpiło. Rozluźnił się, chociaż nie pozwolił sobie na uśmiech. - Wartościowe przedmioty - dodał. - Obawiam się, że bez wiarygodnego dowodu, że to wasza własność, można wam postawić zarzut przestępstwa.

- Gdzieś jest jakaś lista. Moja kuzynka zawsze ją przysyła osobno, ale znaleźcie Maude... - Cecily zamilkła i przygryzła wargi. - Przestępstwo? - spytała, jak gdyby dopiero teraz doszło do niej, co powiedział Alain. - Naprawdę chcesz nas posłać do więzienia?

- Właściwie to oddaliśmy Sophie przysługę - upierała się Marie. - Co by było, gdyby ktoś zauważył zepsuta zasuwkę w oknie? Ten cały alarm jest podłączony tylko do okien na parterze. Prawdziwi bandyci mogli się włamać i splądrować sklep. Podłożyć ogień. To dopiero byłaby sensacja.

- A gdybym zrezygnowała z wnoszenia oskarżenia - odezwała się Sophie - to co wtedy?

- Wtedy można by było uznać, że doszło tylko do bezprawnego wejścia na teren prywatnej posiadłości. To niniejszy zarzut.

- Alainie!

- Homier - Alain zwrócił się do podwładnego - sporządziłeś raport z zatrzymania?

- Ehm... - policjant zająknął się i poczerwieniał - właściwie to nie, szefie. Nie byłem pewien, jak to zakwalifikować - tłumaczył się niezbornie.

- Są jakieś szkody?

- Tak jak panie mówią, zasuwka jest zepsuta, ale

trudno udowodnić, że to one zrobiły. Rama okienna nie nosi śladów uszkodzenia. Sprawdzałem.

- Na wszelki wypadek zajrzemy do rejestru drobnych wykroczeń - zdecydował Alain.

- Nigdy nie dostałam mandatu za przekroczenie prędkości i doskonale o tym wiesz - odezwała się Cecily, czując, że kryzys minął.

- Ani ja - wtrąciła Marie. - No, może jeden czy dwa - poprawiła się.

- Skoro obie po raz pierwszy weszłyście w kolizję z prawem i jeśli Sophie się zgodzi, uznam sprawę za zamkniętą.

- Oczywiście, że się zgadzam - pospiesznie zapewniła go Sophie. - Nic nie zostało uszkodzone, poza tym dowiedziałam się o zepsutym zamku, za co dziękuję. Więc rozejdźmy się do domów. - Wzięła torbę z maskotkami i wręczyła ją Cecily. - Rozumiem, że to należy do ciebie - dokończyła.

- Dziękuję. - W głosie Cecily słychać było ulgę.

- I ja również - rzekła Marie. Zajrzała do torby, jak gdyby chciała sprawdzić, czy nie brakuje żadnego zwierzaka, potem wzięła ją od Cecily i otwartą wyciągnęła w stronę Alaina. - Wrzuc tu tę żabę - poleciła. - Twoja babka czeka na leki.

Teraz Alain poczuł, że oblewa się rumieńcem. Wrzucił wybebeszoną żabę i fiolkę z pastylkami do torby, jak gdyby parzyły.

- Odwiozę cię do domu, mamó - rzekł.

- Mój samochód stoi przed domem babci. Miała mi dostarczyć alibi - poinformowała ich Cecily.



Homier wydał stłumiony chichot i zrobił taką minę, jak gdyby chciał się znaleźć jak najdalej od tego miejsca.

- Już nic więcej nie mów, mamó - ostrzegł Alain tonem zdradzającym, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. - Masz prawo do milczenia. Zawiozę cię teraz do *Mamere* po samochód. Marie, chcesz się zabrać z nami? - zwrócił się do byłej teściowej. - Casey Jo jest u nas, z Daną.

- Dzięki, przejdę się. Zaparkowałam na tyłach restauracji. Spotkamy się na miejscu, dobrze? Chcę zobaczyć naszą ślicznotkę i na własne oczy się przekonać, że nic jej nie jest.

- W takim razie zabiorę się z tobą, Marie - odezwała się Cecily. - Jesteśmy wolne? Możemy już iść?

- Obiecuję, że to ostatnia taka dostawa - zażądał Alain. - Jeśli inni chcą dalej zamawiać lekarstwa w Kanadzie, nie mogę im zabronić. Ale nie będę tolerował przemytu pod własnym nosem. Zrozumieliśmy się?

- Ale...

- To nie ja ustanawiam prawo. Jesteście dobrze zorganizowaną grupą. Zaczniście lobbować na rzecz zmiany prawa, najpierw stanowego, potem federalnego. Wówczas wszyscy na tym skorzystamy, a ja już nigdy nie będę musiał wyciągać własnej matki z więzienia.

Po wyjściu z komisariatu Sophie zamierzała jechać prosto do pensjonatu, lecz pod wpływem impul-

su zatrzymała się przed operą. Księżyc wzeszedł, wiatr rozpedził chmury.

Oparła ręce o kierownicę i uśmiechnęła się do siebie. Co za dzień! Już dawno nie czuła się taka zmęczona. Lecz był to ten rodzaj zmęczenia, któremu towarzyszy satysfakcja z pomyślnego zakończenia jakiejś sprawy. Za kilka minut pojedzie do La Petite Maison, dokończy pakowanie i weźmie gorącą kąpiel, ale przedtem porozmawia z Alainem. Nie miała wątpliwości, że za chwilę nadjedzie, a wewnątrz opery jest najwłaściwszym miejscem na to spotkanie.

Wysiadła i spojrzała na fasadę budynku. Miedziany wiatrowskaz na szczycie kopuły odbijał światło księżyca. Wyjęła z kieszeni klucze i otworzyła drzwi. W wejściu zatrzymała się, wdychając znajomy zapach potpourri i minionych czasów.

Teraz była już pewna, że nie zlikwiduje sklepu, zastanawiała się tylko, czy zostanie w tym miejscu. Maude wprowadziła się tutaj, kiedy opera była zagrożona i popadała w ruinę. Dzięki pieniądzom, jakie płaciła za wynajęcie lokalu, wykonywano bieżące remonty. Może przebywający daleko stąd kanadyjski właściciel chętniej zgodzi się na sprzedaż zabytku miastu, jeśli nie będzie miał lokatora? Obejrzała się na pogrążony w półmroku skwer i sklepy po przeciwnej stronie. Na pewno mogłaby się przenieść do jednego z tych lokali opuszczonych po huraganie i urządzić tam antykwariat z prawdziwego zdarzenia.

Postanowiła spytać Alaina, co o tym sądzi.

Weszła dalej, na widownię, zapalając po drodze jedną z lamp. Wpadające przez okna światło księżyca rozpraszało mrok na tyle, że można było rozróżnić rzędy krzeseł i otwór sceny częściowo zasłoniętej kurtyną. Wokół siebie wyczuwała sprzęty, które Guy wraz z kolegami poustawiali zgodnie z jej wskazówkami. Za pieniądze ze sprzedaży szeszlongu i kilku innych antyków, które pojedą do Nowego Orleanu, kupi nowe przedmioty, lecz reszta pozostanie.

Łącznie ze skrzypcami, dziełem lutnika Delacroix, na których Alain kiedyś dla niej zagra.

I właśnie w tej samej chwili, kiedy o nim pomyślała, usłyszała kroki ukochanego na schodach, a potem otwieranie drzwi.

- Sophie?

Na dźwięk jego głosu dostała gęsiej skórki. Zaczęła rozcierać ramiona, jak gdyby chciała się rozgrzać. Nareszcie mogą być razem. Tak długo czekali na ten moment. Okoliczności wymagały, aby zaczęli jeszcze odrobinę dłużej, lecz zwłoka będzie już bardzo niewielka.

- Tu jestem, Alainie - odezwała się i stanęła w promieniach księżyca wpadających przez jedno z wysokich okien.

- Zobaczyłem twój samochód - rzekł, podchodząc bliżej. - Przyznam się, że miałem nadzieję, że nie pojedziesz od razu do pensjonatu.

- Czekałam na ciebie. Jak Dana?

- Bierze kąpiel, a mama i Marie skaczą wokół niej. Zażyczyła sobie grzanek i ciepłe mleko. Babka

zabrała Casey Jo do kuchni na „poważną” rozmowę, a Guy zamknął się u siebie, włożył słuchawki i słucha płyt.

- Spisał się na medal. Chciałam, żebyś o tym wiedział.

- W przeciwieństwie do Casey Jo.

- Starła się, jak mogła.

- Ale wyszło jak zwykle. Dzieciakom to nie wystarczy.

- Przykro mi, ale to nie twoja wina.

- Postaram się nie zapomnieć. Obiecałem Danie, że przyjdę powiedzieć jej dobranoc - dodał z nutą żalu.

- Oczywiście. Nie sędzę, żeby ustalenie, co nas łączy, zabrało nam dużo czasu.

Uśmiechnęła się do niego, lecz w ciemności tego nie zobaczył. Cały czas stał w drzwiach.

- Nadal wybierasz się jutro do Houston?

- Muszę.

- Skoro wyjeżdżasz, to o czym mamy rozmawiać?

- O wielu sprawach. - Sophie pewnym krokiem podeszła do niego. W ciągu kilku ostatnich dni to ona była niezdecydowana, nie potrafiła zobaczyć wyraźnie, czego w życiu pragnie. Ale to minęło. Dzisiaj uświadomiła sobie, co może zyskać, jeśli zdobędzie się na odwagę. - Ale zacznę od jednej, najważniejszej. Kocham cię, Alainie. Od tamtego pierwszego lata. Czasami nawet wbrew sobie. Nawet wtedy, kiedy nie powinnam.

- To dlaczego wyjeżdżasz?

- Bo w Houston została część mojego życia. Tam są moi rodzice. Moja praca. Wszystko muszę jakoś uporządkować. Podczas jazdy do Biloxi wiele sobie przemyślałam. Nie chcę rzucać tego, co robię. Wielkie uniwersytety mają całe wyspecjalizowane zespoły do pozyskiwania sponsorów, ale nie każda uczelnia może sobie pozwolić na taki wydatek. I tutaj zaczyna się moja rola. Przy winie, przy kolacji, staram się oczarować potencjalnych filantropów i wskazać, jak wiele mogą uczynić dla przyszłości. Pozyskuję donatorów dla bibliotek, laboratoriów naukowych, nawet stadionów. Jestem w tym dobra. Musi być jakiś sposób, żebym mieszkając tutaj, z tobą, mogła kontynuować to, co robię. Potrzebuję tylko czasu, żeby to jakoś urządzić.

- Na pewno ci się uda. Boże, a ja się spodziewałem, że mi powiesz, że nie dasz rady udźwignąć tego wszystkiego, co razem z moimi dziećmi zaprezentowaliśmy ci przez ostatnie kilka dni. Bałem się, że weźmiesz nogi za pas i uciekniesz, jak Casey Jo. Już nigdy nie okażę tak małej wiary w ciebie.

- Trzymam cię za słowo.

Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Czeka nas wyboista droga. Jesteś na to przygotowana?

- Jak najbardziej. Niczego bardziej w życiu nie pragnę. Tu. Teraz. Zawsze.

Pocałował ją i wiedziała, że już do końca życia zostanie w Indigo.

- Musimy gdzieś mieszkać - powiedział, odrywając od niej wargi. - Zgodzisz się sprzedać domek Maude, gdyby trafił się odpowiedni kupiec?

- Dla rodziny jest za mały - przyznała z żalem.

Nie rozmawiali jeszcze o tym, ale oboje wiedzieli, że Dana i Guy będą mieli rodzeństwo.

- Dla mojej matki będzie w sam raz - zauważył i palcami przeczesał włosy Sophie. - Odnoszę wrażenie, że jest już gotowa wyprowadzić się z dużego starego domu, a ja jestem gotowy zapełnić go nowymi dziećmi. Co ty na to?

- Z ust mi to wyjąłeś.

- Dobrze. Czyli tę sprawę już załatwiliśmy. Zapomnieliśmy o czymś jeszcze?

- Dobrze by było pomyśleć o ślubie.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że nie będzie to huczne wesele w klubie golfowym za miastem.

- Dobrze. No i mógłbyś powiedzieć, że mnie kochasz.

Objął ją mocno i pocałował.

- Od trzech tygodni ci to mówię, albo próbuję powiedzieć. Kocham cię, Sophie. Zawsze kochałem i zawsze będę kochać.

- Teraz już wszystko ustaliliśmy.

- Prawie. Włożysz dla mnie od czasu do czasu ten gorset?

Sophie uśmiechnęła się, lecz nie zdążyła odpowiedzieć, bo Alain znowu zaczął ją całować. Nagle wydało jej się, a może była to tylko jej wyobraźnia, że słyszy kobiecy śpiew, słodki i niski. Nigdy nie

myślała, że operę nawiedzają duchy kochanków, którzy ją zbudowali, że wciąż żyją melodie, jakie tu rozbrzmiewały.

Postanowiła, że jeśli tylko będzie miała w tej sprawie coś do powiedzenia, to w przyszłości muzyka znowu wypełni tę przepiękną salę.

scandalous